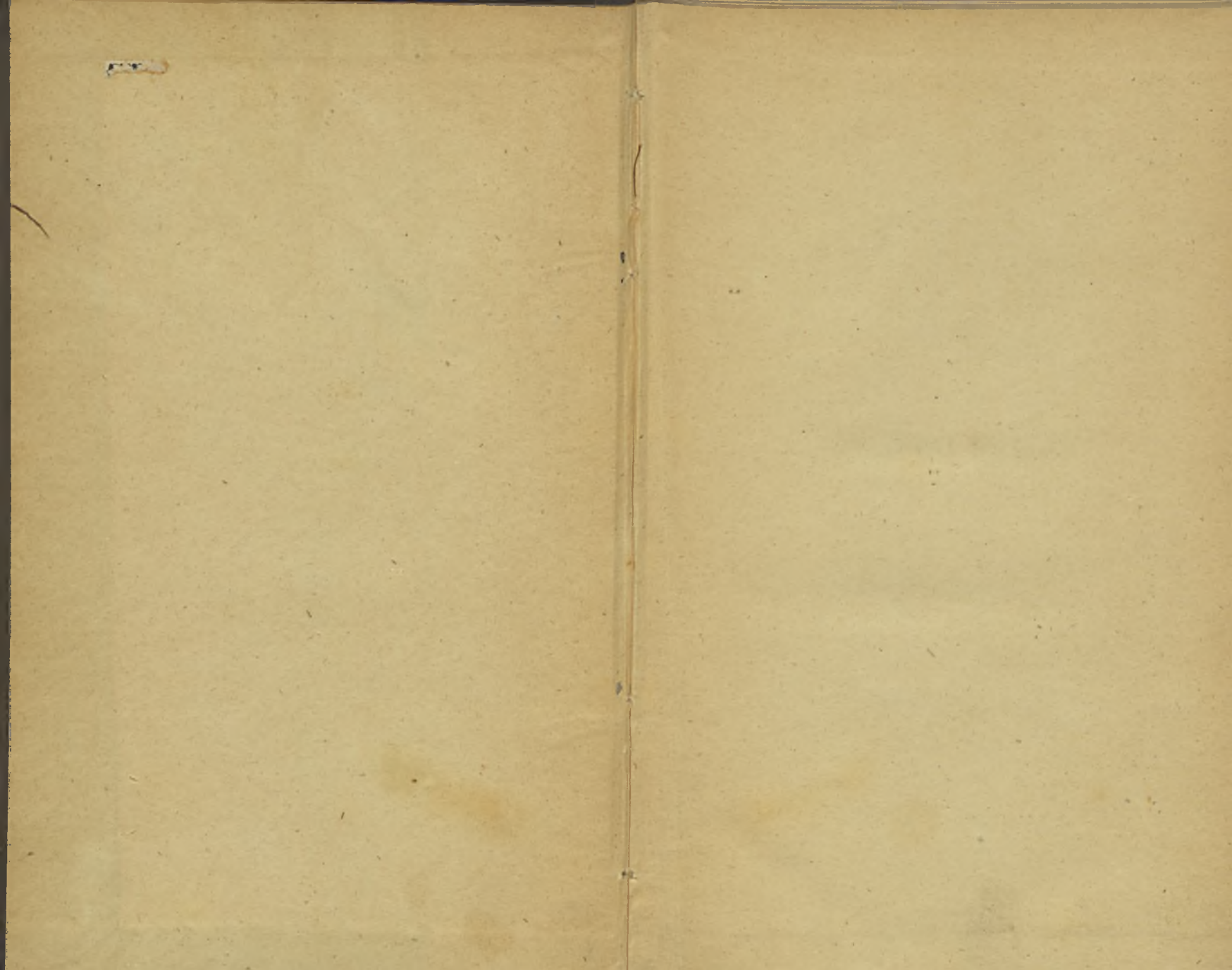




RAMOTY I RAMOTKI.

Ramoty i Ramotki

Augusta Wilkońskiego.

Wydanie nowe i zupełne.

Z zyciorysem autora

przez

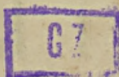
K. Wł. Wojcickiego.

Z popiersiem autora.

Feliks Kwir
Warszawa.

Tom V.

Poznań,
nakładem i czcionkami Ludwika Merzbacha.
1862.



58615

884-1/-91081 Wilnowski

Wolno drukować z warunkiem złożenia w Komitecie
Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby
egzemplarzy.

W Warszawie dnia 2 (14) marca 1857 r.

Cenzor, Radzca Dworu *Stanisławski*.

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 58615



BGZs 58615

TULIPCIA

WYCHOWANKA PANNY CHOURGOTTE.

TULIPCIA

WYCHOWANKA PANNY CHOURGOTTE.

I.

Kiedy szkarłatną purpurą jaśniejący rydwan złotego Feba po raz pierwszy dziewiętnaste stulecie chrześcijańskiej ery na lackiej powitał ziemicy, Eugenia z hrabiów Bzdurskich Anzel-mowa Widłowska w ceglanyim dworcu nad rzeką Wieprzem, w majątności Chrapy, powiła mał-żonkowi swojemu pierworodną córę.

Anzelm Widłowski — herbu widły, — uro-czyście przyjaciół swoich zwykł był zapewniać, że początek jego rodziny ginie w zamierzchu przedchrześcijańskich wieków. Wszakże byli i tacy złośliwi monografisci, którzy twierdzili i dowo-dzili, że dziadek Anzelma był w połowie 18go stulecia (po Nar. Chr.) gajowym i na wielkiem

polowaniu w puszczy kozienieckiej rozjuszonego odyńca, zagrażającego kłębem swoim życiu jednego z ulubieńców królewskich, widelkami, przy obstawianiu sieci używanymi, odważnie a zręcznie pod komorę uderzył i leśnego śmiałka trupem położył, — za co nazwisko i herb szlachecki pozyskał wraz z hojnym datkiem kilkunastu włók ziemi.

Dokąd więc początek rodziny Widłowskich odnosić, czy do zamierchu przedchrześcijańskich wieków, lub do jodłowej ciemności puszczy kozienieckiej w ośmnastym stuleciu, pozostawiam to mężom, lubiącym się bawić w zagadki heraldyczne. Ja zaś jako pisarz drobnych powiastek wiem tylko, że pan Anzelm Widłowski rzeczywiście *widlami* się pieczętował, a więc był szlachcicem; że żona jego istotnie pochodziła z austriackich hrabiów pięknego imienia Bzdurskich, mających znów w swojej tarczy *lisi ogon w pokrzywach* z rosochatami rogami jeleniami na helmie, i że majątność Chrapy nad Wieprzem, własność państwa Widłowskich, należała do złotych jabłek powiatu, przynosiła około 3000 tysięcy dukatów rocznego dochodu, a więc powód dostateczny, aby była kuchnia dobra, wina smaczne i gości na zawołanie, — ztąd szacunek, wziętość i znaczenie w granicach jednodzienniej podróży.

Po tym nawiasie rodowych i majątkowych objaśnień do głównego wracam przedmiotu.

Skrzywił się nieco pan Anzelm, gdy się dowiedział, że obdarowanym został córką a nie synem; ale na moralną uwagę ciotki swojej, pani szambelanowej Filomeli Gagacińskiej, że wyroki Opatrzności szanować należy, że może w roku przyszłym i synem się poszczyci, powolnego serca pan Anzelm zachmurzone rozjaśnił czoło i do rychłych a sutych chrzcin pierworodnego dziecięcia projekta układać począł. Jakoż na dzień 26 stycznia 1801 roku zjechało się do Chrapów kilkanaście kolas obywatelskich, a w samo południe przybył ksiądz infułat z Zamościa, dwóch księży dziekanów, proboszcz miejscowy i wikary z Krasnostawu. Sądziłbyś, że to jaka rozległego znaczenia uroczystość kościelna? Nie, mój mości dobrodzieju, to tylko chrzciny niemowlątka, maciucięj córeczki dziedzica czterech intratnych folwarków.

Zapewne nikt z ludzi rozsądnych nie przypuści na myśl tego zapomnienia się Eugenii z hrabiów Bzdurskich Anzelmowej Widłowskiej, aby jej córeczka wzorem chamskich dzieci w kościele chrzczoną być miała i aby téj córeczce nadano jakie pospolite imię. O nie! nie! po-trzykroć nie! Chrzcist odbył się w bawialnym pokoju, pod baldachimem z jedwabnej różowej materyi, złotemi frendzlami ozdobionym. Imion dano dziecięciu trzy tylko: Narcysa, Hiacynta i Tulipania. Co do ostatniego imienia czynił ksiądz infułat jakieś *objekcye i skrupuły*, ale pan

Widłowski uściśnął czeigodnego prałata i prosił, aby się jego żonie nie sprzeciwiał, gdyż, pasyami lubiąc florę, pragnie w kwiecistych imionach swęj córceczki niejako uprzytomnić sobie naj-milsze dla nięj kwiaty. Książdz infułat dał swoje przyzwolenie; — do rzymskiego więc kościoła przybyła po raz pierwszy od zaprowadzenia chrześcijaństwa panna Tulipania! Czy ją zaś umieszczono w rubryceli lub nie, do tęg chwili nie miałem czasu zapytać.

Jak Tulipcia w machoniowęg kołysce prze-lulała swoje niemowlęctwo a następnie zaranek młodziuchnej wiosny przegłuzuła i szczebiotać poczęła, na ten sielankowy ustę zbył szorstkiem jest pióro moje; — raczęg lat ósm prze-skoczę i stanę przed najpierwszym okresem naukowego kształcenia jedynę państwa Widłowskich pociechy — jedynę, gdyż przepowiednia cioci szambelanowęg — nie ziściła się niestety! Albowiem zapisanę było w konstelacyi rodzinnego lazuru Widłowskich, aby zamierzch tak pięknego imienia z przedchrześcijańskich wieków, mieczowe widły przedzierzgując na kądziel, w odwiecznych prawach zniszczenia utonął. Lecz się tutaj nie ciesz, smoczego apetytu nielitościwy czasie! — Podówczas żył jeszcze Widłowski i oto właśnie bujał po Warszawie, szukając rodowitęj Francuzki na guwernantkę dla Tulipci, a zanim ją wynajdzie, świeżę nałożę fajeczkę,

przez co i wam, ukochani czytelnicy, dozwolę odkrząknąć i z miłego wrażenia nieco odetchnąć,

II.

Było to w roku 1809, w owęg chwili, gdy liczne zastępy wojsk austriackich marszem odwrotnym do swoich rodzinnych spieszyły krajów; w chwili, gdy szczęk oręża i odgłos zwycięstwa kraj cały przebiegał, — w owęg to uroczystęj chwili Anzelm Widłowski zdybał, ugodził i ku Chrapom pięknę uwoził zdobycz, pannę Chourgotte (szurgot), o której sąsiadowi swojemu na popasie w mieście Karczewiu te z głębi serca odsłonił wyrazy:

— Jak honor kocham, tak ani słowa po polsku nie umie a przytęm szelma ładna, co się nazywa.

— I jakżę się z nią, kochany sąsiedzie, rozmawiasz?

— Na migi, kochany sąsiedzie; ale ze wszystkiego widzę, że Francuzica nie głupia — moja żona nie posiadzie się z radości, a i ja będę się miał z pyszna, rozumiesz, dobrodzieju!...

— E! bo ty tęg, panie Anzelmie, w czepku się rodziłes. — Ale któż ci ją naraił, gdyż i ja także niedługo potrzebować będę guwernantki dla mojęj Emilci a i Ksawerkowi już siódmy rok minął.

— Nie tak to łatwo dzisiaj o rodowitę Fran-

cuzkę: podczas wojny dziewczyny z domu nie wyjeżdżają. — Ja aż przez pana hrabiego Belizaryusza (gdym się u niego o zaległy procent upominał,) dowiedziałem się, że do kucharza księżnej Sanguszkowej przyjechała z Paryża z hrabiną tegoż kucharza rodzona siostra, a że ten kucharz to rodowity Francuz, więc ja, dobrodzieju, po ciemieniu nie bity, w te pędy, nie tracąc i chwili czasu, pobiegłem podług adresu, danego mi przez pana hrabiego, a potrząsnąwszy kieską, od razu dobiłem targu.

— Jakaż pensya?

— Trzy tysiące, podarunki na każde święta, to jest na Boże Narodzenie, na Wielka-Noc i na Zielone Świątki, przytém wynówiła sobie dwa razy do roku wakacye, — przez cały styczeń i przez cały sierpień, aby mogła brata odwiedzać.

— A któż się umawiał, kto spisywał kontrakt, kiedy ona po polsku nie umie?

— A *jej* — brat, on już umie po polsku, a do spisania kontraktu poprosiliśmy kamerdynera od księcia Radziwiłła.

— Bo téż pan Anzelm umie sobie we wszystkim zaradzić...

Z tym to skarbem w wigilią rocznicy urodzin swój żony przyjechał pan Widłowski do Chrapów.

Pani Widłowska, jak twierdzono w całym sąsiedztwie, *expedite* umiała po francuzku, więc téż aż do grochowych łez rozrzewnioną została,

gdym z francuzkich ust panny Chourgotte przy pierwszém powitaniu następujące usłyszała wyrazy: „Madame j'ai tout quitté, ma chère patrie! ma belle France! — les bords enchanteurs de la Seine! ma ville natale, cet incomparable Paris!... pour me consacrer au développement de l'un de vos sauvages rejettons dans ce sombre et triste pays. J'espère donc Madame, que vous daignerez a précier mon dévouement, et que vous m'envisagerez comme l'ange tutelaire de l'avenir de votre fille, afin de ne pas me faire regretter mon exil et la perte de mes plus belles années de jeunesse et de liberté.“ (Pani! opuściłam wszystko! moje drogą ojczyznę, moję piękną Francją, uroczę brzegi Sekwany, mój rodzinny nie porównany Paryż, aby w waszym ponurym i pośepnym kraju ukształcić jedną z waszych dzikich odrósłi. Spodziewam się więc, że pani godnie moje poświęcenie się oceni i że mnie pani uważać będzie jako opiekuńczego anioła przyszłości córki waszjej i że mi pani nie dozwoli żałować mojego wygnania i straty moich najpiękniejszych lat młodości i swobody).

Na tak szczytną odezwę panny Chourgotte pani Anzelmowa odpowiedziała potokiem najtkliwszych a najuroczystszych zapewnień, że z całej duszy, z całego serca starać się będzie udowodnić pannie Chourgotte, jak wysoko, jak głęboko umie cenić poświęcenie się panny Chour-

gotte; — po czém nastąpiło zaprezentowanie Tulipci, której już nie tylko mama ale i papa najuroczystszym opowiedzieli głosem, że jako wielkie powinna poczytywać szczęście i dobrodziejstwo, że ją panna Chourgotte uczyć i jej młodociane wyobrażenia rozwijać i uprawiać będzie.

Przy wieczerzy dowiedziała się pani Anzelmowa, jakie panna Chourgotte lubi potrawy, o której godzinie udaje się na spoczynek, o której godzinie z rana czekoladę pić zwykła. A gdy po wieczerzy obficie nakarmiona Francuzka w osobnym a ozdobnym pokoiku, ugodzoną pensją swoją na franki obliczwszy, swoje nadspodziewane szczęście rozważała, — pani Widłowska do drugiej z północy dyktowała mężowi swojemu listy jego imieniem do wszystkich znakomitszych sąsiadek i sąsiadów, na sąsiedzki zapraszające obiadek. — O! bo i trudnem-by było oddalić chwilę popisania się na oczy z osiągnioném szczęściem, z guwernantką, ani słowa nie umiejącą po polsku!

— Gdybyś to ty mógł zrozumieć, mój Anzelmku, jakie ona szczytne objawiła mi myśli, kiedy się przywitała ze mną.

— I cóż ona ci powiedziała?

— Powiedziała, że, poświęcając się dla naszej Tulipci, opuściła ojczyznę, Francją! Sekwanę, Paryż, — ale to trudno w polskim języku powtórzyć...

— Wiesz co, potrzebaby jej dać jutro jakiś prezent.

— Ja już o tém myślałam.

— Daj jej te brylantowe kolczyki, które ci w przeszłym roku kupiłem.

— A ja będę bez brylantowych kolczyków?...

— Ja ci, kochanie, kupię ładniejsze.

— Ej nie — jutro będzie pani kasztelanova, będą Jarzymowscy, — nie, nie. Ale wiesz co, dam jej ten złoty emaliowany zegarek, który ojciec mój dostał od króla Stanisława.

— Kiedy to, mój aniele, jest pamiątką historyczną.

— I cóż z tego; zapominasz, że ona się poświęca dla naszej Tulipci, jedynego dziecka naszego; zresztą zegarek dla guwernantki będzie prezentem bardzo à propos.

— Masz racją, kochanie, ja jej go jutro rano zaniosę.

— Nie, ja jej oddam sama, ty później możesz jej dać co innego od siebie.

Nazajutrz panna Chourgotte otrzymała prześlicznie emaliowany repetyer z łańcuszkiem weneckim i z dewiską, złożoną z bardzo pięknych drobnostek, pomiędzy którymi odznaczał się w koralu rznięty Kupido z sajdaczkiem i ze strzałkami; — sajdaczek był z perłowej macicy, a strzałki kaszką djamentową obsypane.

Na obiadek sąsiedzki zjechało się osób kilkadziesiąt. Prezentacja panny Chourgotte była

głównym przedmiotem aż do obiadu. Wystawny obiad był ozdobiony wielką piramidą z ciast migdałowych, mających drzewiczki czekoladowe, kolorowymi cukierkami ustrojone, na tych drzewczkach był trójkolorowy napis „*la France*.” W połowie biesiady szambelan Gagaciński i gospodarz domu łącznymi siłami posunęli tę piramidę przed pannę Chourgotte, prosząc, aby raczyła drzewiczki otworzyć. Panna Chourgotte powolna życzeniom grzecznych panów, wyłamała drzewiczki, i wszyscy z najsprawiedliwszym uniesieniem — ujrzeni popiersie Napoleona także z cukru, z misternym bluszczem na głowie wielkiego cesarza. Pod oknami huczna ozwała się muzyka na waltorni, klarynetach i tołumbasach, a pan szambelan winem szampańskim wniósł toast panny Chourgotte.

Że oczy panny Chourgotte łzami zroszone zostały a wszyscy obecni od płaczu wstrzymać się nie mogli, o tém zapewniać czytelnika byłoby zbyt zbytecznem. Dodać tu tylko czuję się w obowiązku, że na cześć panny Chourgotte wyprawionych zostało w sąsiedztwie Chrapów w przeciągu pierwszych czterech tygodni szesnaście okazałych zabaw z obiadami i tańcami.

III.

Gdy już wszyscy bliżsi i odleglejsi sąsiedzi Chrapów uraczonymi zostali bytnością panny

Chourgotte a pani Widłowska, sposobiąc się ku temu dni kilka, przy zdarzonej sposobności w wyrazach najgrzeczniejszych zapytała panny Chourgotte, które książki raczyła oznaczyć do rozpoczęcia edukacji? — panna Chourgotte, niespodziewanie zagadniona w tej mierze, lekko się zarumieniwszy, po krótkim namyśle taką dała odpowiedź:

— Obecnie, w najnowszej nauk reformie, wszyscy profesorowie Paryża zgodzili się na to, że książki przytłumiają wrodzone młodych uczennic zdolności i że najkorzystniejszą metodą rozwijania umysłów jest pozostawienie ich własnemu badaniu tajników wszechświata, tak pod względem roślinnym jak i duchowych pojęć moralnych, w uczuciu obowiązków ludzkości; — a przez umiejętną konwersacyą należy tylko myśl badania skierować ku tym przedmiotom, które są szczytnymi i w wyższych sferach dobrego towarzystwa dystyngowanymi. Tę to metodę, przez p. Jana Jakóba Rousseau, generała wojsk cesarskich, zaprowadzoną, i ja za najwłaściwszą uznałam i tej metody w wychowaniu Tulipci trzymać się będę.

— Ależ panno Chourgotte, — przepraszam, że się ośmielam zrobić uwagę, — lecz mnie się zdaje, że Jan Jakób Rousseau nie był generałem....

— Był generałem, — ale wziął dymisyą. Po tej krótkiej nawiasowej tylko rozmowie

pani Widłowska pobiegła do męża, aby mu donieść, że Tulipcia będzie edukowaną podług zasad jenerała Jana Jakóba Rousseau; a panna Chourgotte, udawszy się do swojego pokoiku, taki napisała list do swego brata, kucharza w usługach księżnej Sanguszkowej w Warszawie:

Kochany Bracie!

Już od ośmiu dni zabieram się do napisania listu do Ciebie, kochany bracie, ale Ty wiesz, jak mi trudno jest pisać. Ale dzisiaj to nie mogę się lenić, bo mi burza zagroziła, a to Ty temu, kochany bracie, wszystkiemu winny jesteś, boś Ty mnie zrobił guwernantką. A najprzód donoszę Ci, że jestem zdrowa i że mi się powodzi lepiej aniżeli twojej przyjaciółce Karolinie, którą oddałeś na guwernantkę do tego krzywego podprefekta. Wystaw sobie, dostałam już tutaj wiele bardzo pięknych prezentów; dają dla mnie bale, i kilku bogatych panów stara się o moje serce, a monsieur Widłowski codziennie mi robi różne grzeczności.

Ona sama mówi po francuzku dosyć zrozumiale, jest dla mnie bardzo delikatną, ale, jak mi się zdaje, nie wiele więcej umie odemnie. Wczoraj jednakże przy śniadaniu zapytała mnie, na jakich książkach będę uczyć jej córkę, a Ty wiesz, żeśmy w magazynie bardzo mało książek czytywały; szczęściem dla mnie, żeś sły-

szała o tym jenerale, który kazał żołnierskie dzieci chować podług praw natury; jeżeli się nie pomyliła, to się nazywał Rousseau. Otóż odpowiedziałam jej, że będę moję uczennicę chowała podług zasad jenerała Rousseau, i ona na to przystała. Ale trzebażby tę młodą pannienkę nauczyć przytém i czytać po francuzku, więc mi kup taki sam elementarz paryzki, na jakim się uczyłam czytać u ciotki naszej, to mi jakoś łatwiej pójdzie wykład téj nauki. Zresztą to ja sobie dam radę. — Możeby było dobrze, abys mi kupił książkę z wokabulami i jakie ładne bajeczki, których ją będę uczyła na pamięć. I kup mi jeszcze co takiego, co potrzebne dla guwernantki, — a możesz się wypytać u p. Emila; przecież on już ośm lat guwernerem, to się musiał czegoś nauczyć. Kłaniaj mu się bardzo ładnie odemnie. Duża to pensya i ładne prezenta, które odbieram, i jeść bardzo wiele dają, i mam piękny pokój i usługę, ale mi tu bardzo nudno; dwór tylko jest murowany, a reszta domów ze słomy, — a nigdzie nie wybrukowane, i w całej wsi oprócz pani Widłowskiej nikt ani słowa po francuzku nie umie. Nauczyłam się tu gotować jednej bardzo smacznej polskiej potrawy, receptę późniejszej ci przysłę, bom się dzisiaj tak bardzo pisanie tego listu zmordowała, że mnie aż palce bolą; a i pan Widłowski przeszkadza mi, gdyż ciągle z ogrodu do okna zagląda i rzuca na

mnie kwiatkami. Ale jak tu szkaradny ogród; w całym Paryżu nie ma tak brzydkiego ogrodu, a oni tu powiadają, że to bardzo piękny. Ta rzeka, która płynie zaraz za ogrodem, nazywa się *Swinia*, (Wieprz); możesz sobie wyobrazić, jak są ludzie tutaj jeszcze nieucywilizowanymi, kiedy ładną rzeczkę mogli nazwać tak nieprzyzwoicie. — Adieu, mój bracie; przysyłaj książki. — Tysiąc franków jak ci obiecałam, tak dotrzymam słowa, tylko pensyą dostanę.

Adieu — Adieu!

Twoja siostra, *Susette Chourgotte*.

IV.

Już od dni kilkunastu Tulipcia pobierała edukacją podług zasad Rousseau, kiedy czcigodna nauczycielka odebrała list następujący:

Panno Susette! (Zuzanno).

Brat twój zaszczycił mnie swoim zaufaniem, powierzając mi list twój do niego pisany i upoważnił mnie do odpowiedzi w jego imieniu, spieszenie bowiem wyjeżdżał z całym dworem księżną do Galicyi. — Przedewszystkiém składam Ci zapewnienie, żeśmy się serdecznie ucieszyli z dobrego powodzenia twojego. Następnie dziękuję Ci za łaskawą o mnie pamięć jak niemniej i za honor polecenia mi wyboru potrzebnych dla Ciebie książek. — Metoda Jana

Jakóba Rousseau, którą się w niebezpiecznej chwili najszczęśliwiej zastawić potrafiłaś, jest pomysłem genialnym, — ale nie wystarczyłaby na długo i w całości przeprowadzić się nie da. Przeciwnie jak największa obfitość książek nie tylko Ci ułatwi i poda środki nauczania, ale także przyczyni się do powagi nauczycielskiej, bo, widząc Cię wśród stosu francuzkich książek, nazwą Cię kobietą uczoną i już tego epitetu żaden polski profesor nie potrafi Ci wydrzeć, gdyby i najzawzięciej udowodniać zapragnął, że nic nie umiesz. Więc Ci posyłam: trzy gramatyki; dwa słowniki; sześć książek z bajeczkami; ośm tomów botaniki; dwa tomy fizyki; trzy tomy chemii; dzieł dramatycznych Picarda tomów 10; najtkliwszej treści romanów książek 40, z pomiędzy których przeczytaj panna Zuzanna najpierw Annę Radcliffe, Malwinę pani Cotin, listy Heloizy i Abeillarda i Korynnę pani Staël, — a pani zaczerpniesz wiele pięknych sentymentów do błyszczenia w towarzystwach wyższej sfery jak niemniej do napawania temi pięknymi sentymentami nie tylko swoją uczennicę ale i jej najszanowniejszą mamę. Nadto posyłam Ci sześć kart jeograficznych i wielki globus; — wzory do kaligrafii, wzory do rysunków, pudełko z farbami i cały przybór pendzli, cerkli i jeometrycznych drobiazgów. — Są to wprowadzić nieco zużyte przedmioty, ale rozumiem, że wcale nie przedrożę,

gdy Ci je za 800 franków odstąpię. Możesz bez zarumienienia zażądać od pani Widłowskiej najmniej 1000 franków. Mnie za te same książki, globus, wzory i karty jeograficzne zapłacił hrabia *** 1500 franków, a gdy edukacją kawalera ukończył, odkupiłem je za piękne przemówienie się. Karty jeograficzne poprzybijasz na ścianach uczelni, wielki glob ustawisz na środkowym stole, który to stół potrzeba okryć suknem zielonem albo kobiercem, czego wprost zażądaj od rodziców uczennicy. Spodziewam się w przyszłym tygodniu jechać z moimi towarzyszami elewami na wakacje do babki, mieszkającej za Lublinem, to pannę Zuzannę odwiedzę i ustnie objaśnię, jaki program nauk ułożyć i jak go przeprowadzić. Ponieważ w mej podróży będę potrzebował pieniędzy, przeto racz ośmset franków łaskawie przysposobić. — Do widzenia się, szacunku godna rodaczko.

Emil Dourens.

15 sierpnia 1809.

P. S. Pan Rousseau nie był nigdy jenerałem; potrzeba więc pannie Zuzannie zgrabnie się wycofać z tej wielkiej pomyłki.

Po odebraniu tego listu i tej masy książek długo się panna Zuzanna namyslała, jak się z metody jenerała Rousseau wycofać i w jaki

sposób metodę Emila Dourens zaprowadzić. Rzecz z pozoru tak trudna w rzeczywistości okazała się bardzo łatwą; zaledwo bowiem panna Chourgotte ukończyła symetryczne przybicie na ścianach kart jeograficznych i ułożenie książek i wzorów na komodzie a pompatyczne ustawienie globusa na wielkim stole, przysłała przez Tulipcię zwabiona mama.

— Ach! cóż za piękna biblioteka!

— To są książki, podług których edukowałam margrabanke S.....

— Więc pani margrabanke edukowałaś nie podług jenerała Rousseau?.....

— Była zbyt wrażliwą, abym tę metodę do niej zastosować była mogła.

— A czyliż pani sądzisz, że Tulipcia nie będzie wrażliwą?....

— Właśnie że córeczka pani posiada ten sam popęd umysłowy i te wszystkie skłonności serca, któremi margrabanke hojnie od natury uposażoną była, dla tego też pragnęła - bym połączyć dwie metody: metodę pana Jana Jakóba Rousseau, brata jenerała, który tak chlubną poległ śmiercią pod Piramidami, z metodą pana Emila Dourens, jednego z najpierwszych pedagogów europejskich; — nie wiem tylko, ażaliby dla państwa nie było zbyt uciążliwem zakupić te wszystkie potrzebne książki ku takiej edukacji, w dwóch metodach zespolonej.

— Ach jakżeż nas, pani, możesz posądzać

o tak poziomą oszczędność gdy córka nasza mogłaby mieć sposobność pobierania edukacji zespolonej w dwóch metodach; prawdziwie że nie tylko wszelki wydatek w tej mierze jak najchętniej przyjmiemy, ale nadto dozwolną dla pani zachowany wdzięczność za tyle nieograniczonej dobroci w usiłowaniu pani, łożoném dla najwyższego szczęścia jedynego dziecka naszego

— A dobrze, jeżeli państwo spuszczać się w tej mierze bezwarunkowo i zupełnie na mój wybór i kierunek....

-- Bezwarunkowo i najzupełniej, droga panno Chourgotte. Ileż te książki panią kosztują?

— Te książki, globus, karty jeograficzne i te wszystkie wzory kosztowały 1500 franków, ponieważ margrabina żądała, abym zakupiła dzieła wyborowe; — a gdy margrabianka wyszła za mąż, odkupiłam je za 1200 franków na użytek przyszłych moich uczennic.

— Ach najchętniej pani zwrócimy 1500 franków, tylko racz pani edukować naszą córkę podług dwóch metod.

— Chętnie przychylę się do prośby pani i chociaż to przyjdzie z największym poświęceniem się mojem.....

— Oh pani! naszym obowiązkiem będzie zawdzięczyć pani to poświęcenie się.... Więc to będą dwie metody?...

— Tak jest; będzie to zespolona edukacja z dwóch metod pana Rousseau i pana Dourens.

Nazajutrz pan Widłowski z nietajoną dumą

opowiadał sąsiadom swoim, że w pannie Chourgotte znaleźli klejnot nieoceniony, albowiem będzie edukowała ich córkę podług dwóch metod Pana Rousseau i pana Dourens.

Nudna to sprawa wglądać w jedną metodę nauczania początkowej a tak tępej w pojmowaniu uczennicy, jaką była 9 letnia Tulipcia, nie dopióroż śledzić edukacją, zespoloną w dwóch połączonych metodach. Oddalam się więc z domu państwa Widłowskich na lat sześć i dopióro powrócę do moich szanownych znajomych, gdy Tulipcia 15 wiosen ukończy; może wówczas czytelnicy znajdą więcej interesu w skutkach już dokonanej edukacji.

V.

Było to 5 czerwca 1816 roku, gdy panna Chourgotte w czworokonnym powozie opuściła Chrapy, uwożąc spore pudelka kosztownych upominków z lat siedmiu, 15,000 złotych gotówką i dwa kufry wyładowane piękną garderobą; — jechała do państwa Gapińskich w Sandomierskie na objęcie nowych obowiązków guwernantki.

Prócz trzech tylko niedogodnych wypadków*) cały pobyt w Chrapach liczyła do najprzyjemniejszych wspomnień życia swojego. Pan Widłowski, od kilku miesięcy niewyleczoną chorobą

*) Botanika jest nauką bardzo pożyteczną, bo osłabia domysły i niszczy potwarze.

złożony, już był obojętnym na odjazd panny Chourgotte; — pani Widłowska czuła się swobodniejszą po oddaleniu się Francuzki; — natomiast panna Tulipania obfitemi strumieniami łez opłakiwała utratę swęj duchowęj przyjaciółki i powiernicy, a w czarny ubiór strojna dzień cały błąkała się nad brzegami Wieprza, płacząc, wzdychając, żalamując ręce, wznosząc oczy ku błękitowi niebios i deklamując najtkliwsze ustępy z romantycznych dzieł francuzkich....

O godzinie dopiero 9 z wieczora, po trzy kroć przez mamę wezwana, powróciła do pałacu*) i, nie zajrzawszy do chorego ojca, udała się do swojęj sypialni, gdzie, przez noc całą do kilkunastu francuzkich książek zazierając, pisała list do swojęj przyjaciółki, — list, który w doskonałym polskim przekładzie tutaj umieszczam, już kwoli przyczynku do skarbnicy tkliwego piśmiennictwa, mianowicie zaś dla objaśnienia co do stopnia naukowego, umysłowego i uczuciowego panny Tulipanii, nie wspominając o chmarze błędów gramatycznych, w pisowni francuzkięj popełnionych, bo w szczytnym wylewie najwznioślejszego uczucia byłoby niegodnem zniżać się do gramatycznych prawideł.

Zuzanno!

Odjechałaś — nie widzę Cię obok mojego

*) Przybudowanie jednopiętrowego narożnika z balkonem na Wieprz, a ztąd nazwa pałacem, na karbie wdzięczności dla panny Chourgotte zapisanemi być winny.

serca, — a ja jeszcze żyję?... i mówią, że jest Bóg dobroci, Bóg litości?... Zuzanno! w błękie marzeń moich Twój obraz przodkuje wszystkiemu uczuciu, bo cóż jest na całym świecie, coby było droższém nad przyjaźń?...

Zuzanno! wir żalu i smutku, co serce moje otoczył, podobny jest do uraganu, który piaszczystym całuncin młodą palmę z rzędu żyjących roślin wyrывa.

Zuzanno! jam Tobie winna stokroć więcéj nad życie! Z ust Twoich wypilał kielich rozkoszy samoistnego wzniesienia się nad przesady i nad głupiego świata opinią, bo wiem, że dusza moja wyłącznie moją jest własnością, — a serce rzetelném piętnem mojego jestestwa, i po tychże to szlakach najszczytniejszego uczucia karmię się dumą wyższości nad tłum kobiet powszednich.

Zuzanno! ja drzę na tę myśl okropną, że od Ciebie przez długich dni ośm żadnéj nie odbiorę wiadomości, a nigdy nie potrzebowałam i nie pragnęłam tyle Twojego zdania i Twojęj rady; — o! bo to było widzenie z przybytku Sybili mojego losu — posłuchaj mojęj tajemnicy!

Słońce zanurzało złote warkocze w zwierciadlanęj toni rodzinnej rzeki mojęj; — aniołowie na skrzydłach pomroku roznosili balsam nadziei do lepionych chatkach pracowitego rolnika; — umilkły śpiewy ptasząt, a chłodna rosa spragnioną zwilżyła przyrodę, gdym tęskne myśli orlim

szybem puściła na wiosenne błonia mojej przyszłości...

Widziałam dwóch młodzieńców... jeden wzbroi rycerza średnich wieków łamał u nóg moich chorągiew muzułmańską,¹ — drugi w stroju pasterskim zbliżył się do mnie, niosąc w dani kwiat pomarańczy i oliwną gałązkę, — a pomiędzy nimi Twoja, droga Zuzanno, postać unosiła się w powietrzu z wieniec mirtowym. Wi rycerzu wieków średnich poznałam Kazimierza, w niosącym kwiat pomarańczowy i oliwną gałązkę widziałam Alfreda, — a wieniec mirtowy w ręku mojej Zuzanny — to był objaw mojej przyszłości — Tyś była moją Sybilą.

Ach Zuzanno! komuż mam oddać mój wieniec mirtowy, ach! powiedz, najdroższa przyjaciółko; wiesz dobrze, jak stanowcza jest wola méj mamy, abym przed śmiercią ojca wybór uczyniła.

Zuzanno! głowa mnie pali rozżarzonym węglem — serce gromem uderza, — dusza zanurzona w boleści... bo niepewność i oczekiwanie są najsroższymi męczarniami życia dziewczycy.

Mama dla rozweselenia mnie oświadczyła mi na *dobra noc*, że jutro pojedziemy do hrabiny... gdzie dają wielki bal z powodu zaręczyn jej córki z jenerałem Z***. Jestem pewną, że tam obydwóch zastanę, ach! któremuż z nich sprzyjać?!... powiedz Zuzanno! Kazimierz jest piękny i waleczny, — Alfred bogaty i zachwycający manierami wielkiego świata; Kazimierz

tylko szlachcicem na jednej wiosce, Alfred spodziawa się sukcesyi obszernych włości i należy do rodzin arystokracji kraju naszego.

Zuzanno! jestemżeż ja tak piękną, jak mi to po milion razy mówiłaś!... Któraż ja jutro wezmę sukienkę? — O wiem, Zuzanno, tę a nie inną; tak jest tę, w której mnie nazwałaś królowną polskiej Flory — tak, tak — tę a nie inną; — a głowę ubiorę w około lokami, tyle przez Ciebie lubionemi, — i z pereł zrobię plecionkę i będę królowną w sercu mojej Zuzanny... i zdumą stanę w szranku z córką hrabiny, — i ujrzę u nóg moich cały rój młodzieży... i będę szczęściem szczęśliwą, — a duch mojej Sybili w stanowczej chwili poszepnie, które serce okolicie płomieniem zwyciężkiej miłości.... Już różane światło ze snu budzącą się przyrodę oblewa i nocny śpiewak milknie, a jeszcze piszę do Ciebie, najdroższa przyjaciółko duszy mojej, gwiazdo mojego uczucia, aniele mojej przyszłości...

Przed chwilą doktor przyjechał; papa coraz słabszy; słyszałam, że posłano także po księdza. — Papa żąda mnie widzieć jeszcze, zapewne mi błogosławić będzie przed śmiercią. Może nam już nie wypadnie jechać do pani hrabiny; ach Boże! że téż papa tak wcześnie umiera. Elżbietka już trzeci raz przybiegła; papie coraz gorzej, muszę iść po błogosławieństwo; ciekawą jestem tego wrażenia, jakie na mnie zrobi śmierć papy; będzie to nowe studium mojego serca.

Adieu — adieu! je vous presse contre mon coeur,
mon ame vous embrasse!

Tulipine.

VI.

— Anzelm Widłowski, dziedzic dóbr Chrapy, już od dni ośmiu ciężki Bogu zdawał rachunek z biernej pielgrzymki ziemskiego żywota, gdy w głębokim nieutulona żalu, owdowiała pani Widłowska i w melancholiczno-sentymentalnie estetycznym smutku pogrążona córka Tulipania piękną basztardą, w pięć koni zaprzęzoną, z dziedzińca osieroconych Chrapów wyjeżdżały na gościniec warszawski.

— Czy *maman* kazała zabrać moje wszystkie książki?

— Wszystkie, moja Tulipciu.

— C'est bien, bo ja chcę dzisiaj na noclegu skończyć ten romans od pana Alfreda. Jak on jest względny na nasze nieszczęście; zaraz nazajutrz po śmierci papy przysłał mi książki i podczas pogrzebu ciągle mi asystował z flakonikiem wody pachnącej i tak mnie zaklinał, abym nie rozpaczała, przekładając mi w najszczytniejszych wyrazach, o ile to jest *devoir* dusz wzniosłych hamować łzy w chwilach epoki śmierci ulubionych osób; a w końcu dodał: „istoty dystygnowane jak radością tak i smutkiem winny się różnić od tłumu.“ I znalazłam, że ma zupełną rację,

bo rażącym było to szlochanie córki ekonoma i tych tam wiejskich kobiet. Rozumiem zblednąć, zlodowacieć — zemdleć, — to jest ekspresya d'une tristesse noble, — d'une éducation distinguée.

— Córka naszego ekonoma szlochała, bo to był romans z nieboszczykiem. Powiedziałam też jej ojcu, aby się o inne starał miejsce.

— Savez vous Maman, pan Kazimierz ani jednego do mnie nie wymówił słowa; dopiero gdy tak głośno jęknęła przy spuszczeniu trumny, uściśnął tylko moje rękę.

— Bo nie umiał nic powiedzieć à propos.

— Jednakże ja go bardzo szanuję; wszyscy mu wielkie oddają pochwały.

— To tam ci tylko go chwala, co z nim odbywali kampanię; w salonie jest sztywny i mało mówiący.

— On podobno jest dobrym dla ludzi i wzorowo gospodaruje.

— Każdy szlachcic dobrze gospodaruje, ale chce, żeby żona także maślanke na kwarty mierzyła.

— Ale znów jak pan Alfred, który w domu nigdy nie posiedzi.

— Kto ma takie sukcesye na widoku, może w domu nie siedzieć.

— Ciekawam, który z nich pierwszy do Warszawy przyjedzie?

— J'e certifie que ce sera Alfred.

— Ja-bym była rada, żeby i Kazimierz przyjechał.

VII.

W garkuchni pod *Żartokiem* przy ulicy Podwał w Warszawie młodzi oficerowie, żołnierskim apetytem uprzątnąwszy obiad, na długich cybuchach rozniecili stambułki i po krótkiej zamianie najnowszych wiadomości służbowych zwykłą koleją przeszli do codzienniej rozmowy o dawnych i o nowych pięknościach Warszawy.

— Widziałeś dziś Aplecińską?

— A któżby jęj nie widział! Od rana do zmierzchu włóczy się ze zwiędłemi wdziękami swych córek po wszystkich ulicach Warszawy, jak żydówka z koszem przegniłych pomarańcz.

— Gadaj zdrów; Malwina jeszcze ani myśli z placu ustąpić.

— Felix Jemioła porucznik z I pułku ułanów, ex kawaler panny Malwiny, był w sobotę u Wielkiego Xięcia, prosząc o urlop na 3 miesiące, żeni się z jakąś prześliczną Litwinką i wyjeżdża do dóbr swoich w Augustowskie.

— Dawna historia; ale ja! wam powiem coś nowego. Przeszłego roku pod jesień przyjechała tutaj do Warszawy pani Widłowska z córką jedynaczką bardzo bogatą, bardzo piękną. W grubój żałobie po mężu i ojcu nigdzie nie bywały, dopiero od kilku tygodni zaczęły wizytować i przyjmować.

— Niechaj umieram, jeżeli kiedykolwiek z ust twoich istotną posłyszałem nowinę; — to, co już na czterech rogach miasta otrąbiono i ogłoszono,

w najlepszej wierze za nowinę powtarzasz. Słuchaj więc, ja ci o panie Widłowskiej coś więcej opowiem. Od niepamiętnych czasów bywają u pani Widłowskiej:

1. Nasz Pułkownik.
2. Podporucznik hrabia*
3. Jakiś wypizmowany Alfred, fanfaron salonowy.
4. Jakiś pan Kazimierz, szlachcic, ekswojskowy.
5. Jakiś uczeń z fakultetu filozoficznego.
6. Stary kasztelan Z***, a prócz tego pół tuzina stałych gości kręci się obok panny Widłowskiej; — na przeprzążkę jeszcze kilkunastu młodzików, a ona z całą rutyną najprzebieglejszej kokietki każdego darzy uśmiechem nadziei i słówkami miodowemi, nierzadko i uściśnięciem ręki.

Na te słowa powstał na uboczu siedzący mężczyzna w cywilnym ubiorze, zbliżył się do mówiącego i rzekł doń głosem oburzenia:

— Za te wyrazy, ubliżające panie Widłowskiej, odpowiesz mi, panie, na drodze honorowej; obecnie proszę pana, abys się wstrzymał od dalszego kłamstwa w tym przedmiocie.]

— Jak mi pan udowodnisz, że jesteś godnym honorowego zadośćuczynienia, znajdziesz mnie gotowym do honorowej rozprawy; tymczasem zaś przy prawdzie mojego opowiadania obstać i nie przyjmuję żadnych rozkazów milczenia

od osoby, zupełnie mi nieznaną a podsłuchiwa-
niem poufnych rozmów zeszpeconą.

— Niegdyś dowodziłem pierwszym szwadronem trzeciego pułku ułanów, obecnie jestem obywatelem ziemskim, — to jest moja tymczasowa dla pana legitimacya. Poufnej gadaniny nie podsłuchiwałem, tylko ją słyszałem przymusowo, bo masz, panie, głos donośny, przeto uczyniony mi zarzut o ile niecny o tyle, jest niesprawiedliwy.

— Ale to wszystko nie dowodzi żadnego prawa, abys mi pan nakazywał milczenie.

— Powstrzymanie potwarzy, rzuconej na płeć słabą, jest obowiązkiem ściśle honorowego człowieka, a dla mnie jest obowiązkiem podwójnym, — bo się zaszczytam najszanowniejszymi względami nikczemnie przez pana spotwarzonej osoby, — i mój rozkaz milczenia powtarzam z tą najuroczystsza przysięgą, że raczej posunę się do niegodnej nas ostateczności, aniżeli ścierpię jedno słowo dalszej potwarzy.

Szanowny obrońca poparł te wyrazy uchwyceniem widelca czy noża; — obecni koledzy zawstydzanego oficera poskoczyli na rozejm; — jakoż po wymianie nazwisk i miejsca zamieszkania stron obydwóch sprawę odroczone do jutra, i w kilka minut w sali jadalnej pod Żarłokiem było pusto i głucho.

Bohaterem powyższego ustępu był Kazimierz***, o którym panna Tulipania wspominała w liście, pisany do swojej wielkiej przyjaciółki, do panny Chourgotte, o którym rozmawiała z *maman*, kiedy z Chrapów wyjeżdżały do Warszawy.

Pojedynek odbył się na Bielanach bezzwłocznie, bo nazajutrz. Potwarca wyszedł bez szwanku, szlachetny obrońca kulą w piersi ranny, przeszło trzy miesiące leczył się w jednym z hotelów warszawskich, i kiedy powrócił do zdrowia i pierwszy raz wyszedł na ulicę, spotkał weselny orszak swojego rywala Alfreda***, zajeżdżający przed kościół Kapucynów. Siłą najgwałtowniejszego uczucia wiedziony wtoczył się z mnóstwem ciekawych aż przed wielki ołtarz. Widział Tulipanią z ślubnym wieniec na skroniach, z uśmiechem radości na ustach, słyszał jej przysięgę na wierność, miłość i posłuszeństwo dla Alfreda.

Kazimierz nie kochał się w pannie Tulipanii, ale prawdziwie kochał pannę Tulipanią, więc oszczędził jej aktorskiego ukazania się przy ołtarzu; — dopiero po skończonym obrzędzie zbliżył się nieznacznie do panny Chourgotte, która była druchną panny młodej, i dając jej pierścionek węzowy z włosami, prosił głosem drżącym, aby ten upominek raczyła zwrócić niewiernej kochance.

— Tulipsia panna zawsze kochał...

— I ślubowała innemu?

— A cóż to ma do tego, ślub i kochał, dwie bardzo różne rzeczy.

Tulipcia, szukając oczyma swojej najukochańszej przyjaciółki, spostrzegła Kazimierza; — lekki rumieniec przebiegł jej lica, pokryjому ułamała gałązkę ze ślubnego wienca i podała ją pannie Chourgotte, szepecząc na ucho: *c'est pour lui*. — Panna Chourgotte wykonała tajemne polecenie panny młodej z najszczerzą skwapliwością. — Kazimierz na miazgę pogniótł gałązkę, całém sercem zadrżał ze zgrozy i szybko się oddalił.

IX.

Bólem, boleścią i smutkiem trapiiony Kazimierz do swojej wiejskiej powrócił zagrody. — Tulipcia z mężem Alfredem w towarzystwie lubej przyjaciółki pocztowemi końmi spieszyła do celu wszystkich życzeń, do Paryża.

Kazimierz w czynném a szlachetném życiu obywatelskiém znalazł ulgę zranionemu sercu; Alfred, na bruku paryskim marnotrawiąc majątek Widłowskich, pobłażał zalotności Tulipci, a w Paryżu nie zabrakło pani Alfredowej na wielbicielach jej powłóczyście mdlejących, nęcących spojrzeń.

Kilku podróżujących rodaków, jeden Hiszpan, dwóch Anglików i trzech Włochów stanowiło mozajkową kolejkę w sercu pani Alfredowej przy towarzystwie nieodstępnej panny Chourgotte.

Kazimierz*** poznał i pokochał córkę swojego niegdyś towarzysza broni, — i czysta, spokojna miłość połączyła go z bogobojném dziewcęciem, z ośmnastoletnią Heleną, co żadnego nie czytała romansu, co zasad ś. religii i dziejów naszej przeszłości uczyła się mową rodzinną, mową przodków swoich, mową dla Kazimierza wdzięczną, w najłżejszych odcieniach zrozumiałą, z duszy i z serca płynącą. — Kiedy Kazimierz i Helena coraz nową spójnią i strojnością myśli i uczuć ogniwo najszcześliwszego pożycia stwarzali, a swoim rodzicom niewysłowioną niesli pociechę i radość, — Alfred i Tulipcia z wzajemnej obojętności przeszli przy końcu drugiego roku małżeństwa do obustronnych wyrzutów, do jawnej kłótni, wstępu i nienawiści, manifestującej się słowami najsprośniejszemi, najżelźwyszemi. — W tak cierpkim do męża stósunku Tulipcia szukała rady i pomocy u swojej przyjaciółki, u panny Chourgotte. — Powszechnie to znana jest rzeczą, że przyjaciółki, a zwłaszcza z gatunku Chourgotte, przewybornie radzić umieją. Dnia 18 marca 1821 roku pani Alfredowa*** zniknęła z Paryża. Z kim pojechała, dokąd pojechała, pan Alfred*** w głowę zachodził, — posądział Włochów, Anglików a nawet i swoich rodaków, — ale rzeczywistego śladu powziąć nie mógł.

W końcu zamierzył do kryminalnej pociągnąć odpowiedzialności pannę Chourgotte, jako

domniemywaną sprawczynię jego hańby i nie-szczęścia, gdy nadspodziewanie został aresztowany i odprowadzony do więzienia ś. Pelagii za marne 60,000 franków, pożyczonych w czasie ubiegłego karnawału.

W rok po tém zdarzeniu pan Dourens w Warszawie odebrał następujący list w języku francuzkim, który tutaj w wiernym przekładzie umieszczam.

Neapol 23 marca 1822 r.

Szanowny Ziomku!

Przed dwoma miesiącami Alfred*** umarł w Paryżu. Pozostała po nim wdowa, idąc za prawdziwą skłonnością serca swojego, zaręczoną wczoraj została młodemu, bo dopiero 18 lat liczącemu, kawalerowi Don Navez, jednemu z najznakomitszych poetów Hiszpanii. Tulipcia jest bardzo szczęśliwą. Ślub odbędzie się w dniu 10 maja pod lazurówem Italii niebios sklepieniem u stóp Wezuwiusza, na co już poetyczny oblubieniec potrzebny indult wyrobił. Nikt tutaj o czém inném nie mówi, tylko o tym wielkiego natchnienia pomyśle.

Ja mam być ubraną w stroju Sarmatek, jako reprezentująca matkę oblubienicy. Na ten wielki obrzęd zaprosiliśmy wszystkie znakomości stolicy. Z obok załączonego urzędowego pełnomocnictwa, którém Cię nasza pocziwa Tulipcia zaszczyca, taki zrobisz użytek. Ponieważ dobra Chrapy są z ojczystego spadku dzie-

dzictwem Tulipci, więc panią Widłowską przypozwiesz do zdania rachunku pobieranych dochodów od śmierci śp. Anzelma Widłowskiego.

Przez ten obrachunek powinienes posagową sumę pani Widłowskiej zupełnie umorzyć. Po ukończeniu tego procesu dobra Chrapy masz sprzedać bezzwłocznie komukolwiek i za jaką bądź sumę, bo głównym jest warunkiem, abys pieniądze przysłał najdalej przy końcu czerwca do Frejburga w Szwajcaryi, gdzie my tam 15 czerwca z pewnością przyjedziemy na słabość Tulipci; a już w początkach września oczekiwać nas będą w Madrycie. Wspaniałomyślna Tulipcia za wypełnienie jęj poleceń przeznacza Ci 20,000 franków, którą to sumę upoważnia Cię odebrać z wypłaty szacunkowej dóbr Chrapy. Czekamy Twój odpowiedzi jak najrychlejszej. Za tak korzystny dla Ciebie interes, proszę Cię, abys mi przysłał prawdziwy szal turecki i abys mi doniósł, czy to jest prawdą, że mój brat założył restauracyą w Warszawie i że już do 100,000 zarobił. Panu Gapińskiemu przy zdarzonej sposobności odeślij mój bilecik, a panu Kazimierzowi*** powiedz, że go Tulipcia zawsze kocha.

Do widzenia się! do widzenia.

Suzette Chourgotte.

X.

Wczoraj z południa już od godziny miłą dla serca mojego prowadziłem rozmowę z jednym

z moich przyjaciół, gdy służący oznajmił przybycie jakiegś *ubogiej pani*. Proszę, — odpowiedziałem służącemu. Goszczący u mnie przyjaciel, czy przez delikatność czy przypadkiem oddalił się do przyległego pokoju, gdy do mojej komnatki wsunęła się chuda, wysoka kobieta z obliczem nadzwyczajnych cierpień, lat, jak mi się zdawało, sześćdziesiąt, w ubiorze niegdyś bardzo strojnym, obecnie bardzo wyszarzanym i bardzo zniszczonym.

— Jakież interes panią do mnie sprowadza?

— Powiadano mi, że pan potrzebujesz artykułu do nowej gazety pod *tytułem* Dziennik warszawski na feileton, a ja posiadam bardzo duży artykuł.

— O czém i przez kogo pisany?

— To jest tłumaczenie moje własne jednego z excelujący romansu sławnego Dumas.

— Redakcja Dziennika warszawskiego przyjęła z zasady tłumaczonych romansów nie umieszczać; ale księgarze tutajsi bardzo chętnie drukują przekłady francuzkich romansów.

— Ja byłem u kilku, ale natenczas nie mogą drukować...

— To pani się wstrzymaj, aż będą mogli drukować.

— J'ai besoin d'argent.

— Pani jesteś zapewne Francuzką?

— Ja urodzona Polka, née Widłowska.

Przez uchylone drzwi przyległego pokoju zaj-

rzał mój przyjaciel Kazimierz***, obaczył mówiącą i z przerażeniem zawołał: Ach Boże! to ona, Tulipania!

— Ah mon Dieu! c'est vous Casimire! i ubrudzoną chusteczką zasłoniła pomarszczoną twarzą.

Kazimierz*** uchwycił za kapelusz i wybiegł do sieni, prosząc mnie o jedną chwilę rozmowy.

— Ja nie mogę patrzeć na jej nędzę; oto 300 złp., więcej nie mam przy sobie; spytaj się, gdzie mieszka — nie powiadaj, że odemnie, ale ją zapewni o dalszej pomocy.

Tulipcia ze łzami wdzięczności przyjęła złp. 300, wymieniła numer domu i ulicę, przy której mieszka, i do szarej godziny opowiadała mi rozmaite przygody swojego życia.

— Więc po śmierci pana Navez pani trzeci raz poszłaś za mąż?

— Tak, za tego Anglika, co był taki brutal.

— I Anglik także umarł?

— Nie, on żyje, ale pojechał do Kalifornia.

— I czemuż pani z nim nie pojechała do Kalifornii?

— Nie chciał mnie *wziąć* ze sobą.

— A panna Chourgotte?

— Ona w Paryżu za mąż, bardzo bogati...

— A któż mieszka w Chrapach?

— Ten pan, co się ożenił z córką pana Dourens.

— I pani się będzie procesować z panem Dourens?...

— Ja będę; wczoraj dostałam świadectwo, że ja uboga, proces nie będzie kosztował.

— A matka pani czy żyje jeszcze?

— Żyje, — mieszka w dobroczynność.

— A gdzie pozostały dzieci z pierwszego małżeństwa?..

— Jeden tylko córka jest u moi dawny guwernantki w Paryżu.

— A z drugiego małżeństwa?...

— Dwóch syna w Madryt.

— A z trzeciego małżeństwa?

— Jednego syn w London.

— Czy pani wiesz, komuś winna przypisać nieszczęście swojej matki, swoich trzech mężów i czworga dzieci?...

— Je ne sais pas...

— Pannie Chourgotte!...

— Je ne sais pas. —

— Ale lucyper wie oddawna i we właściwym czasie obliczy wasze zasługi. — Teraz wędruj asani do swojej kwatery, bo się już na ulicy ściemniło.

Asani powędrowała, — jam za świeżej pamięci zeskicował pokrzywkę, — daj Boże, aby na pożytek starających się o zagraniczne guwernantki.

TRUDNO UWIERZYĆ

A JEDNAKŻE I TRUDNO NIE WIERZYĆ.

TRUDNO UWIERZYĆ

A JEDNAKŻE I TRUDNO NIE WIERZYĆ.

Są dziwy, o których się naszym filozofom nigdy nie śniło.

Już od godziny pan Alfred Bronisławski, niemieckiego uniwersytetu uczeń, rozprawiał i dowodził, że czasy grubej niewiedomości minęły, że dzieła boskie stały się dla człowieka jasne i najzupełniej zrozumiałe; i począł wykladać, że dusza po śmierci pojedynczego człowieka powraca na łono ducha ogólnego, — że życie dziecięcia jest siłą ujemną, ogólnego ducha siłą dodatnią, że ten duch ogólny dostateczną liczbą śmierci osób pojedynczych za pewnym czasem dozupełniony, stanie się *A* pomnożoném przez *A*, czyli potęgą doskonałości duchowej i na niebieskim zasiądzie *stolcu* *) i już nieodwołalnie światu panować będzie,

*) Wyraz starodawny, oznaczający krzesło tronowe.

itd. itd. Pan Alfred mówił z takim zapalem, z tak dobitnem przekonaniem, z tak głęboką nauką i mądrością, że w liczném gronie obecnych najzgodniejsze panowało milczenie, — gdy przy kominkowym ognie siedzący, z ukosa na pana Alfreda patrzący się dziedzic Lissówki, pan Hiacynt Szpakowski, obywatel w wieku podeszłym, wyjąwszy króciuchną z ust fajeczkę, powstał i z udaną odezwał się grzecznością.

— Zbudowałeś nas, panie Alfredzie, swoim świeżym i jasnym rozumem, słuchaliśmy cię z uwagą, pozwól, że cię teraz o małeńkie spytam objaśnienie; — racz mnie łaskawie posłuchać.

Było to, panie dobrodziej, pod jesień; wybrałem się w pole do siewu pszenicy i, jako do myślistwa nazwyczajony, wziąłem z sobą smycz chartów. — Jadąc stępem przez wieś, spostrzegłem kobietę, załamującą ręce i zanoszącą się od płaczu; — na jej twarzy była wrytą boleść i rozpacz. Wie Pan Bóg o tém, wiedzą i sąsiedzi, że Pan Bóg o tém, wiedzą i sąsiedzi, że mam serce tkliwe i czułe na nieszczęście bliźniego, — przystanawszy więc spytałem:

— *A cóż ci się stało, Jędrzejko, że tak ciężko lamentujesz?*

— Jakżeż nie mam ciężko lamentować, kiedy oto *mój* w chałupie już kona i mnie z dziećmi biedną sierotę opuszcza.

Serce mi się z żalu ścisnęło, a więc zesko-

czywszy z konia, ozwałem się do oniej płaczącej kobiety: — *może też jeszcze pan Bóg przemieni.*

— Kiedy on już od godziny w konaniu i jedno patrzeć, rychło zamrze nieborak.

— Zobaczę ja, zobaczę.

Tych słów domawiając, przestąpiłem próg chałupy i spostrzegłem rozciągniętego chłopka na ubogiem posłaniu. Oczy bielmem zasze miały w słup postawione, ręce i nogi jak lód zimne, usta martwe, piersi jeno pracowały przyspieszonym a ciężkim oddechem i rzeczywiście niewątpliwem a widocznem było konanie. W chacie wieśniaka, panie dobrodziej, nie wstydzimy się religijnych zwyczajów; — przykląknę na kolano i pochylony ku obrazom świętych pańskich, całą ścianę nad łóżkiem zapelniających, z czystą wiarą odmawiałem *modlitwę za konającą*, gdy naraz poruszanie się piersi konającego ustało, — cała postać wyprężyła się od stóp do głowy, — całe ciało zastygło — i w tejże chwili . . . ale pan dobrodziej zapewne nie uwierzy, jednakże ja to na moje własne oczy widziałem, — z ust tego chłopka uleciał czerwono-niebieski *per modum* płomyczek ot tej wielkości jak paznokieć u serdecznego palca, tylko że był u góry nieco zwężony; — i panie dobrodziej, ten płomyczek wzniósł się nad łóżko i skierował się ku drzwiom, otworem stojącym; wtém moje charty, które za mną przyszły do izby, postrzegłszy ten płomyczek, poskoczyły

ku niemu; *Cudna* się spięta, *Lotka* dała susa — i o włos jeden że nie schwyciła; — płomyczek na piec, — *Cudna* za nim; płomyczek ku komorze, — *Lotka* w progu; na raz płomyczek uderzył w okienko, szybkę wyłamał i na wieś popłynął; — aliści wołoski, kudłaty *Wicher* jak swoją szeroką piersią palnie w toż okienko, tak je też i z ramkami wysadził. *Cudna* i *Lotka* za nim, ja wybiegam przededrzw, patrzę — płomyczek płynie ulicą, charty za nim. Około kuźni widziałem go już tylko jak główkę od śpilki; przy wiatraku już nie dojrzałem, jenom widział, że psy się łamią w obrotach — i trwało to minut dwie, trzy najwięcej. Naraz spostrzegam, że tą samą ulicą płomyczek wraca, charty tuż, tuż coraz bliżej; — płomyczek wpada przez okienko napowrót do chałupy, charty za nim; płomyczek pod łóżko, *Lotka* za nim; płomyczek na szafkę z garnkami, *Cudna* za nim; płomyczek do komina, *Wicher* chlapnął pyskiem i znów o włos tylko że nie uchwycił; nagle płomyczek się zakręcił — i chup!... wpada w usta zmarłego chłopka, który natychmiast — ale pan dobrodziej temu i nie uwierzy — oczy otworzył i, podnosząc się z łóżka, dosyć silnym wymówił głosem: „*A pódziesz*“ i mojego *Wichra* kulukiem w trąbę uderzył.

Krótko panu dobrodziejowi dokończę; chłoppek wstał, zadział na się sukmanę, ujął mnie za kolana i wyrzekł z wdzięcznością: „Bóg za-

płać wielmożnemu panu; póki żyw będę, nie zapomnę, że mnie wielmożny pan swojemi chartami od śmierci uratował.“

Czwarty od tego czasu minął już miesiąc; chłoppek, panie dobrodziej, zupełnem cieszy się zdrowiem — tak nam daj, Boże, na najdłuższe lata.

Ja się tam filozofii nie uczyłem; ale to, com panu dobrodziejowi opowiedział, na własne oczy, w mojej własnej wiosce, w miesiącu wrześniu przeszłego roku widziałem i wnioskuje, że to co innego być nie mogło... tylko dusza!...

Wiarogodny obywatel umilkł, uczeń niemieckiego uniwersytetu głęboko się zamyslił.....

NADZWYCZAJ RZADKA

W KRAJU NASZYM OSOBLIWOŚĆ.

NADZWYCZAJ RZADKA

W KRAJU NASZYM OSOBLIWOŚĆ.

W miesiącu maju bieżącego roku 1847 odwiedziłem zacnego obywatela w powiecie stanisławskim nad rzeczką Liwcem. Uprzejmość i szczerą gościnność, widok porządku i ładu w gumnach, we wsi i na polu, miłe zbudziły uczucie. Cały ranek spędziliśmy na oglądaniu inwentarzy, zasiewów, nowych budowli i na przyjemnej pogadance. Około południa poczęli się zjeżdżać sąsiedzi i sąsiadki, — było dzień rocznicy urodzin, w prawdziwem znaczeniu tych wyrazów, *czcigodnej matki obywatelki*, gospodyni tego domu. Z każdą chwilą zwiększało się nasze towarzystwo i przy drugiem śniadaniu naliczyłem osób trzydzieści.

— Któż jest ta pani w atłasowej sukni?....

— Pani S.... wdowa, dziedziczka Jagięcej Woli.

— A ten jegomość łysy?....

— Dzierzawca z Pestkowa.

— A ten wysoki, tłusty pan z nosem czerwonym, który konfitury łyżką stołową uprzęta?

— To jest dziedzic *Lisiego Krza*, obywatel bardzo majątny....

— A ta panna mocno usznurowana czyjaż to córeczka?....

— To jest córka téj pani, która się w zwierciadle przegląda.

— A ta druga panienka?....

— To jest córka pułkownika K..., który tak starannie przepolszczył *Wyzwoloną Jerozolimę* Torkwata Tassa.

— Pogodném i szlachetném jest jój ócz spojrzenie.

— Inném być nie może, bo pogodną i najszlachetniejszą jest jój dusza, a oczy są wierném duszy zwierciadłem. W majątku swoich rodziców otworzyła szkółkę wiejską i w téj szkółce jest od lat kilku pilną i najgorliwszą nauczycielką. Z jój ust nie posłyszysz terminologii filozoficznej, pomimo że jój naukowe ukształcenie wysokiego doszło stopnia; ale to naukowe ukształcenie skierowała nie do słów uczenie, górno brzmiących, lecz do najszlachetniejszego na ziemi czynu, do umiłowania ludu wiejskiego, do chodowania młodych latorośli w chrześcijańskim ogródku, jój wolą stworzonym.

— *To jest nadzwyczaj rzadka, a bez zaprzeczenia najznakomitsza i najszlachetniejsza w kraju naszym osobliwość.*

Wy wszystkie pseudo-postępowe, do urojonej, do niezrozumianej emancypacyi wzdychające pseudo-filozofki, okrycie się rumieńcem wstydu przed tym przeczystym wzorem chrześcijańskiej dziewicy.

Tém krótkiem spomnieniem składając publiczną cześć Ludwice, nauczycielce szkółki wiejskiej, pytam nawiasem (bardzo lubię nawiasy) tego wysokiego, tłustego pana z czerwonym nosem, który stołową łyżką konfitury zajada, po zł. 60 sukno angielskie kupuje, batysem nos uciera, wyłącznie paryżkie czyta romanse, przez złote okulary świat ogląda a na niewdzięczność ludu wiejskiego utyskuje, jakżeż po dziś dzień wywiązałeś się, uprzywilejowany panie, z duchowego obowiązku względem ludu wiejskiego? He? gadajże przecież!

— Moi ludzie nie pomarli z głodu i na kark im nie ciecze.

— Dla zwierząt pasza i obora wystarczają; człowiekowi, bliźniemu nie uchylajmy praw najwyższych, praw boskich.

SŁÓW KILKA

o pannach bardzo dobrze ułożonych; o pannach, które nazywają osobami dystyngwowanemi; o pannach frontowych; o pannach, które mają pięknie umeblowaną główkę i o pannach gospodarnych.

SŁÓW KILKA

o pannach bardzo dobrze ułożonych; o pannach, które nazywają osobami dystygwowanemi; o pannach frontowych; o pannach które mają pięknie umebłowaną główkę i o pannach gospodarnych.

Kiedym moje pierwszą wiejską gospodarkę rozpoczął, opatrzyłem się przedewszystkiem wogary i charty, w jamniki i wyżły, na błoto i na suche pole; a następnie chełpiłem się przed sąsiadami, że moje ogary sarnę forsują, że moje jamniki nietylko lisa ale i starego jaźwca duszą; — o mojej zaś Dyance, kasztanowatęj wyzlicy z przekrajanym nosem, mawiałem zawsze, że jest przewybornie *ułożona*. Dziwnie więc zabrzmiało w uszach moich, gdym tutaj w Warszawie posłyszał: „*Panna jest dobrze ułożona*.” Czyby do kuropatw stawała?... pomyślałem w pierwszym niewiadomości zapędzie; — a może na błoto?... Ale wywiódł mnie z błędu świadomy rzeczy jegomość, zapewniając, że panna *bardzo dobrze ułożona* jest mniej więcej taką samą, jak była za Księstwa warszawskiego panna z *bardzo piękną edukacją*.

Wiele, bardzo wiele byłoby pisać o dzisiejszém umysłowém kształceniu córek i sióstr naszych Znam dystyngwowane mamy i papy, płacące za lekye tańca po złp. 20, — a za godziny *innych przedmiotów* po złp. 1 . . . zwyczajnie jak co jest w modzie.

Tymczasem opowiem Państwu Dobrodziejstwu moje niektóre spostrzeżenia nad *niektóremi* nowemi rodzajami panien.

1) *Panna bardzo dobrze ułożona* tańczy przesłicznie i gra na fortepianie kompozycye Liszta i Thalberga; śpiewa wielkie arye włoskie, — mniejsza o to, że najfałszywiéj, ale wielkie; — mówi dobrym akcentem nietylko po francuzku ale i po angielsku; czytała całego George Sanda i odgaduje niekiedy *rebusy* w francuzkich gazetach ilustrowanych; w rodzicielskim domu rój wiedzy; jeździ konno i — spodziewa się rychło iść za mąż.

2) *Panna, którą nazywają osobą dystyngwowaną*, czyta z namietnością wszystkie pamiętniki (*Memoires*) i wierzy w nie bezwarunkowo; pisze o emancypacyi kobiet; zwykle już nie tańczy; ubiera się niekiedy w czepek a bardzo często w kosztowne i zgrabne pantofelki; przychodzi w większe towarzystwa sama jedna a chętnie młodszym pannom matkuje; lubi mocną herbatę i słabą już żywi nadzieję zrobienia dobrej partyi — chociaż kabała nie raz jęj wiele szczęścia obiecuje.

3) *Panna frontowa* odłącza się w towarzystwie od innych panien; zaczepia mężczyzn, mówi głośno i śmiało mianowicie też obcym językiem; nigdy nikomu i w najdrażliwszych odpowiedziach niedłużna a często i cięta; z góry spogląda na inne kobiety; przekonana o swojej urodziwości i o swoim rozumie; grywa najmocniejszém uderzeniem klawiszy, śpiewa z uśmiechem zalotnym na ustach i w oczach; ubiera się modnie i z gorsem bynajmniej nie-skąpo odsłonięnym; tańczy wiele i stara się o to, aby w pierwszej parze stanęła; przy tém wszystkiém najwidoczniéj jest pewną zwycięstwa; niewieścia łagodność jest dla niéj obcą; łyzy w jęj oku nie spostrzeżesz; do zemsty skłonna; w wyborze małżonka jęj serce żadnego nie ma udziału.

4) *Panny, które mają pięknie umeblowane główki* potrafią listy pisać w pochlebnych wyrazach, charakterem bardzo ładnym, ale niezupełnie ortograficznie; wiedzą wiele szczegółków z historyi Ludwika XIV i XV; lubią mówić o Dziewicy orleańskiej i o Maryi Stuart; czytały kilka rozdziałów z historyi rzymskiej; częstokroć są racjonalistkami i komponują dla młodszego rodzeństwa wiersze na imieniny dziadunia, babuni, mamy i papy.

Za mąż idą z wielką ochotą.

5) *Panny gospodarne* mało mają posagu; zjadliwie wyśmiewają kobiety prawdziwie wyż-

szego ukształcenia; piszą listy bez litości niepoprawne; francuszczyzny nie zrzekają się zupełnie, ale ją kaleczą niemiłosiernie; czytają wszystkie *Tajemnice* i tłumaczone romanse z obcych języków; smażą wybornie konfitury; pieką smaczne sucharki; umieją przyrządzać leguminki; częstują wszystkie przyjaciółki fałszywemi receptami na placki; bardzo wiele jedzą; wiele gadają o gospodarstwie; wiedzą, gdzie są wiktuały i towary najlepsze i najtańsze; nigdy prawdziwej ceny kupna nie powiedzą; w domu używają przydeptanych trzewików; w ubraniu starają się o wielość kolorów; lubią biegać za sprawunkami chociażby za cudzemi; na ulicy nigdy się nie zabłocą, służące ustawicznie łają; tańczą zamaszysto; każdą grzeczność przyjmują za dobrą monetę; lubią plotki i wiele gadają bez doboru wyrazów; w zamiężpójściu nie są wybredne.

Bogobojnych, skromnych, a ludziom potulnych dziewczeczek, któreby nie znały *savoir parler*, z latarnią szukać potrzeba i to tylko w domach dawniej religii, dawniej cnoty; a na nasze wielkie nieszczęście liczba takich domów zmniejsza się widocznie.

Au. Wi.

Co znaczy, gdy młodzieniec jest dobrze, gdy
jest bardzo dobrze i gdy jest skończony.

Co znaczy, gdy młodzieniec jest dobrze, gdy jest bardzo dobrze i gdy jest skończony.

Wiadomość w lepszych ale nie w najlepszych towarzystwach schwycona i stylem grubiańskim *) opisana przez Au. Wł. ch. fil.

Bywając niekiedy w *lepszych* towarzystwach, słyszałem starsze i młode panie powtarzające: „*Staś jest dobrze*“, pan Alfred „*jest bardzo dobrze*“, a niedawno dziewczynka szesnastoletnia objawiła w salonie cioci generałowej, że pan Emilian jest „*skończony*“. Nie uwierzycie państwo, ilem ja sobie mojej biednej natrudził głowy, usiłując odgadnąć, co panie rozumieją pod tém wyrażeniem: „*Staś jest dobrze*“, „*Alfred bardzo dobrze*“ i przy-

*) Najznakomitsi recenzenci *vel* krytycy *seu* sędziowie piśmienictwa w różnych częściach kraju naszego zgodzili się na to, że w moich Ramotach i Ramotkach jest szorstkość, — ale nie objawili wysokiego zdania, czyli ten zarzut dotyczy myśli czy wyrażen? . . . a to jednakże różnica niemała! . . . Rozsądniej postąpiła ustna krytyka salonowa, wyrzekłszy, że Ramotki są pisane stylem grubiańskim; — gdy zaś zdanie salonów jest niewątpliwe i nie-mylne, więc tedy wiem z pewnością, że mam styl grubiański.

znaję się, żem sobie dziwaczne a dla pań nie-najkorzystniejsze czynił domysły; — „skończony“ zaś Emilian tak wielką we mnie wzbudził ciekawość, iż z narażeniem przyzwoitości zapytałem szesnastoletniej dziewczynki: „Zkąd pani wiesz, że pan Emilian jest *skończony*?“ ... Szesnaścieletnia Wicencya, spojrzawszy na mnie z zadziwieniem, bardzo dowcipnie odpowiedzieć raczyła: „Pan jesteś nieskończony, gdy się pytasz, co znaczy *skończony*“ — i panna Wicencya umilkła, a jam upiekl raka ze wstydu i z radości; — bo o ilem się upokorzył wyższością wiedzy szesnastoletniej dziewczynki, o tylem się szczerze ucieszył, żem jeszcze nieskończony. Podług moich prostych wyobrażeń w życiu ludzkim nie masz nic okropniejszego, jak być skończonym; — ja przynajmniej pragnąłbyin być w całej mojej ziemskiej wędrówce — zawsze i zawsze nieskończonym! ...

Nieskończoność to życie! skończoność to grób otwarty! to śmierć z kosą i z łopata! — *Brrum!* aż mi zimno, gdy pomyślę, że panie, że moi przyjaciele, że świat prawdomówny z litością albo z szyderczym uśmiechem wyrzeknie: „*Au. Wi. jest skończony!*“

O ty mój opiekuńczy duchu! który mnie szlakiem nieskończoności prowadziłeś aż do tej chwili, nie pozwól, abym za życia mojego był skończony! ... Ja pragnę żyć jeszcze dla tej ludzkości, którą całęm sercem ukochałem

dla sióstr i braci, dla bliźnich; dla tych cudnych nieba błękitów, na których zapisane są „wiera! nadzieja! miłość!“ — dla tego słońca, którego jutrzeńki codziennie z korną Bogu wdzięcznością wyglądam; dla tych niw ojcowskich, na których wszystkie moje myśli i wszystko uczucie w jedno zestrzeliłem ognisko; dla *Dzwonu* mojego, dla *Ramotek*, dla salonów, dla moich wierzących i — dla was, czarnobrewie i jasno-włose miłące się koteczki, — dla wszystkiego pragnę i chcę być nieskończony! ... Jam tego w moim grubiańskim stylu wyrazić, wysłowić niezdolny; ... ale trudna rada, od razu głową muru nie przebiję, więc wracam do porządku.

Bynajmniej odpowiedzią panny Wicencyi nie objaśniony począłem rozmyślać, następnie przez rok cały śledzić i wybadywać: jacy to młodzieńcy są skończeni, którzy są dobrze, a którzy bardzo dobrze. Com zbadał i wysłodził, szczerze opowiem.

Jeżeli zobaczysz wyrostka, który po przymusowem przedukwieniu nauk gimnazyalnych, częstokroć nawet nieskończonych, — albo co gorsza — z pod stempla guwernerów francuzkich na *Boży* świat wychodząc, żadnego nie obiera zawodu pożytecznego dla kraju, ale natomiast z pospiechem ustroi się w osobliwe sukienki najświeższej mody paryżkiej, włosy żelazkiem przypieka, ciasne nosi rękawiczki, —

przytęm umie na pamięć kilka grzeczności francuzkich, tańczy *polkę* z zadzieraniem pięty, nie zmyli się w kontredansie i rażącej nieprzyzwoitości nie popełni, — płeć piękna zawyrokuje w salonach: „*on jest dobrze*“, a ludzie rozsądni powiedzą: *to próżniak*, a ludzie naukowci mrukną pod nosem: *to głupiec* . . .

Jeżeli zobaczysz takiego próżniaka i głupca barczystym, silnie zbudowanym, *śmiałym* w salonach i stanowczo rozprawiającym o kilku powieściopisarzach francuzkich, płeć piękna zapewni cię, że ten pan jest *bardzo dobrze*.

A jeżeli ów *bardzo dobrze* napisał kilkanaście rymów w imionniku, jeżeli był *za granicą*, widział Wezuwiusz! Neapol, Rzym, Paryż i Szwajcaryą; jeździł statkiem parowym na Renie i chociaż przez pół roku słuchał w Berlinie wykładu filozofii, którą *w chwilach uczuciowych* po salonach ogłasza, — i gęsi i gąski i lwice hurmem krzykną: „*skończony młodzieniec!*“ . . . A przecież to tylko bałwan, który za granicą utracił albo nadwreżył zdrowie i majątek, — *bałwan*, który niczem się do powszechnego dobra nie przyczyni, który się nadyma pokrewieństwem z rodzinami imion sławnych, który w najdroższych hotelach i restauracjach resztki ojcowizny marnuje i skryte zagina pa-
role — na panny milionowego posagu.

O pracowitym chłopku albo rzemieślniku, o obywatelu, który szczerze stara się moralny

stan ludu wiejskiego podwyższyć a rolnictwo ulepszyć; o zacnym kapłanie religii, o dzielnym wojowniku, o biegłych doktorach medycyny, o pocziwych literatach, o gorliwych i sumiennych urzędnikach, o zdatnych profesorach nie usłyszysz, że są *dobrze*, *bardzo dobrze*, albo że są *skończeni*. Te przydomki należą się wyłącznie młodemu paniczom salonowym, pasożytom, bezużytecznym trutniom społeczeństwa . . . — owym hotelowym dobrodziejom, owym filarom restauracyi francuzkich, owym gospodarzom pikników — itd. itd. *)

Każdy ojciec, o którego synach mówią, że są *dobrze*, *bardzo dobrze* albo *skończeni*, srodze rumienić się winien, bo przez zły kierunek wychowania swoich gagatków liczbę darmojadów powiększył, krzywdę krajowi wyrządził.

*) Jeżeliś w czamarze, w ubogiej kapotce albo we fraku nieco dawniejszej mody i gładko po francuzku nie paplesz, bez względu na twój charakter i na twoje zasługi *skończeni* nazwą cię: „*mauvais genre*!“ — a znów zyskasz u nich nazwę „*comme il faut*“, jeżeliś w modnym ubraniu kosztowne z nimi odbył bachanale w je-
dny z tych ogrodów, w których *skończone* dziewczyny nad ich sercami panują . . . Niestety! mamy obecnie wiele *skończonej* młodzieży.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

W WARSZAWIE.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

W WARSZAWIE.

Zaledwo usłużny Kuryerek doniósł, że Kraszewski jest w Warszawie, a już każdy czytad umiejący wiadomość tę ze spółczuciem powtarzał i z ust do ust podawał. Warszawa z dawien dawna jest miastem pocziwém. Spółczucie dla krajowego pisarza czyni zaszczyt społeczności, prawdziwie szlachetny zaszczyt, — bo są i nieszlachetne zaszczyty; np. czytałem ogłoszenie, że jakiś pajazzo miał mieć zaszczyt chodzenia po linie; kupiec przy siódmém rozmyślném bankructwie miał zaszczyt ofiarować swoim wierzycielom po 20 za 100; lichwiarze mają zaszczyt upraszać o lichwę od lichwy, a obrzydliwszych jeszcze zaszczytów coraz to więcej. — Lecz mniejsza o to; bywa czas mokradel na chwasty, są i rosy niebieskie na wzrost i dojrzanie ziarn pszenicznych. Koniec końców ku zaczęj stronie wracając, Kraszewski miał

zaszczyt być powitany w Warszawie najprzód ogólném spółuczuciem, następnie mnóstwem pojedynczych oznak czci, uwielbienia, przyjaźni i życzliwości, a tylko w ciasnych zaułkach brudniejszego serca zazdrość mleczkiem się zółciła, — lecz o takich jaszczurkach i wspominać nie warto.

Kraszewski czy to geniusz? ... Nie, — to znamienity talent tylko, a z tym talentem chęć zawsze prawa, szlachetna i pocziwa; wytrwałość niezmordowana i namiętna, obfitość olbrzymia, łatwość, jak gdyby na kotle parowym warzona, ztąd czasem znów szmermele, a tuż przy szmermelach dzielne kongrewskie rakiety. Kraszewski w przeciągu lat 15 napisał 130 tomów!

Gdybyś literki policzył, byłoby milionów kilkanaście; — gdybyś atrament odwilżył, byłoby garncy kilkadziesiąt; gdybyś pióra pozbięrał, mógłbyś tysiącem skrzydeł z Warszawy do Ameryki powietrzną odbyć żeglugę; gdybyś papier zgromadził, mógłbyś w którémkolwiek z miast powiatowych wszystkie budowle z wierzchu i wewnątrz wykleić, a gdybyś wszystkie myśli na jeden zegnał rynek, byłby zgiekł, wrzask, hałas i kłótnie na mil kilkadziesiąt wystarczające.

Prócz Ulany ludowych poswarków nadzwyczaj skąpo; — szkoda, bo Ulana jest najpiękniejsza, przedmiot najwięcej żywotny, najwięcej chrześcijański.

Było to z południa o godzinie 4. dnia 5. grudnia roku od stworzenia świata 5751*), gdym w poobiedniej godzinie, *Witoldowe* czytając *boje*, zdrzymnął się troszeczkę. Już od roku jak po obiedzie drzymać zaczynam. Mój Boże! minęła ta jarka młodość, w której za dnia ani na chwilę leczkę zasnąć podobnem nie było, a cóż dopiero przy czytaniu *Bojów*.

Drzymię, marzę o przeszłości, o czasie obecnym i przyszłym, i już mi się na piękny sen zbierało, gdy wtém z łoskotem wbiega do mojego pokoju siwo-oki Erazmek i z zarumienioną twarzą ku mnie zawołał:

— A wie wujaszek, kto przyjechał? ...

— Wiem.

— No któż? ...

— Manas Szlama z Opatowa, który ma twój rewers z roku 1843. Był tutaj już dwa razy i życzy sobie widzieć się z tobą koniecznie.

— Jam mu złamanego grosza nie winien.

— On też o złamany grosz nie upomina się wcale, tylko o 1730 złp. z procentem prawnym po sześć od sta.

— A czy nie wziął czterdziestu korcy pszenicy i dwudziestu trzech sążni drzewa? ...

— Nie wiem, czy wziął, czy nie wziął, ale widziałem, że jest w posiadaniu rewersu z twoim imieniem i nazwiskiem; — jeszcze w po-

*) Jeżeli się w rachunku nie pomylili.

środku umieścić „*Habdank*“. Nie wiedziałem, że tak pięknego herbu używasz. Ale bo też pożyczając od żyda 1780 złp., można się *Habdank* podpisać.

— Wujaszek zawsze żartuje. Mniejsza o żyda; wie wujaszek, że Kraszewski przyjechał?

— Był tu u mnie dziś rano.

— Kraszewski?...

— Kraszewski, który się z Urszulką, moją siostrą stryjeczną, ożenił, podobno Bonifacy mu imię.

— Ale to nie ten Kraszewski: Józef Ignacy Kraszewski, sławny literat przyjechał i stanął w hotelu angielskim.

— Czytałem w Kurjerze i jutro odwiedzić go zamierzam.

— Jakto? ... a przecież on do wujaszka przyjść powinien.

— Widzisz, Erazju, w Anglii jest zwyczaj, że przyjeżdżający nie błądzi, szukając znajomych po nieznanem sobie mieście, ale znajomi odwiedzają przyjeżdżającego. Zwyczaj ten za słuszny uznaję i użyję go do odwiedzin Kraszewskiego tém więcej, że przez to pragnę złożyć należny hołd jego wielkiej zasłudze w życiu naszego piśmiennictwa, i z całego serca żądam go poznać naocznie, bo listownie znamy się od lat kilku.

Nazajutrz gdym o godzinie 10ej z rana przyszedł do hotelu angielskiego, nie zastałem

pana Józefa, ale zacny rodzic autora, pan Jan Kraszewski, chorąży, raczył mnie prosić uprzejmie, abym się zatrzymał, zapewniając, że syn za chwilę z miasta powróci*). I w istocie nie ubiegło 5 minut miłej rozmowy, gdy drzwi się nagle rozwarły i wbiegł Józef Ignacy Kraszewski.

— Otóż i jest mój syn — zawołał pan chorąży.

Serce moje głęboko zadrżało: widok człowieka, który pocziwiej literackiej służy sprawie, a służy z poświęceniem swojego zdrowia i wszystkich sił swoich, widok Józefa Kraszewskiego nappełnił mnie rzewnem i słodkiem uczuciem.

— Jestem Au. Wi., przybyłem, aby się z tobą osobiście poznać.

— Serdecznie ci dziękuję i wdzięczny ci jestem za krok, uprzedzający moje życzenia osobistego poznania się z tobą. — I uścisnęliśmy się szczerze jak dwaj dawni, dobrzy znajomi.

W tę chwilę przyszedł drugi, trzeci i czwarty literat. Po miłych przywitaniach nastąpiły pytania, odpowiedzi, — a ja tymczasem patrzyłem się pilnie, jak też ten olbrzym literacki wygląda.

Wam, coście go nie widzieli, opiszę.

*) Do nader przyjemnych chwil życia mojego liczę bliższe następnie zapoznanie się z czcigodnym Janem Kraszewskim, chorążym, którego szlachetna słodycz, prawa szczerość i domowa gościnność żywo mi przypomniały starodawny obyczaj odleglejszych przodków naszych. Wieczorna zaś gawędka z panem chorążym, — to nek-
ar dla znużonego serca sztywnymi formami wielko-miejskimi.

Wzrost niski, budowa szczupła, włosy jasne, oczy modre, spojrzenie żywe i wesołe, na czole myśl widoczna, nos wielki, uszy cudownie małe, usta obdarzone przyjemnym uśmiechem, — w ogóle cały wyraz wdzięcznie uprzedzający; — trzyma się nieco pochyło, świadectwo ciągłej pracy piśmienniej, pracy nadzwyczajnej; urodził się w roku 1812, liczy więc obecnie lat 34, — wydaje się młodszym. Ubiór miał bardzo przyzwoity: czarny, skromny, bez najmniejszej oryginalności.

Dnia następnego pan Józef odwiedzić mnie raczył. Cośmy nagwarzyli, trudno powtórzyć, boby było za wiele pisania; a nie wszystko o literaturze, bo i o rolnictwie i o handlu i o przemyśle i o ludziach w ogólności i w szczególności mówiliśmy, rozprawialiśmy, jako w mowę nieleniwi. A ciekawym jest pan Józef, więc pytanie szło za pytaniem; — jam w odpowiedziach nie rad być dłużnym, — więc nagadaliśmy się obficie. Od tej pory widywaliśmy się codziennie; byliśmy na kilku biesiadach, bo obiady i uczyły, u literatów i w tak nazwanych domach znakomitszych*) dla Kraszewskiego

*) Aby zyskać nazwę domu znakomitszego, należy mieć koniecznie:

- 1) kilku służących w liberyi;
- 2) pomieszkanc na 1 piętrze, obszerne i ozdobne;
- 3) bieliznę stołową holenderską i porcelanę i srebra;
- 4) kucharza;
- 5) wino w piwnicy;

wyprawiane, szły nieprzerwaną kolejką z dnia na dzień

Pan Kraszewski bez zarozumiałości, sercem wdzięcznym przyjmował każde zaproszenie — i ztąd był jak na młynie, chwili spoczynku nie doznał.

Kiedy się tak bieg rzeczy już przez trzeci tydzień toczy, 20 grudnia przychodzi do mnie mało mi znany, niejakiś pan Kwasikowski, a po troskliwem dopełnieniu najgrzeczniejszej formy przywitania następującą zanosí prośbę.

— Łaskawe względy, które pan dobrodziej okazać raczyłeś dla siostry mojej, oświadczając o jej rękę dzisiajszego jej męża, z którym jest bardzo szczęśliwą, ośmielają i mnie upraszać pana najpokorniej*), abyś raczył być łaskawym wpłynąć i na los mój przez przyczynienie się do szczęścia mojego na całe życie, — a nie tylko do zgonną i nieograniczoną będę najszanowniejszemu panu winien wdzięczność, ale nadto pan będziesz moim prawdziwym dobroczyńcą.

— O cóż panu idzie, mów że pan wprost, bez ustępów rozrzewniających.

6) powóz i konie;

7) ubiór podług dziennika mód paryzkich;

8) bywać na teatrze w łoży pierwszego piętra, a na koncertach siedzieć koniecznie w pierwszym rzędzie krzesel, gdyby się i pchać przyszło.

Ponieważ zaś z ukształcenia umysłowego nikt ludzi dorosłych nie egzaminuje, można przytém być głupiuteńkim.

*) Wyraz co raz więcej używany.

— Panie! mnie idzie o los mojego życia.

— I do jakieżże to kategorii ten los zmierzony?...

— Ja, panie, kocham się w jednej tutaj panience.

— A cóż, czy ja jestem panu na przeszkodzie?...

— O nie! ale pan dobrodziej mógłbyś ziścić moje wszystkie nadzieje.

— Słyszę słowa, rzeczy nie rozumiem.

— Otóż ja panu ten cały interes opowiem. Rok temu poznałem w ogrodzie Ohma bardzo ładną panienkę i zaraz dowiedziałem się, że to jest córka bardzo bogatego obywatela warszawskiego, mająca bardzo dobrą edukację, i że mówi po francuzku, że gra na fortepianie, że tańczy kaczucę i — że nawet jest autorką kilku powieści, które w rękopisach posiada; i że jej cioteczny brat bywa u państwa Butlewiczów, u których to państwa bawi się znów przyrodnia siostra pani Butlewiczowej, bardzo piękna panna, o którą ten cioteczny brat mojej panny stara się już od roku.

— Aż mi tehu brakuje, tak jestem ciekawy, gdzie mnie pan tutaj przylepisz!...

— To zaraz, panie, będzie. Otóż ja poznałem się z ciotecznym bratem...

— Przepraszam, że przerywam; dzisiaj pan jesteś w chęci żenienia się z bogatą i edukowaną córką obywatela warszawskiego?...

— Tak jest, panie; staram się o rękę panny Justyny.

— Więc zbierz pan przytomność i krótko a zwięźłowato objaśnij mnie, jak ja ci pomocnym być mam, abys rękę panny Justyny pozyskał?...

— Ja panu wszystko opowiem.

I z nielitościwie długiego opowiadania dowiedziałem się w końcu, że panna Justyna oświadczyła wczoraj panu Kwasikowskiemu, iż, jeżeli potrafi ułatwić jej sposobność poznania sławnego autora, Kraszewskiego, w takim tylko razie zezwoli, aby o jej rękę rodziców poprosił. A więc pan Kwasikowski słysząc, że ja bardzo dobrego serca, że się znam z panem sławnym autorem Kraszewskim, — przyszedł prosić i błagać o radę, o pomoc, o wpływ na jego los itd.

Gdym pojął, o co rzecz idzie, z ufnością w uczuciowość autora *Pod włoskiem niebem*, zapewniłem pana Kwasikowskiego, że jutro wieczorem z panem Kraszewskim wprost do rodziców panny Justyny przyjadę. Kwasikowski w uniesieniu rzucił mi się na szyję i tak mnie łzami wdzięczności umazał, że aż było potrzeba ręcznikiem wdzięczność jego przed zwierciadłem obetrzyć.

— Niech pan dobrodziej będzie pewnym, że ja, póki będę żył...

— Ale mój panie Kwasikowski, jeden kładę warunek, abys o żadnej wdzięczności nie gadał.

— Jakto! — ja panu nie mam być wdzięcznym? . . . bo pan dobrodziej nie wie, *jak panna Justyna jest literatką i jak ona mi będzie wdzięczną*, gdy pan Kraszewski ten wielki uczynił dla nich zaszczyt . . .

— Mniejsza o zaszczyty; powiedz mi raczej, panie Kwasikowski, *ażali téż rodzice panny Justyny bytność pana Kraszewskiego mile przyjąć zechcą?* . . .

— Co pan dobrodziej mówisz! . . . a toć że tu w Warszawie nie ma takiego człowieka, któryby pana Kraszewskiego otwartemi nie przyjął rękoma.

— Więc zgoda; zapewnij pannę Justynę, że się jutro stawimy z panem Kraszewskim. Ale, ale — gdzież mieszkają rodzice panny Justyny?

— Przy ulicy Solnej Nr.** — Ach! jak oni będą szczęśliwi! A ja panu dobrodziejowi zawdzięczać będę los całego życia mojego . . . bo ja zaraz poproszę wuja mojego, pana naczelnika, aby mnie nazajutrz oświadczył.

— Bardzo się cieszę, że chociaż pośrednio panu Kwasikowskiemu pomocnym być mogę.

Z tysiącem wyrazów wdzięczności na ustach a bez wątpienia i w sercu wybiegł pan Kwasikowski do panny Justyny, aby donieść o szczęściu swoim.

Nazajutrz o godzinie jedenastej z rana udałem się do angielskiego hotelu, aby Kraszewskiego uwiadomić, że jego osobą na jedną

godzinę rozrządził. Przychodzę do angielskiego hotelu; służący Jaś oświadcza, że jego pan ubrał się w czarny frak i w białą kamizelkę i przed godziną wyjechał na miasto.

— A nie wiesz, do kogo? . . .

— Podobno do tego pana, co to mojego pana maluje.

— Już wiem.

Idę na ulicę Miodową.

— Jest pan w domu? . . .

— Jest.

— Zapytaj, czy wolno pana odwiedzić.

— Proszę — proszę — zawołał z drugiego pokoju przeznacny artysta pan Z . . .

Wchodzę do pracowni, patrzę, jest Kraszewski na płótnie, ale żywego nie widzę.

— Był tu dzisiaj Kraszewski? . . .

— Był ale tylko 5 minut, nie mogłem go nawet *podmalować* . . .

— I gdzież pojechał? . . .

— Zdaje mi się, że do księcia J . . .

— Przepraszam cię, panie Antoni, że wpadłem jak po ogień, ale muszę ściagać pana Józefa.

Jadę do księcia J . . . i dowiaduję się, że pan Kraszewski był, ale pojechał z księciem do księcia stryja.

Jadę do księcia stryja; — książę stryj zapewnia mnie, że musiał z Kraszewskim i z księciem synowcem chyba na schodach ominąć, — i że obydwaj pojechali do księżnej R**.

Jadę do księżnej R**; powiadają mi, że co dopiero było dwóch panów, ale odjechali natychmiast, bo nie zastali księżnej pani.

Patrzę na zegarek — godzina 2; trochę mnie chłód po plecach przebieżył na spomnienie, że o godzinie 6ej los Kwasikowskiego na Solnej ulicy rozstrzygniętym być ma. Zadumany jadę do hotelu angielskiego; aliści na skrócie ulicy Czystej idzie w futrze szubce pocziwy Wójcicki, brat literat. „Stój! stój!“ krzyknąłem na powożącego mnie doróżkarza.

— Kaziu dobrodzieju, dzień dobry!...

— Dzień dobry, chirurgu!

— Nie wiesz przypadkiem, gdziebym mógł Kraszewskiego pochwytać?...

— Mówił mi, że o godzinie 2ej obiecał się do naszego S***, bo zaczął go wczoraj malować.

— Dziękuję. — Ruszaj.

I pojechałem i przyjechałem na Nowolipki. Czci najgodniejszy artysta Smokowski siedział jeszcze przed trójnogiem z mokrym pędzlem w ręku.

— Byłże tutaj Kraszewski?...

— W tę chwilę porwał mi go szambelan, tylko dziesięć minut przysiedział. A co, podobien?...

— Jak dwie krople wody. Nie wiesz, gdzie go uwiózł szambelan?...

— Zdaje mi się, że do pana referendarza stanu M**...

— Do widzenia, kochany panie Wincenty!

I wybiegłem jak postrzelony i wsiadłem do doróżki i pędzę na Nowy Świat. Referendarz zapewnia mnie, że dzisiaj Kraszewskiego nie widział, ale słyszał, że ma być na obiedzie u hrabiny P.

Hrabina P.... przyjmuje, prosi siedzieć łaskawie; Kwasikowski kręci się przed oczyma mej wyobraźni, pytam o Kraszewskiego. Był przed chwilą, będzie na obiedzie, ale dopiero pojutrze. Przepraszam, kłaniam się najgrzeczniej, odjeżdżam — dokąd?... nie wiem; aliści w porę zjawia się nieoceniony szambelan G....

— Zbawco przezacny! gdzie jest Kraszewski?....

— Byłem z nim u pana Tomasza Zielińskiego, oglądaliśmy jego galerię obrazów, pod względem doboru książęca! Oryginałów pierwszych w świecie mistrzów, jak mnie Kraszewski zapewnił, jest 19cie.

— Znam, wiem, zgadzam się; ale gdzież, panie, zostawiłeś Kraszewskiego?...

— Zawiozłem go do mecenasa M....; zamtąd miał być w redakcyi Przeglądu naukowego; o szóstej łącznie z panem K.... zaproszeni są na obiad do....; o 9ej zajrzą na posiedzenie Biblioteki warszawskiej; o 10ej będą u wojewo-

dziny, o trzy kwadranse na jedenastą zejdziemy się w salonie pani B... *).

Sród kłopotu, jaki mnie dręczył, byłem zniewolony podziwiać obszar wiadomości dziennych zacnego szambelana, ale zarazem wszelką straciłem nadzieję, abym dzisiaj potrafił pana Kraszewskiego na Solną zawieźć ulicę.

Powróciłem z kwitkiem do domu i, zdobywając się na rezygnacyą, właśnie rozpoczynam pisać list do pana Kwasikowskiego, gdy wchodzi nizka, pękata faciatka z małym noskiem, jęspan Rolewicz, kancelista, i oddaje mi 70 arkuszy przepisanego raptularza moich Litewskich Ramotek.

— Spodziewam się, że pan dobrodziej będziesz tą razą *kontent* z pracy mojej: starałem się ani jednego błędu nie zrobić, żydka też nie masz żadnego. Tylko oto ten jeden wyraz nie wiem, czym dobrze wyczytał?...

— Który?...

— *A znana hrabiego* drobnoczynność...

— Nie drobnoczynność ale dobroczynność.

Pan Rolewicz wyjął z kieszonki scyzoryk i pomyłkę przeszkrobywać począł. W tej chwili Mephistopheles usiadł na mojej peruce i szepnął mi do ucha: Załaduj do doróżki pana Rolewicza i zawieź go do rodziców panny Justyny.“

*) Rzecz dla mnie nie zrozumiała: pan B. żyje, cieszy się dobrem zdrowiem, na przyzwoite utrzymanie domu pracuje, w kraju poczciewie się zasłużył, dla czegoż dom jego kobiecą nosi firmę?...

Aż mi się zimno zrobiło na tę myśl straszliwą; ale zanim Rolewicz skrobania dokończył, powróciła gorącość mojego kłopotu względem losu pana Kwasikowskiego. Mephistophel szepnął raz drugi: „*Idzie o los zakochanego młodzieńca*“ i — bies zwyciężył.

— Panie Rolewiczu! oto masz 35 złp. za dokonaną pracę wzorowego przepisywania. Dam ci świeżej roboty trzy razy tyle. Wystaram się, abys w komisji przeszedł na etat, a może potrafię ci wyrobić urząd dziennikarza, ale za to wszystko zrób mi jedyną jedną usługę.

— Jam zawsze szczęśliwy, kiedy mogę rozkazy pańskie wypełniać.

— Pojedziesz ze mną na ulicę Solną pod nr. . . (ten a ten) do państwa . . . (tych a tych): tam cię przedstawię za Józefa Ignacego dwóch imion Kraszewskiego, autora 130 tomów różnorodnych prac literackich; ty zaś ze skromnością, ze spuszczonemi na dół oczami będziesz przyjmował wszystkie pochwały; najmniej mówić, ogólnikami odpowiadać będziesz i na moje skinienie oświadczysz, żeś zaproszony, a więc zmuszony jesteś miłe towarzystwo opuścić itd. itd. grzecznie się uklonisz i za ½ godziny powrócimy tutaj.

— Pan dobrodziej zawsze łaskawie żartujesz.

— Bynajmniej nie żartuję. Proszę cię o to najszczerzej i oto masz moją rękę, że wszelkich

usiłowań dołożę, ażebyś posadę dziennikarza otrzymał.

To moje przyrzeczenie silny wywarło wpływ na kancelistę, zarumienił się, westchnął i po krótkim namyśle zapytał:

— Więc ja mam powiedzieć, że jestem panem Kraszewskim?...

Kwadrans cały trwało objaśnienie celu i nauka, jak się ma znajdować, co mówić i jak odpowiadać winien. O godzinie 7ej przystrojenie pana Rolewicza było ukończone a więc niebawem siedliśmy do doróżki.

— Ruszaj na ulicę Słona.

— Nie wiem, panie, gdzie Słona?...

— To kwaśna czy solna.

— A Solna to wiem.

I ruszył żwawo warszawski doróżkarz. O 7ej stanęliśmy przed oświetlonym domem przy Solnej ulicy.

Dym trociczek w sieni i aż dwie świece w latarni upewniały, żeśmy we właściwe przyjechali miejsce. Na wschodach pan Kwasikowski trzy razy pocałował mnie w ramię; w progu pokojów pierwszego piętra mężczyzna chudy, wysoki, około 56 lat liczący (ojciec panny Justyny) przyjął nas z zapewnieniem, że za wielkie poczytuje szczęście itd. itd. W pierwszym pokoju leżało na stole i na krzesłach kilkanaście salop i płaszców.

— Panie! a jak mnie tutaj kto pozna?... szepnął mi Rolewicz.

— Wykrzyw gębę, oczy spuść na dół! — cichuteńko odrzekłem.

Scena w drugim pokoju.

Ojciec panny Justyny do pana Rolewicza.

— Mam honor prezentować moją żonę; a to moja córka Justyna; — to mój szwagier B..., to mój zięć R..., moja bratowa L..., pani G..., pani Z..., pani B..., pani H..., pan O..., pan sekretarz C..., pan inspektor F..., pan rewizor D..., pani sędzina W..., pani G..., pan sędzia W..., pan H..., panna K..., a to jest siostrzenica mojej żony, a to są dzieci po nieboszczce siostrze mojej, Ignas, Staś, Felcia i Steficia. — Dzieci wysunęły się naprzód i wszystkie koleją lat swoich ucałowały ręce pana Rolewicza. Pan Rolewicz pogłaskał każde z całujących go dzieci i, spuściwszy oczy na dół, usiadł na podaném sobie krześle poręczowém. Po chwili ogólnego milczenia panna Justyna, która najbliższe przy panu mniemanym Kraszewskim zajęła miejsce i do prowadzenia rozmowy była przysposobiona, zapytała pana Rolewicza. — Pan już od kilku tygodni zaszczyca nas swoją obecnością w Warszawie.

Rolewicz. O tak, już kilka tygodni.

Panna Just. I czyliż Warszawa jest tyle szczęśliwą, że się panu pośród nas nie dłuży?...

Rolewicz. Bynajmniej.

Panna Just. Pan już dawno znasz Warszawę? . . .

Rolewicz. Bardzo dawno. Ja tutaj się urodziłem.

Panna Just. O wiem to z życiorysu pańskiego w Naukowym Przeglądzie. Jakżeż pan znajdujesz Przegląd Naukowy? . . .

Rolewicz. O tyle o ile.

Panna Just. Zgadza się z panem, bo ile swoją wybitnością wywyższa się a filozofią zbliża się do stanowiska uogólnionej wiedzy, o tyle znów chwilowem zaniedbaniem się lub krytyką namiętną indywidualności na stronę ujemną przeważa się. Ale przepraszam, że przy panu ośmielam się mój sąd objawiać, kiedy tutaj sąd pański winienby zdanie moje do prawdziwego ocenienia skierować.

Rolewicz. Nic więcej jak słusznie, ale jest to względnie.

Ja. Pan Kraszewski, wysoko ceniąc skromność pani, wyrazem *względnie* składa pani oznaczenie strony dodatniej.

Rolewicz. To jest w urozmaiceniu uczucia naszego.

Oczy panny Justyny jaskrawém zabłyśły światłem.

Pani G. (półgłosem.) Ach! jakie to piękne wyrażenie!

Panna Just. Stwórca wszech rzeczy geniusze

tylko obdarza tą boską słów potęgą, która w każdym brzmieniu wielką myśl ukrywa.

Rolewicz. Są chwile w życiu człowieka! . . .

Panna Justyna, posyłając oczy swoje w sam środek sufitu, głęboko westchnęła i afektowanym głosem tęsknoty wyrzekła: „*To są momenta wielkości wieszczów!*“

Po tych wyrazach panny Justyny wszystko ucichło; Rolewicz w dół oczy spuścił i było cicho jak w grobie.

Rewizor. Pan dobrodziej zapewne bardzo wiele podróżował? . . .

Rolewicz. Nadzwyczaj wiele; ja ciągle podróżuję.

Pani B. I pan w tych podróżach książki drukujesz? . . .

Rolewicz. Po większej części.

Panna Just. Czy pan Kraszewski pisze w dzień czy w wieczór? . . .

Rolewicz. Ja . . . ja pisuję nad ranem.

W całym towarzystwie szeptali: „nad ranem pisuje“ — „nad ranem pisuje“ i z kolei szepnęła mi pan sekretarz „nad ranem pisuje!“

Panna Just. Pisząc *Pod włoskiem niebem*, w której pan byłeś okolicy? . . .

Rolewicz. O ja we wszystkich byłem okolicach.

Ja. Ale najwięcej pisałeś, panie, we Florencji i w Rzymie.

Rolewicz. Tak, tak, w Rzymie najwięcej.

Pani D.... Czy pan Kraszewski widział Papieża?

Rolewicz. Widywaliśmy się codziennie.

Pani D.... Czy z nieboszczykiem czy z terazniejszym?...

Rolewicz. Pani Dobrodziejko, bo nieboszczyk podczas mojej bytności wyjechał był do morskich kąpiel.

Pani G. Jak też terazniejszy Papież wygląda?

Rolewicz. Różni różnie sądzą.

Pan Sędzia. (do mnie po cichu). Wiesz też pan dobrodziej, że jest tutaj w Warszawie jeden kancelista, który podobien do Kraszewskiego — nadzwyczajnie.

Śmiertelny pot na moje czoło wystąpił.

Pan sędzia. Tylko że tamten jest lepszemu i słusznieszego wzrostu, i nie ma tego wyrazu, tych rysów, które w twarzy pana Kraszewskiego znamionują jego talent cudowny.

Ja (do sędziego). Zapewne, niewątpliwie! (do Rolewicza). Ale mówiłeś mi, panie Kraszewski, że terazniejszy Papież przypomina Napoleona.

Rolewicz. Bardzo, bardzo przypomina.

Pani D. Czy pan po włosku z nim rozmawiałeś?

Rolewicz. Po łacinie, po włosku... ale najwięcej po francuzku.

Panna Justyna, którą niecierpliwiło, że ją od

literackiej rozmowy z panem Kraszewskim usuniono, skorzystała z chwili, zapytując...

— Cóż pan sądzisz o *George Sand*, tym kolosie w literaturze francuzkiej?...

Zanim zdążyłem przyjść w pomoc, już Rolewicz przypomniał sobie ze szkół o 7 cudach świata i wybąkał.

— Tak... to kolos rodyjski!

Panna Just. O! c'est vrai! cudowne porównanie!... Ależ dopiero jej dzieła po szczegole!?...

Rolewicz. Bardzo to względnie; lecz zgadzam się z panią co do ducha wrażeń.

Panna Just. Rozumiem pana!... bo jej dążność nie zawsze jednego, nie zawsze tego samego sięga celu; — nie jest ona jednolitą, dziś np. *Le meunier d'Angibault*, dawniej już *Le compagnon du tour de France*, *Simon*...

Rolewicz. Tak... i t. d. i t. d.

Panna Just. Pan mówisz i t. d., o jak dowcipnie ale zarazem i złośliwie... Ale np. *Lelia*, u nas jej jeszcze nie pojmują, nie przejęli się wielkością tej idei usamowolnienia nas... wyzwolenia... O bo *Lelia*!... (zawołała z zapalem, głośniej, rumieniąc się. —) Cóż pan sądzisz o mojej ulubionej *Lelii*?...

Rolewicz. Wiele możnaby powiedzieć...

Panna Just. Może pan podzielasz zdanie *Jules Janin'a*, który wyrzekł, że była kobietą bez serca, że...

Rolewicz. Zapewne, bo zwyciężyć takim podstępem Samsona, który Filistynów ośłą szczeką zwyciężył...

(Zapomniałem Czytelników tej Ramotki wiadomości, że w początku rozmowy obnoszono bardzo stare wino węgierskie, którego Rolewicz wypił już 4 kieliszki, a zatem rozmarzyło mu się w głowie i przypomniał sobie ze Starego Testamentu o Delili, żonie Samsona, i blisko brzmiące imię Lelia wziął za Delila; — o Lelii nigdy nie nie słyszał.)

— O dowcip nad dowcipy! — wrzasnęła panna Justyna, klaszcząc w dłonie — *mais c'est divin! quel esprit! o mon Dieu! quel esprit!* — Pan przeciwników naszej emancypacji obrazujesz w Samsonie, a ośła szczeka to ów dawny, niecnny przesąd, owo poniżające ród męzki twierdzenie, odmawiające duchowości kobietom; o ben trovato! boskie porównanie! genialne! powtarzam: genialne! — nikt jeszcze w kilku wyrazach tak dobitnie ważności George Sand'a nie skreślił. — Lecz jakżeż się panu Indiana podobała?... ten utwór niezrównany!...

Rolewicz. — O niezaprzeczenie.

Panna Just. Pan jesteś dla mnie wyrocznią; powiedz pan bez grzeczności, szczerze, coż pan powiesz o *Indianie*?...

Rolewicz. O!... Indianie... żyją pod bardzo gorącą strefą.

Panna Just. Bravissimo! pan wybornie ex-

celujesz w dowcipie... Biedaczka! urodziła się Kreolką na Isle de Bourbon; jeżeli dobrze pomnę. . . .

Rolewicz. Ile Burbonów?... wymówił nie wyrażnie i zamilkł, bom groźnie na niego spojrział. Szczęściem, że w uniesieniu będąca panna Justyna przesłyszała jego „ile Burbonów?“ i dała jej prawa.

— Nie prawdaż, że George Sand jest jasną gwiazdą na naszym horyzoncie niewieściem, a ja z zapalem, z dumą stoję przed ołtarzem takiego *sabeizmu** (panna Justyna popisywała się ze wszystką swoją erudycją); pan jako geniusz nie możesz tylko być gorliwym sabejczykiem.

Rolewicz (sądząc, że sabejczyk od sabatu pochodzi, stanowczo, bez ogródki powiedział)

— Pani! nie! ja nie jestem sabejczykiem.

Panna Just. (z grzecznością). Bo słońce przed gwiazdą nie zwykło czoła uniznić.

Ja. Ale dajcież już państwo spokój francuzkiej literaturze! — zawolałem z obawy, ażeby panna Justyna nie wspomniła z kolei Dumas'a i Sue'go; bo Rolewicz czytał *Żyda tułacza*, pochłonał wszystkie *Tajemnice*, i byłby się zapewne popisywał z najoryginalniejszym sądem szczegółowym, czego się nie bez zasady lękałem.

*) Religijna sekta czcicieli słońca i planet niebieskich.

Panna Just. C'est vrai. — Do Rolewicza. — Jakżeż pan znajdujesz *Spekulanta*? ...

Rolewicz. Którego *spekulanta*?

Panna Just. Wybornie! bo wszakże dzisiaj bardzo wielu mamy spekulantów a zwłaszcza takich, jak ów Molicki pana Korzeniowskiego...

Rolewicz. O! dzisiaj cały świat stoi na *spekulacyi*.

Panna Just. Każde serce szlachetne oburza się przeciw spekulacyi i przeciw spekulantom — i znacząco spojrziała na młodego pana D***.

Ja do panny Justyny. (w poszepcie). Pan Kraszewski jest osobistym przyjacielem pana Korzeniowskiego, a obawiając się zarzutu stroności, nigdy nie chwali utworów swoich przyjaciół.

Panna Just. O jakże to delikatne uczucie!

Do pana Rolewicza. Jakżeż pan znajdujesz *Listopad*?

Rolewicz. Zimny, błotny i mroźny.

Panna Just. (w białe uderzając dłonie). Czyż można trzema wyrazami właściwiej osądzić! — A Jordan? ...

Rolewicz. Jordan!? ... inniemaćby należało, że w Jordanie to był chrzest ...

Panna Just. O! prawda! chrzest najszlachetniejszych i najczystszych pojęć na drogę Parnasu! Ale dla czegoż przybrał nazwę sowy, kiedy on jest orłem naszemu uczuciu ...! Wierz mi

pan, że ja w Jordanie znalazła odrodzenie mojej godności niewieściej ...

Rolewicz do mnie. (po cichu). Czy ona żydówka?

Ja do Rolewicza. (jak najciszej). Wstawaj, bałwanie, i ruszaj do domu.

Rolewicz do panny Justyny. O niezawodnie jest to absolutną prawdą, że nasza chrześcijańska religia jest odrodzeniem ...

Panna Just. Z rozkoszą słyszę z ust pana „nasza chrześcijańska religia,” bo z pism twoich posądzałam cię, panie, o fanatyzm ...

Ja. Panie Ro ... Kraszewski dobrodzieju godzina 8! ...

Matka panny Justyny. Ale pan dobrodzież przerywasz nam najmiłsze chwile; może jeszcze panu Kraszewskiemu nie pilno; będzie zaraz kolacya, a dla mojej Justysi to prawdziwy jubileusz, że może z mądrymi ludźmi rozmawiać, bo u nas bardzo rzadko, że się mądry człowiek trafi. — Ci tu panowie bywają łaskawie jak dawni przyjaciele, czasem za interesem; ale tak mądrych ludzi, jak panowie, to w naszym domu tylko trafunkiem.

Panna Just. Ale co też mama mówi?... (do dzieci) *Faites votre devoir!*

Dzieci poskoczyły do drugiego pokoju i nibawem wróciły z girlandą kwiatów i ona girlandę włożyły na głowę pana Rolewicza.

Matka panny Justyny. To miało być dopiero przy kolacyi...

Panna Justyna. Cześć tobie, geniuszu!... (i zdejmując błękitną przepaskę, zawiesiła ją na szyi kancelisty).

Ojciec panny Justyny. (z kieliszkiem w ręku). Wiwat!...

Ja do Rolewicza. (po cichu). Udawaj rozczulenie.

Rolewicz. Istotnie że mnie państwo rozczulają... jam nie zasłużył na tyle dowodów niezasłużonej łaski...

Panna Just. Cześć tobie, geniuszu!...

Ja do Rolewicza. (po cichu). — Powiedz wzajemną, górno-lotną grzeczność...

Rolewicz. I tobie cześć, genialna muzo!...

Ja. Cześć wam obojgu!.. Tymczasem, panie Kraszewski, czas do domu, — czekają na ciebie... nie girlandy ale serca pocziwych literatów, — a przyrzekiliśmy być o godzinie 8 z powrotem.

Pan rewizor. (z kieliszkiem w ręku). „Wiwat“

Pan D. „Wiwat!“ — i owo „wiwat!“ szło w kolój — a Kwasikowski płakał jak bóbr, widząc, że genialna muza od płaczu się zanosi.

W końcu oryginalnie *naïwna* Felcia wybiega z angielską wyżliczką na ręku i woła za nami na wschodach, — „A i ja proszę, aby pan Kraszewski na moją pamiątkę napisał powieść o mojej *Mimi*.“

— Dobrze, koteczko, ja o tobie napiszę w *Ramotkach*, bo pana Kraszewskiego znamienity talent wyższe ma obowiązki nad bawienie się z *Mimi* i z *Felcią*, — odrzekłem, siadając do doróżki.

O godzinie wpół do dziewiątej już się z *Rolewiczem* w mojem znajdowałem pomieszkaniu.

Rolewicz. Szkoda, że się łaskawy pan dobrodziej pospieszył; — uważałem, że w drugim pokoju talerzami brząkali; pocziwe ludziska, zapewnoby wystąpili z sutą wieczerzą.

— Mój ty miły *Rolewicz*, chętnie ci każę najlepszą podać w domu moim wieczerzę, ale dłużej nie mogłem tam pozostać, boś mi zaczął krewić szkaradnie.

Proszę pana dobrodzieja — jam wszystko powiedział, jak pan dobrodziej rozkazał; przecież „o tyle o ile“ i „mniemaćby należało“ powtórzyłem najmnij dziesięć razy; a i „różnie sądzą“ i „jestto bezwzględna prawda“ i „zgadzam się z panią co do ducha wrażeń“ i „o rekojmi uczuć“ nie zapomniałem, i wszystkim szczęśliwie spamiętałem, jak i kiedy wyrazić.

— Niekoniecznie; i nie jednego wypaliłeś baka a zupełnie niepotrzebnój gadaniny było za wiele. — Lecz trudno przeszłość zmienić; — zawszem ci obowiązany za twoją powolność.

O godzinie 9 odprawwszy o tyle o ile nakarmionego *Rolewicza*, zasiadłem do stolika, aby za świeżej pamięci chociaż cząstkę erudycyi

panny Justyny do Ramotek zapisać; — i długo w noc czyniłem sobie uwagi nad niedorzecznością panny Justyny, która tak jawny a dla młodej dziewczyny nieprzyzwoity okazywała wpływ nad rodzicami, która tak absolutnie ciskała zdania przed oczyma ludzi dojrzałych, która, zdaje się, dobijać o to, aby dom jej rodziców nazywano salonem panny Justyny.

Jak to szybko świat się przemienia! Przed dwudziestu laty nie słyszałem w kraju naszym, aby dziewiętnasto letnia dziewczyna, księżniczka czy córka rzemieślnika, odważyła się réj mowy i myśli w domu rodziców prowadzić... Cóż ona dopiero pocnie, gdy będzie mężatką!?... Aj! aj! — Panie Kwasikowski, biednys ty papadazio! — albo téż rozwód w 4 tygodnie po ślubie....

Nazajutrz po wypadkach w salonie panny Justyny pospieszyłem do Kraszewskiego i w chwili, gdy mu zaczynał opowiadać, com wczoraj wypłatał, spostrzegłem przez okno, że się toczy ojciec panny Justyny.

Zdrętwiałem z przestachu — i tyłkom zdołał zawołać: „uciekaj do drugiego pokoju, bo zgine.“ Nie domyślił się pan Kraszewski, o co rzecz idzie; ojciec panny Justyny ukazał się w progu.

— Kraszewskiego nie zastałeś, panie, w domu, — z wysileniem drżącego głosu zawołałem, najkomiczniejszym miotany uczuciem.

— Bardzo żałuję.

— Wyjechał za sprawunkami, a skoro z miasta powróci, bezzwłocznie Warszawę opuszcza, będzie bardzo żałował.

— Ach to ja, panie, żałuję i proszę pana dobrodzieja, abys łaskaw był oświadczyć, że za najmilszą poczytałem powinność i obowiązek osobiście podziękować za zaszczyt, jaki pan Kraszewski domowi naszemu wyświadczył. — A tu jest poezyjka naszej Justysi, którą pod wczorajszym wrażeniem ośmieliła się dla pana Kraszewskiego napisać...

— Dobrze, dobrze, oświadczę, doręczę panu Kraszewskiemu, będzie bardzo żałował.

Zapewne ojciec panny Justyny na Senator-skiej już był ulicy, a jam dopiero z przestachu ochłonął i potrafił opowiedzieć szczegóły grzechu mego.

— A bodaj cię téż, chirurgu, — zawołał pocziwy pan Józef i uśmieł się serdecznie. — Ale co tam sobie o mnie rozsądniejsi ludzie myśleli, gdy ten twój kancelista w mojem imieniu takie płótl opalki.

— Właśnie że przed uwielbieniem, przed szczęśliwiciem ich uczuciem oglądania Kraszewskiego nie mieli czasu do myślenia.

— Gadaj zdrów; ale niepodobna, aby niedorzeczności jego odpowiedzi ocenić nie byli umieli.

— Panie Józefie!... na karb wielkich ta-

lentów, na karb geniuszów można swobodnie największe pleść brednie, zwykli zwykle uważać je za myśli olbrzymie.'

— Ależ dziwna to jest ta cała scena z temi girlandami, wstążkami, — rozniesie się po mieście...

— W téj mierze na ciebie winy nie spada. *Innego uczczenia godnym jesteś*, lecz czas, okoliczności, miejsce, panna Justyna, dzieci, dobroć serca, — zmieszaj to i treść wyciągnij. W ogóle, mówiąc nawiasem, i to jest bardzo wiele, że się na takie drobiazgi zdobyli, bo któryż to autor nasz doznał publicznej czci za życia, któremuż wystawiono pomnik po śmierci?... Prześladowań, lekceważenia nie szczędzą, o zasługach autora chociażby najznakomitszych, mówią przez kilka miesięcy i co rychlej zapomną, goniąc za pierwszą lepszą nowością, chociażby i za nędznym przekładem lichego ale osławionego romansu francuzkiego. Połóż w salonie dzieła Woronicza i nowy romansik np. Bernarda, przyjdź za miesiąc, Woronicz z nierozczepionymi kartkami spoczywa na uboczu, z Bernarda karty powydzierane. — Uczucie, że się wywiązujesz z obowiązku, — to twoja nagroda, o inną nie pytaj; — chyba o girlandy dziecinne, o wstążki muz emancypowanych itp. Ale, ale i na obiad zaproszą cię jeszcze, aby się przed znajomymi i przed miastem popisać.

— Wszystko to święta prawda, ale ja jednakże nie mogę się uspokoić, żeś mnie w tak

cudackiem światle u rodziców panny Justyny wystawił.

Po długich w tym względzie rozprawach i naradach stanęło na tém, że mnie pan Kraszewski przekonał, iż powinnością moją jest wyznać prawdę i przeprosić. Jam nawzajem przekonał pana Kraszewskiego, że tylko jego obecność może zmniejszyć ciężar sprawiedliwych zarzutów. A więc o 4tej z południa ruszyliśmy wspólnie na ulicę Solną.

Otwarte wyznanie méj winy, objaśnienie, że jedynie silne spółczucie dla pana Kwasikowskiego spowodowało mnie do usłuchania poszeptów biesa, szczere prośby moje, obecnością *prawdziwego* Kraszewskiego poparte, zyskały rychłe i wesołe przebaczenie.

Panna Justyna była skromniejszą w zapytaniach i sądach swoich i nie chwaliła ani Lelii ani Indiany. Na najszcześniejszy zaś domiar dobrego zjawił się pan Kwasikowski z naczelnikiem wujaszkiem.

Komiczny dramat zakończył się prośbą sławnego literata, aby mógł być świadkiem szczęścia młodzieńca, uwielbiającego wdzięki panny Justyny.

— Matko! przecież prośbie pana *prawdziwego* Kraszewskiego, — zawołał zacny obywatel warszawski, — odmówić w domu naszym nie wypada? ... Justysiu! jakież twoje zdanie w téj mierze?

Panna Justyna, zapominając o Lelii i o Indianie, zarumieniła się niewinnie, serce zapukało głęboko, z różanych usteczek wielbicielki Kraszewskiego ciche spłynęły wyrazy: „We wszystkim zgadzam się z wolą najdroższych rodziców.“ Kwasikowski rozbeczał się z radości.

Czy pan Kraszewski w końcu miesiąca lutego, jak przyrzekł, przyjedzie na ślub; czy autor 130 tomów nową z tego zdarzenia powieść napisze, — zapewnić nie mogę. Tymczasem macie małego szkic powszechnego spółczucia Warszawian dla Józefa Kraszewskiego i macie jedną jeszcze z moich Ramotek, w których są $\frac{3}{4}$ części prawdy, a $\frac{1}{4}$ część lotniejszej wyobraźni, to jest o *tyle o ile* potrzebnych zaokrąglen do przyzwoitej całości.

Pisałem dnia 3 stycznia w Warszawie nad rzeką Wisłą. Roku po nar. Chr. 1847.

Au. Wi. ch. fil.

KAFAREK.

Z TYSIĄC ZDARZEŃ JEDNO,

JAK UMIAŁ, TAK OPISAŁ

AE. WI., chi. fil.



KAFAREK.

Z TYSIĄC ZDARZEŃ JEDNO,

JAK UMIAŁ, TAK OPISAL

AU. WI., chi. fil.

Gdzie idziesz? Do panów. — Po co tobie pany?
Albo serce utracisz, lub przejdiesz w łachmany.
(Z bardzo starej komedyi.)

Mawiał ś. p. ojciec mój, że kto za młodu futrem się okrywa, na starość chyba w pierzyne zaszyć się musi, a komu w życia wiośnie konna jazda uciążliwa, temu w wieku podeszłym jedwabiem usłane pudło na 4 sprężynach będzie niedogodne. Szanując zdanie ojcowskie, do téj chwili bez futra obywam się, a dzielnego wierzchowca nad wszystkie koczki, landary i karety chętném sercem przenoszę. Cóż dopiero przed dwudziestu laty: koń wierzchowcy, chociażby w najodleglejszą podróż, to była moja najmilsza kołyska. I wielce użytecznie przydał mi się

później ten staropolski zwyczaj*), a niegdyś był przyczyną, że pocziwego poznał kowala, który oto do mojej dzisiajszej powiastki za podstawę posłuży.

Wieczór był ciemny, deszcz ze śniegiem w oczy zacinał, gdym w r. 1824 z Poznania do rodziców moich, o mil 9, pod Kcynię na gniadoszu cesał. Wjeżdżając do wsi M..., posyłałem, że podkowa pod kopytem brzęczy; spojrzę przed się, sypią się iskry z komina, słyszę młoty kowalskie, właśnie tego mi potrzeba.

Stanąwszy na progu kuźni, zawołałem: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!.... A nie byłby też pan majster łaskaw konia mojego obejrzyć, bo mu się złuzowała podkowa.

— Na wieki wieków amen, — odpowiedział barczysty a sążnisty pan majster, zbliżył się ku mnie, ujął konia za cugle, poprowadził do kuźni, zobaczył podkowę i mruknął pod nosem:

— Tandetna robota.

— A cóż czy złamana?....

— Nie złamana, tylko się ufnale przykruszyły.

— A czy majster robi na poczekaniu?...

— Kiedy wielmożnemu panu pilno, to i robi się. Antek! daj jeno pomniejszych obcęgów.

*) Nie jeden młody panicz ze sprucińniętymi zębami, wymoczony, wyblichowany, czytając tę powiastkę, pomyśli sobie: „wołę ja w karcie,” na co ja zgadzam się najzupełniej, aby *wola* siedziało w karcie; pocziwa zaś i dziarska młodzież niechaj służy konno lub piechotą.

Nie zadługo mój gniadosz bosą nóżkę chłodził, majster robotę w oka mgnieniu przyrządził i już miał podkowę przybijać, gdy spostrzegł, że i róg za głęboko wybrany a ztąd kopyto sfarbowane. Więc tedy uznał za potrzebę podłożyć skórę słoniny.

Jakoż zawołał ku drzwiom przyległej izby: — Małgoś! dajno, duszyczko, kawałek skórki wieprzowej na kopyto, ukroj tak samo, jak wczoraj. — Za chwilkę pojawiła się młoda i piękna niewiasta ze skóreczką w ręku, spojrzała się na mnie i zaczęła:

— A cóż to, panicz do 'kochanki spieszy, że po nocy konia kuć każe?

— Tym razem nie zgadliście, piękna gosposiu, bo do moich rodziców jadę.

Majster. Święta za pasem. A dalekoż pańscy rodzice?...

— Pod Kcynią w Łęgniszewie.

— A to znam; tak oto rok będzie, życzyłem sobie okupić się w Czerlinie, ale ojciec pański nie chciał tyla dodać gruntu, com ja niby miał żądać, więc my się rozeszli. Żałuję, bom słyszał, że to sprawiedliwy i dobry pan.

Majstrowa. Możeby panicz co zjadł, jadąc na całą noc ku domowi, a w naszej tutaj karczmie, żał się Boże! jeno gorzałka a chleb; ani jajka, ani masła nie dostanie. Do Wągrówca też mila siarczysto.

Majster. A cóż masz do poczęstowania?...

Majstrowa. Gdyby panicz nie gardził, to są świeże jajka i masło, albo-by się co ugotowało na mleku.

Majster. Konnemu w podróży ani jajka ani mleko nie zdrowe, i można z takiej okazji popaść chorobie, jak oto łońskiego roku ekonom ze Studzieńca, naćpał mleka i do Rogoźna konno pojechał, ledwo go żywym na furze do domu przywieźli. Lepiej Małgoś chyba kiszkę usmażysz.

Majstrowa (z uśmiechem). Widzisz go, żołnierska sztuka, postu nie chce *aprendować*. A co panicz na to?...

Ja. Kiedyżecie łaskawi, więc prosiłbym o kiszkę, bo zdrowsza.

Majstrowa. A jest z kaszą, to i nie bardzo z mięsem.

I młoda, miła i piękna gospośia powróciła do izby kwoli usmażenia téj kiszki, a jam fajeczkę zaniecił i nuż w gawędę z majstrem kowalem.

— Wasza żona mówiła, żeście *żołnierska sztuka*; czy służyliście wojskowo?...

— E! gada, aby się pochwalić; — co mi tam za wojskowość, kiedym ani jednego nieprzyjaciela nie widział; zwyczajnie jestem u *Landsberów*, więc dwa, najwięcej trzy razy do roku idzie się na inustrę do Węgrówca, czasami i do Gniezna, i na tém koniec. Chociaż po prawdzie moi dawni ojcowie, to jest niby od prapra-

dziadka, każdy Kafarek był wojskowym kowalem.

— Kafarek?...

— Ja się tak zowie po ojcu, imię mi zaś Jan, a to chrzestne imię zawsze jednakie z ojca na najstarszego syna przechodzi na pamiątkę naszego króla Jana III., boć-że on uczynił, że przodek nasz był dostatni a szczęśliwy.

— To coś na ładną zbiera się historiją, a kiedyżecie już *podkową* przybili, nałożcie sobie fajeczkę moim tytuniem i powiedzcie mi wszystko, co wiecie o królu Janie Sobieskim i o przodkach waszych; — miło wśród ludu rodowe słyszeć spomnienia.

— Antek!... wprowadzisz pańskiego konia do naszej stajni, popręga zwolnisz, siodło zaraz nie zdejmiesz, założysz uździenicę i dasz mu tymczasowie tego siana od cieląt, a za dobry kwadrans wsypiesz garniec owsa i napoisz.

— Miły macie rozsądek, panie majster, przystaje na waszą gościnność i chętnie wam wszystko nagrodzę.

— Proszę pana albo zaraz wszystko nagradzać?... toć-że ja u tatuli pańskiego nie płacił w roku zeszłym ani za obrok dla konia, ani za poczęstne dla innie; a jeszcze sędziwy rodzic koniecznie i usiąść rozkazał i łaskawém słowem rozweselił.

— Dziękuję wam za miłe o moim ojcu

spomnienie i z podwójną radością przyjmuje waszę gościnność.

Wchodząc do obszernej izby, spostrzegłem wzorowy porządek; dwie zaś topolowe komody, na których stały kolorowo umalowane papugi i historyczne figurki gipsowe, kilka szaf olszowych, perkalowe firaneczki u okien, zwierciadło w pozłoczonej oprawie, jesionowy kredens, fajansem i cyną napełniony, na ścianach wizerunki Świętych i na płótnie malowany olejno obraz Jana III. o zamożności gospodarza wdzięczne dawały świadectwo. Pod kachlanym piecem siedział w granatowej kapotce chłopczyk mniej więcej cztero-letni, czarno łyszczącego się kota na kolanach piastując; na biało polewaną patelnię żelazną, w kominku smażyła się już rumiana kiszka; gospoia nakryła stolik i obok pszennej bułeczki postawiła fiaszeczkę z wódką i kieliszek w kosteczki rznęty.

— Szczęście i spokój waszemu domowi, — te wyrazy wygłosiłem z najszczerzszym uczuciem, siadając na podanym mi stołku.

— Bóg zapłać paniczowi, odrzekła gospoia, a pan majster napełnił kieliszek gorzałki i za moje wypił zdrowie.

Galantes była kiszka, bułeczka świeża, przyjęcie wprost od serca, żem się w bardzo błogiem czułości położeniu, gdy też powtórnie przezemnie proszony gospodarz tak prawie począł:

„Kiedy Niemcy potrzebowali szabli naszej

na obronę przeciwko Turkom, dziadek mojego dziadka, Stanisław Kafarek, był podówczas kowalem na przedmieściu Krakowa i nikt pono nad niego koni lepiej kuć nie umiał. W wigilią wymarszu naszego wojska przyszedł do pradziaka mojego dworzanin królewski i zapytał go, czyliby nie przystał za majstra do polowej kuźni królewskiej?... Pradziadek, chociaż miał ślubną niewiastę, chorą teściową i kilkoro drobnych dzieci w domu, nie namyslał się i chwili, lecz poleciwszy Bogu i sąsiadom rodzinę i chatę, z sześcioma najlepszym z miasta czeladzi stawiał się tegoż dnia na wawelskim zamku, — i już nazajutrz z wojskiem na potrzebę wiedeńską wyruszył. Nie potrzebuje panu opowiadać, jak się tam król Sobieski z wojskiem naszym przy Boskiej pomocy mężnie popisał, boć to panu z książek i od swoich ojców wiadome, jak i całemu światu, że gdyby nie nasze chorągwie, byłby Turek Niemców niepochybnie zawojował i w srogich pętach niewolniki trzymał. Tylko że to szło o wiarę katolicką, więc nasi szabel nie żalowali i kilkadziesiąt tysięcy Turków zabiwszy, sąsiadów swoich od hańby a pogańskiego jarzma oswobodzili. Nie mieliśmy po prawdzie innej ztąd korzyści, jeno chwałę solenną, ależ bośmy pono nigdy o więcej nie stali. Otóż pradziadek mój w tej wszystkiej wojnie był nietylko kowalską służbą przy królewskim obozie, ale i pod *Parkanami*, wśród największego niebezpieczeństwa,

na przodzie swojej czeladzi kowalskiej bił i siekał nacierającego nieprzyjaciela; a król widząc to, nie zapomniał o nim i po skończonej wojnie rozkazał mu chatę sprzedać i do Wilanowa pod Warszawę żonę i dzieci sprowadzić. I w tymże to pięknym Wilanowie wystawili pradziadkowi mojemu bardzo okazałą kuźnię, na której król kazał wielkimi literami napisać:

KOWALOWI I ŻOŁNIERZOWI

ZA WIEDENSKĄ WYPRAWĘ

KRÓL JAN.

i nadał mu kawał ogrodu, gruntów i łąki morgów 6, i nadto rocznie płacił za wszelką robotę kowalską, a szczególnież też kucie koni królewskiej stajni powierzył. A bywało, że król sam do kuźni zachodził, kiedy była potrzeba klacze bułanej, co to na niej pod Wiedniem zwyciężkie rozkazy wydawał, kopyto wybrać i ostrugać; — bo od powrotu z pod Wiednia ta klacz bułana ni razu już kulbaczoną ani kutą nie była; — zimą w pięknej stajni stała tureckim dywanem okryta, a letnią porą miała obszerny ogrodzone nad Wisłą pastewnik, przy którym dwóch zawsze wartowało ludzi i od napaści leśnych zwierząt najpilniej strzegło.

Jak było mojemu pradziadkowi pod królewskim bokiem, tak chyba-by już w niebie lepiej było. Siłaby to opowiadać wszystko dobre, którego pradziadek w Wilanowie używał. A zawsze dwóch synów swoich upominał, żeby po jego

śmierci, uchowaj Boże, innego na świecie nie szukali chleba jak żołnierskie konie mocnemi kuć podkowy, iżby się śród bojów nie ślizgali wojownicy nasi.

Z ojca na syna powtarzamy to ustne podanie o naszym pradziadku; — kowalstwa się trzymamy, i ja oto już mojemu Jasiowi malenki ukułem młoteczek, iżby się do uczciwej pracy ojcowskiej i w zabawce sposobił. Jak nieboszczyk mój ojciec policzył, 37 już Kafarków przy kowadle uczciwe życie spędziło. Wnuk pradziadka naszego Stanisława kuźnią i grunta dziedzicom Wilanowa odprzedał, — nie na rękę im było nasze sąsiedztwo, nie mamy dzisiaj kuźni w Wilanowie, — ja jednakże 39 Kafarek pocziwym kowalem, a syn mój będzie 40. Mam w domu 200 dukatów po ojcu, mam 500 talarów z mojej pracy już 10-letniej, żona też z młynarskich worków 2000 złp. na wiano od swoich rodziców dostała; — przyjmuje się coraz większy obstalunek do miast i dworów szlacheckich, — czterech czeladzi robotą nadążyć nie może, i Bogu przynajświętszemu dzięki! nie zubożyłoby nas, gdybyś wielmożny pan i rok cały u nas pościł.“

W lubém zajęciu upłynęła jeszcze króciówna godzina na serdecznej z pocziwymi ludźmi rozmowie, a gdym następnie na wypoczętym, napasionym i świeżo ukutym gniadoszu dalszą podróż odbywał, ciągle marzyłem o szczęściu

rodziny Kafarków, — o szczęściu pracowitego rzemieślnika.

II.

Było to w Dolnym Szląsku, w Głogowie, w miesiącu kwietniu roku 1836. Trzy lata już minęły mojej tęsknoty; — oczy od niemieckiego czytania bolały, wyszedłem na wały: — popatrzyłem się raz tysięczny na szeroko płynącą Odrę; zatrzymałem wzrok mój na wieżach kościołów, na szczytach historycznego zamku Piastów;.... zegar ratuszowy z mało-miejską powagą, wolniuteńko, godzinę 3 z południa wybrzęczał; — zwróciłem się lewo wtył i znów ku pruskiej bramie po darniowym grzbiecie uprzykrzoną odbywano przechadzkę, gdy wtém spostrzegam podchorążego z artyleryi w towarzystwie kilku ludzi, naprzeciw mnie idących; a szczerze się uradowałem, gdy usłyszał, że mówią po polsku. Przystanąłem i pilno się wpatruję: podchorąży — mina gęsta, wąsik mleczny, figurka czupurna, opowiada historią miejscową długiego pobytu Francuzów i historią szturmów i obrony.

Drugi cywilny, niski, otyły, burakowy, zmienił się w ucho i gębę rozdziawił, — nie znam go wcale.

Trzeci wysoki, chudy, żółty na twarzy, — pierwszy raz go widzę w życiu mojem.

Czwarty sążnisty, barczysty, wąsaty w pięknem odzieniu, z trzcina w rękę; — patrzę.... jak dwie krople wody do siebie, tak on do Jana Kafarka podobny. Bogaty łańcuch złoty, który na aksamitnej kamizelce rozwiesił, wstrzymał mnie w zapędzie serdecznego przywitania i, przypuszczając pomyłkę w moich doinysłach, ograniczyłem się na grzeczném zapytaniu:

— Przepraszam za zaczepkę. Czy pan nie mieszkałeś w okolicach Wągrówca?

— Mieszkałem, ale obecnie mieszkam w Rawiczu....

— Nazwisko pana?..

— Ja jestem Kafarkiewicz..... handlujący zbożem i wełną.

— Zdawało mi się, że znalazłem pana, omyliłem się....

Pan Kafarkiewicz zarumienił się mocno, uchwycił mnie za rękę, uściśnął i wyrzekł z uśmiechem: Masz pan dobrą pamięć, nie omyliłeś się; — schylając się do mego ucha, dodał w poszepcie: — ja byłem kowalem, nazywałem się Kafarek i dobrze pamiętam, jak panu gnialego konia na prawą nogę ukułem....

— A żona pana i Jaś maleńki czy zdrowi?

— Bogu dzięki! i żona i syn i jeszcze córka, wszyscy są zdrowi. Przyjechałem tutaj na jutrzejszy jarmark.

— Mieszkam przy ulicy pruskiej, trzeci dom po prawej ręce od bramy; — jeżeli panu

czas pozwoli, racz mnie odwiedzić; — pragnę, abyś mnie, panie, w pewnym przedmiocie objaśnił.

— Będę panu służył.

Ukloniliśmy się sobie nawzajem; pan Kafarkiewicz z swoimi towarzyszami ku Wrocławskiej udał się bramie, jam się oparł o żelazne działo i — długo smutne mnie myśli trapiły nad upadkiem pocziwej rodziny Kafarków.

Cały wieczór spędziłem w cierpkiem usposobieniu; — do późna w noc przymusowo czytałem jakąś oschłą polemikę filologów niemieckich; — fajka mi gasła co chwila, — a dopiero o trzeciej nad ranem zasnąłem.

Przykre mi były moje senne marzenia.

Widziałem gorejącą siedzibę Kafarków; — widziałem jak ogień kuźnię ogarnął — jak z narzędzi kowalskich jedno po drugim ze ściany spadało — jak czerwona łuna przez szczeliny drzwi do obszernej zajrzała izby; wizerunki Świętych i obraz Jana III. otoczyło światło promienne, dziwne, krwawe; — potem z piekielnym poddmuchem syczący płomień drzwi spaczył, rozłupał, przepalił — wysłał ku środkowi ogniste węże, w końcu gwałtownie gęstym tłoczył się kłębem, zawichrzył się na środku i naraz wszystkie oblał ściany — i wszystko nagłą siłą zniszczenia pochłonął. Dom runął, — jedna tylko sterczała ściana

a na niej obraz Jana IIIgo i wizerunki Świętych nietkniętymi pozostały...

Później widziałem konającego starca, przy nim był ksiądz z gromnicą w ręku; — szkielet kobieta klęczała przy jego nogach, — dwudziesto-kilkoletni młodzieniec siedział przed zwierciadłem i z widocznym zadowoleniem wpatrywał się w swoje gładkie oblicze i — potem pobałdł, wstrząsł się na całym ciele, zsiął, — a krew trysnęła przez usta i oczy....

Gdym się rano obudził, była już godzina dziewiąta; służący doręczył mi lakierowaną karteczkę z zagiętym uszkiem, świeciły się na niej złożone litery gotyckie:

Jan Józef Kafarkiewicz.

i, — jak moje dzieci kocham, nie żartuję — u góry była korona!...

Pusty mnie śmiech ogarnął; zapaliłem fajkę; — Jana, wybierzmowanego Józefa Kafarkiewicza oczy moje już nie widziały. Szczęść mu Boże! po drodze nowego żywota.

Żal mi było Kafarka.

III.

W Warszawie roku 1844, podczas karnawału, w przeciągu jednego tygodnia kilkanaście razy obito się o uszy moje nazwisko: *pan Kafarkowski, pani Kafarkowska, panna Kafarko-*

wska, ale nie przypuszczałem na chwilę, aby ten pan jakiś *Kafarkowski* był drugą przemianą dobrze mi znanego nazwiska *Kafarek*.

Gdym zaproszony przybył na wieczór w *Tlusty czwartek* do państwa R..., wśród licznej grona gości spostrzegłem na kanapie siedzącą panią z widocznymi jeszcze śladami bardzo pojętnej piękności, obok niej na krześle mniej więcej 18-letnią panienkę, czarnooką, świeżą, kibitną, bardzo ładnie ubraną. Jakaś mgła przypomnień przesunęła się w mój myśli.

Szpakowaty jegomość. Panie *Kafarkowski*! te kare angliki czy pan od Jenerała kupiłeś?...

Oglądam się — zapytany był to dwudziesto-kilko-letni urodny młodzieniec z modnym zarostem na twarzy, włos na głowie strzyżony *à la mal content*, rękawiczki koloru śmietankowego, najgwałtowniej zapięte na guziczki koralowe; użyłem wyrazu *najgwałtowniej*, bo zsiniałe ciało wysadziło się nakształt ciasta pomiędzy krajem rękawiczek a krótkimi rękawami obcisłego fraka; kamizelka lionśka, wiązanie na szyi przepyszne!....

— Pomieniałem się z Jenerałem, — odrzekł pan *Kafarkowski* — gdyż na *honor* nie widzę piękniejszych koni w Warszawie.

Szpakowaty jegomość. Ileż pan dopłaciłeś?...

Kafarkowski. Dałem mu moje siwe konie, 160 dukatów i mój wiedeński karykiel.

Szpakowaty jegomość. Ale masz teraz konie, co się nazywa, mój panie!

Kafarkowski. Ani porównania z kasztanowatemi, które za 600 czerwonych złotych księciu Sułkowskiemu odstąpiłem. Naparł się — kolega szkolny — trudno było odmówić.

Au: Wi: Czy pan kolegowaleś z tym księciem Sułkowskim, który mieszka w Rydzynie?...

Kafarkowski (zarumieniwszy się po uszy). Tak jest ... z księciem Sułkowskim z Rydzyny.

Au: Wi: Więc pan znasz Poznańskie?...

Kafarkowski. To są moje strony rodzinne.

Au. Wi. Miło mi poznać ziomka mego, bom i ja się urodził w Poznańskim właśnie niedaleko Rydzyny, w pobliżu Leszna; wychowałem się zaś w okolicy Wągrowca. Zapewne panu znany Wągrowiec?..... nad rzeczką Wełną.....

Kafarkowski. Przez Wągrowiec kilka razy przejeżdżałem.

Pan R... Andziu! Andziu! pani *Kafarkowska* zesłała!

Obracam się — kilka pań otoczyło kanapę: pani *Kafarkowska* była blizką zemdlenia; usta zsiniały, twarz całą przerażająca pokryła bledność ... Podano octu i wody kolońskiej; — za chwilę pani *Kafarkowska*, przyszedłszy do przytomności, przeprosiła panią domu, że się stała

przyczyną zamieszania — i pokrótce z córką i z synem opuściła nasze towarzystwo.

— *Qui est donc cette dame* Kafarkowska?... zapytała swojej sąsiadki chuda, jasno-włosa pani.

— *Je ne sais pas* — zapytana brunetka odpowiedziała z pogardliwem ust wykrzywieniem.

— *On dit qu' elle est riche.*

— *Cela peut-être.*

— *Pani N.* Oni podobno w Szląsku znaczne posiadają dobra?...

Pani Z. Córką przystojną i *jest bardzo dobrze*, ale matka ma często wyrażenia zupełnie podejrzone.

Pan O. Bynajmniej nie podejrzone, bo wczoraj u państwa C*** zamiast *traits* twarzy, powiedziała *trottoir* twarzy; zamiast *sztafeta* — *sztacheta*; zamiast *plenipotent* — *pilipotent*; zamiast *karykatura* — *kalikatura*.

Pan S. Ona dziś mnie powiedziała, że zrobiła kinkietę (zamiast *conquête*) z hrabiego G*, — a później zapewniała, — że jeszcze z ulicami Warszawy nie umie się zrejentować, chcąc zapewne użyć wyrazu zorientować. — Głośny i powszechny śmiech towarzyszył dowcipkom pana S.

Pani Z. To i ja uważałam dzisiaj, że zamiast konwersacya mówi *konsyrwacya*.

Pani D. Przypomniał jej się sér — biedna!....

Pani G. A jednakże jej syn *parle français avec l' accent de la bonne compagnie*.

Pani B. Zapewniali mnie, że się stara o względy Hrabiny W.***

Pani F. Starał się, ale już się nie stara, bo właśnie brat pani hrabiny prosił go wczoraj, aby ich nie kompromitował.

Pani R. *A cause de quoi?*

Pani F. *C' est un parvenu*; jego ojciec handlował wołami czy zbożem.

Pani R. Ja ich w przeszłym roku poznałam u wód w Ciechocinku; widziałam ją z hrabiną M..., więc jak nas tutaj wizytowała w Warszawie, oddałam jej rewizytę i, przypuszczając, że hrabina M.*** przyjaźniac się z nią, musi ją znać z bliska, — dla tego, chcąc panom pokazać jej ładną córeczkę, zaprosiłam ją na dzisiejszy wieczór. Zresztą wiem, że hrabia Artur stara się o rękę tej panny, a on z pewnością nie zrobiłby żadnej *mésalliance*. Właśnie że ona przyjechała do Warszawy za legitymacją....

Pan D. A jeżeli się z łokcia legitymować można, to się prędko wylegitymuje, bo, ile ja słyszałem, nieboszczyk Kafarkowski miał sklep z towarami łokciowemi w Rawiezu czy w Rydzynie.

Pani R. Toby było z ich strony zbyt wielką śmiałością, cisnąć się do najznakomitszych domów. Zresztą ja tylko wiem, że ona mnie wizytowała z hrabiną M.***

Pan F. A wszakże pan Au. jest z Poznańskiego. Czy znałeś tam Kafarkowskich?...

Au. Wi: Znałem bardzo dobrze. Ich pradziad był na dworze króla Sobieskiego i wiem, że pochodzą z bardzo wielkiej rodziny *).

Pani R. Bardzom panu wdzięczna za to objaśnienie. Byłam tego pewną, bo hrabina M.*** w ścisłej z nią żyje przyjaźni.

Pani Z. Jest coś w ich rysach interesującego.

Pan F. To czyni im zaszczyt, że, będąc z pięknej rodziny, starali się przez handel, — o ile to jest jeszcze prawdą, — i przez przemysł powiększyć swój majątek, bo dzisiaj duch czasu finansową niezależność postawił u steru wszystkich naszych widoków; *et moi, je vous assure Mesdames! je vous en donne ma parole d'honneur*, przyjąłbym natychmiast udział w każdej spekulacji, gdybym zysk pewny mógł widzieć.

Pani B. Gdyby nawet i łokciami mierzyć?...

Pan F. Nawet i łokciami; bo nie tylko że żadne zatrudnienie nie może zetrzyć *mojego urodzenia* **), ale nadto przy sprzedaży towarów na łokcie miałbym sposobność poznania wszy-

*) Zdaje mi się, że m się z prawdą nie pominął.

) Zwolna i dobitnie wygłaszając te dwa wyrazy, pan F* wyprężył całą postać, głowę zaś zadął ku prawej stronie i wielkim palcem dotknął piersi swojej!

stkich piękności naszego kraju! (Ten ostatni okres wymówił z miodowem przymileniem).

Trzy panie razem: Bałamut! bałamut! bałamut!

Pan F. (uśmiechnął się i odpowiedział:) Przyznaję się do winy.

Pani G. I pan-byś nam sprzedawał tanio, nie prawdaż?...

Pan F. Bardzo drogo!...

Pani D. pogroziła zuchwalcowi maleńkim paznokietkiem na maleńkim nosku, a pani E... także groziła na swoim ogromnej wielkości nosie.

Pani Z. Hrabio! załóż sklep z paryzkimi towarami!

Pani G. O! gdyby każdy tak myślał, jak pan hrabia, kraj nasz w krótkim czasie zakwitłby bogactwem i miałybyśmy dobór najgustowniej-szych towarów zagranicznych.

Dalszej rozmowy o narodowym przemyśle już nie słyszałem, bo mnie gospodarz domu zaprosił do preferansa. Godzina była dwunasta, gdy za opłatą 23 złp. przyjemne towarzystwo opuścił.

Nazajutrz o godzinie 8 rano przybył do mnie lokaj w liberyi z ustną prośbą od pani Kafarkowskiej, abym ją w hotelu Rzymskim odwiedzić raczył.

(Pod numerem drugim w hotelu Rzymskim; w scenie ostatniej, koniec rozmowy).

Pani Kafarkowska. O! jaż zaraz w pierwszej chwili poznałam pana, — ale tchu w piersi mojej zabrakło, abym do pana przemówić mogła. A kiedyś pan spomniął o Wągrówcu, zdawało mi się, że wszystkie zmysły utracę... Ś. p. mąż mój nieraz gorzkie czynił mi wyrzuty, że ja była przyczyną zmiany naszego nazwiska i stanu; ależ chęć polepszenia losu dzieci moich...

Au: Wi: Czyliż pani nazywasz polepszeniem losu zaparcie się pocziwego nazwiska? ... odgrywanie roli fałszywej, narażanie się na upokorzenie i tysiączne nieprzyjemności ze strony rodzin arystokratycznych, u których pani znajomości i zaprzyjaźnienia się żebrzesz. Czyliż ten wieczny egzamen: „*Kto panią rodzi*“, przykry rumieniec najfałszywszego wstydu na lica pani wywołujący, czyliż nazwyczajenie własnych dzieci do zaparcia wiadomój im *prawdy*, — polepszeniem losu tychże dzieci nazywać można?

— *Edukacja*, jakąśmy dali synowi naszemu na akademiach zagranicznych, nasz znaczny majątek i inne kolejne wypadki przyprowadziły nas do tego, żeśmy zapragnęli przejść w *lepsze* towarzystwa.

— W *lepsze*? ... powiedz pani raczej, w *blyszczące*, z pogwałceniem wszystkich uczuć moralnych! Wierzaj mi, pani! szatan się z radości uśmiechnie, słysząc takie znaczenie *lepszego* towarzystwa. — To zaś, co pani nazwałaś *eduka-*

cyą na uniwersytetach, — to jest: naukowe wykształcenie, *winno prowadzić do wyższej zdolności użytecznego służenia krajowi, do uznania wartości człowieka jedynie w jego rzeczywistej zasłudze*, a nie do chęci błyszczenia czy poniewierania się w salonach.

A co do majątku, — czyliż go na t zgro madzamy, aby rodzinnymi stóśunkami pogardzać? ...

Gdyby syn pani po powrocie z uniwersytetu osiadł był w rodzinném miejscu i czy to jako urzędnik, czy jako dyrektor fabryki lub właściciel dóbr ziemskich owoce swojej nauki i majątku rozlał w kole najbliższych współbraci, za prawdę godnie-by się wywiązał z obowiązku, godny dałby przykład i zachętę dla innych do wyższych nauk, a głos powszechnego szacunku byłby, szczęśliwa wówczas matko, pierś twoję najszlachetniejszą dumą napęłnił, byłby dla ciebie, pani, o ileż prawdziwszą nagrodą nad te wątpliwe względy z majątku ceniącej cię arystokracji, którą głównie podtrzymuje zgraja dorobkowiczów, cisnąca się do nich, — dorobkowiczów, nieznających swojej godności. A czyliż na koniec nie zaszczytniej jest być pierwszym pomiędzy kowalami, aniżeli ostatnim w salonach?

— O Boże! dla czegoż ja tych wyrazów nie słyszałam przed dwudziestu laty!

— *Nigdy! nigdy za późno na drogę prawości wracać nie można.* Przybierz, pani, na nowo na-

zwisko uczciwych przodków nieboszczyka męża swojego, synowi wskaż drogę pożytecznego zatrudnienia, w skromnym dworcu zawieś pani na ścianach ten obraz i te wizerunki Świętych, które były świadkami waszego skromnego ale niezaprzeczonego szczęścia, poczciwości i pracy.

Łzy obfite spłynęły po licach nieszczęśliwej kobiety; spojrzała na syna i na córkę i z głębi serca wyrzekła:

— Od was zależy błąd waszych rodziców naprawić.

Kafarkowski. Żywie mojej jaźni od hrabianki Matyldy zależy.

Panna Kafarkowska. O! mamam! ja kocham hrabiego Artura.

Au: Wi: Otóż masz pani syna *żywie* i córeczkę *maman*.

Szkoda rodziny poczciwych Kafarków!

Przez kilka miesięcy słyszałem, że się *żywie* Kafarkowski do *lepszyc* cisnął towarzystw.

Przedwczoraj zapewniano mnie, że wdowa Kafarkiewicz wraz z córeczką mieszka w Kaliszu bez najmniejszych funduszów do życia, a jój syn przytrzymany jest w Wrocławiu za długi, które w przyzwoitej ilości zaciągnął pod nazwą *eines polnischen Grafen von Kafarkowsky*.

SZLACHETNY NIEZNAJOMY

ODŁAMKI ZE SZKICU POWIEŚCIOWEGO.

SZLACHETNY NIEZNAJOMY.

ODŁAMKI ZE SZKICU POWIEŚCIOWEGO.

Dawny wyższego stopnia wojskowy, Stanisław hr. S***, przez bankructwo handlowego domu, na którym znaczną część swojego majątku umieścił, i przez inne nieszczęśliwe a nieprzewidziane okoliczności z dóbraków nagle ujrzał się w najdotkliwszym położeniu. Nie idąc zwykłym torem tych *dobrze urodzonych* ludzi, którzy po stracie majątku stają się ciężarem swoim krewnym, przyjaciółom i znajomym, starał się usilnie o cywilną posadę rządową i pokrótce urząd głównego poborcy w jednym z dawnych wojewódzkich miast przyrzeczonym mu został; — a gdy przez sprzedaż rodzinnych pamiątek, wartość pieniężną mających, 6000 złp. na wymagane zebrał poręczenie, urządowanie objął i nowy zawód życia rozpoczął. Przekonanie, że swojej pracy zawdzięcza nader skromne ale poczciwe utrzymanie rodziny i siebie,

sowiecie mu nagrodziło pamięć świetnej przeszłości — i hrabia S*** w tém swoim nowém położeniu obok cnotliwej żony, wśród miłych dzieł, przy najmозolniejszej pracy, czuł się szczęśliwym.

Czwarty już rok minął, jak były pułkownik jedności, dziesiątki, setki i tysiące posłuszném piórem wojował, gdy pewnego razu przy obliczaniu gotówki z najstraszliwszém przerażeniem dostrzegł brak 40,000 złotych.

Sześćdziesiąt godzin bezsennój pracy nie mogło wykryć żadnej pomyłki rachunków, a popełnienie kradzieży stało się niewątpliwém; — lecz kiedy i przez kogo, najmniejszego śladu nie powziął. Rozpacz całej rodziny była okropną. — Uwiadomiony o tém zdarzeniu prezes, oddawna znając pułkownika osobiście, wierzył, że on podłego nie popełnił czynu; — ale prócz trzechdniowej zwłoki w doniesieniu wyższej władzy nie więcej dla hrabiego uczynić zdolnym nie był. Ten, który po upadku majątkowym ani najłżejszém skinieniem wsparcia bogatych krewnych nie żądał, dzisiaj w obronie imienia swych dzieci wysłał sztafety z błaganem o pomoc w swoim najwyższém nieszczęściu.

Z dwóch miejsc żadnej nie odebrał odpowiedzi; — brat zaś stryjeczny odpisał, że taki koniec był łatwo przewidzianym, bo kto zapomniał, co winien imieniowi swojej rodziny, ten i jako poborca nowych obowiązków do-

pełnić nie zdolny. Radził ucieczkę i w końcu prosił, aby się do jego pokrewieństwa nie przyznawał.

Taki list był ostatnim ciosem dla człowieka honorowego uczucia. W samobójstwie widział jedyny koniec najokropniejszemu cierpieniu. Przez trzy dni 52 lat liczący mężczyzna ujmującej postaci zmienił się w 80 letniego starca; — pogodne śmiałych ocz spojrzenie w głębi czaszki ogniem dzikiej boleści zakłęśło; — wilgotny włos czarny jakby nadzwyczajnemi środkami chemii zbielił się i zmartwiał.

Na dworze jesienny wiatr suchym liściem szeleścił, na zegarze godzina druga z północy wybiła, pułkownik skończył pisanie długiego listu i z okiem suchém, z krwią zimną włożył pod płaszcz dwa pistolety nabite i cicho wyszedł na ulicę. Światło z sypialni jego żony wstrzymało go na chwilę, — księżyc owidnił twarz martwą, spokojną, bo wszystka boleść wcisnęła się do serca. Już miał się stanowczo oddalić, gdy magnetyczna siła zbliżyła go do okna — i ujrzał swoją żonę i troje dzieci, klęczących przed wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa. Ten widok wstrząsł jego duszą, — boleść wyrwała się z okowy, na lica spłynął strumień łez najgorętszych na ziemi. W tę chwilę chód mezkich kroków oddalał się od niego, w ręku uczuł wielki zwój papieru. Gdy się obejrzał, nikogo już dostrzedz nie mógł. —

Pod szczeliną światła, z sypialni żony wychodzącego, rozpoznał bilety bankowe, — z trzaskiem drzwi wbiegł do swojego pokoju i z uczuciem, przez żadne pióro nieokreślonym, ujrzał się w posiadaniu 40,000 złotych.

Przy tych pieniądzech zbawienia znajdowała się mała karteczka z napisem:

„Gdy do zamożności powrócisz, dług ten oddasz na wiano córce swojej Maryi.“

W kilka tygodni po tém zdarzeniu sprawca popełnionej w kasie kradzieży odkrytym został; — pieniądze w $\frac{3}{4}$ częściach odzyskano, ale najgorliwsze zabiegi i usiłowania hrabiego, aby odsłonić nazwisko swojego zbawcy, okazały się bezskutecznymi. Na uczynione w piśmie publicznym ogłoszenie, aby szlachetny wierzyciel 40tu tysięcy złp., pożyczonych o godzinie 2ej z północy w dniu 18 listopada, zgłosić się raczył po odbiór téj sumy, otrzymał hrabia przez pocztę list z Warszawy w następujących wyrazach:

„Panie Pułkowniku!

Dług 40,000 należy do pańskiej córki, do Maryi, o której szczęście w moich codziennych modlitwach Boga prosić nie przestaję. Marya jest ideałem mojego zbawienia w życiu przyszłym, bo tutaj na ziemi udziałem moim jest tylko cierpicie bez granic. Poszukiwań wynalezienia mnie, szlachetny hrabio, zaprzestań:—

jestem od was zbyt daleko — przedziela nas świat cały. O jedyną proszę łaskę: niechaj Marya załączony pierścionek na moję pamiątkę zachowa.

Nieznajomy.“

Pierścionek był żelazny z złotym wizerunkiem Chrystusa bez żadnego wewnątrz napisu.

Po odebraniu tego listu hrabia pojechał bezzwłocznie do Warszawy i po długich poszukiwaniach dowiedział się tyle tylko, że ów pierścionek kupił u złotnika P*** przed tygodniem dopiero młoda i piękna kobieta, która miała w ręku chustkę batystową z literą F; towarzyszył jej młody, przystojny mężczyzna, którego jednakże rysów sprzedający przypomniać sobie nie mógł.

II.

W ośm miesięcy później dom handlowy, na którym hrabia 700,000 złp. utracił, przysłał hrabiemu zawiadomienie, że przez szczęśliwy obrót zagranicznych stosunków jest w możności pod dawniejszą firmą czynności swoje odnowić, jeżeli jego wierzyciele na lat sześć wypłaty zaczekać zechcą, lub gdy po upływie jednego roku przyjmą 75 za 100. Niemal równocześnie umarł bezdzietnie stryj hrabiego,

czyniąc go głównym spadkobiercą, a mianowicie téż zapisując mu rozległy i piękny majątek ziemski.

Na własne żądanie hrabia z obowiązków poborey uwolnionym został i zamieszkał w dobrach Zalesie. Szczęście zdawało się do niego z całym powabem uśmiechać; powrócił do dawniejszych swojego urodzenia stósunków; najzaczniejsza żona z ciężkiej choroby zupełnie ozdowiła; dwaj synowie znamienite w naukach czynili postępy a jedyna córka Marya, ta wierzycielka tajemniczych 40 tysięcy, duszą swoją była dla rodziców tchnieniem anioła, a bogactwem uroczych wdzięków swojego zewnętrznego jestestwa była gwiazdą, ku której zwrócili się oczy wszystkich młodzieży.

Dzień był pogodny, wiosenne słońce zielone listki trawy złociło, lekki wietrzyk musnął po zwierciadlanej jeziora przestrzeni; skowronek już od godziny w modrém zawisł sklepieniu i piosnkę dźwięczył poranną, gdy Marya z koszyczkiem na ręku w towarzystwie służącej wyszła z pałacu i, lekką stopą przebiegłszy ogród i łąkę, stanęła nad brzegiem jeziora.

— Fruziu! nasz przewoźnik nie stawiał się na słowo, nikogo na jeziorze nie widać.

— Ale bo téż panienka niepotrzebnie naraża się na tak wielkie niebezpieczeństwo; czyliż nie dosyć, że pan hrabia posyła lekarza?—

A jak panienka popadnie téj okropnej cholery i życiem przypłaci swoje poświęcenie się!

— Życie moje jest w ręku przedwiecznego Boga, a przynosić ulgę nieszczęśliwym to moja najwyższa rozkosz na ziemi, to moja najświętsza powinność... bo był czas, kiedy rodzice moi wielkiemu ulegli nieszczęściu i znalazł się nieznajomy, który nas z najokropniejszej przepaści ocalił.... O! gdybym kiedykolwiek tego szlachetnego poznała człowieka, jego stopy skropiłabym łzami wdzięczności. O ty nie wiesz, jak dobrzy są ludzie na świecie!

— Przecież pan hrabia może nagrodzić to dobre, które ten nieznajomy wyświadczył.

— On nie pozwolił, abyśmy go poznali; — wszystkie poszukiwania mojego ojca pokazały się bezskutecznymi... a zresztą, gdybyśmy go i wynaleźli, — nie masz na świecie nagrody, któraby jego dobrodziejstwu zrównała...

— Otóż i nasz Wojciech! — zobaczył nas; jak on szybko robi wiosłem.

Za chwilę przybił do brzegu wieśniak, z czółna wyskoczył i nisko się hrabiance uklonił.

— A cóż, Wojciechu! czy lepiej się miewa wasza synowa?...

— Bogu przenajświętszemu dzięki, niby boleści ustały; jeno że jeszcze picia bez ustanku pragnie. Ale znów syn Gieruszki takóż jak Jagna zachorował i od północy cholera go tłucze, a chudziaczek woła i woła do jasnej pa-

nienki i mówi, że, jak jasna panienka Jagnie pomogła, tak i jemu pomoże.

— Siadajcie do czołna, Wojciechu! chwili do stracenia nie mamy.

Szybkim pędem puściło się czołno na obszerną przestrzeń, niosąc w płytkiem wydrążeniu anioła pociechy!... anioła ratunku!...

W 10 minut później Marya znajdowała się w chatce nieszczęśliwych wieśniaków. To wszystko, co podług znanych Maryi przepisów lekarskich w chorobie cholerycznej czynić było potrzebnem, natychmiast użytém zostało, — a młody wieśniak, widząc przy swoim łóżku jasną panienkę, zapewnił płaczącą matkę, że już z pewnością nie umrze. Całej wioski ludność błagała Boga przed progiem chatki, aby panience z pałacu najdłuższego życia i wszelkiej szczęśliwości użytył.

Pół godziny trwała bytność Maryi pomiędzy nieszczęśliwymi; chorzy otrzymywali lekarstwa i pomoc, kilkanaście kobiet odebrało zapas mięty, kropli i powtarzane objaśnienie, jak sobie postępować mają, gdy się nowy chory pojawi. Pocieszyła strapionych, uspokoiła trwożliwych i, obsypana błogosławieństwem ludu, już miała siadać do łódki z powrotem, gdy na wozie, słomą usłanym, przyjechał lekarz z miasteczka S..., mężczyzna w kwiecie wieku, przystojny, z szlachetnym wyrazem twarzy, a obok tego mający w głównych rysach widoczny ślad

pochodzenia wschodniego. Zbliżywszy się do zgromadzonych wieśniaków, gdy pośród nich spostrzegł hrabiankę S..., zatrzymał się w miejscu, gwałtownie pobladł i dopiero po chwili milczenia wyrzekł z pełną uszanowania grzecznością:

— Tam, gdzie Bóg swoich zsyła aniołów, pomoc lekarza jest zbyteczną.

Zarumieniła się Marya i wdzięcznie odrzekła:

— Nauka jest najwyższą łaską nieba: kapłanom nauki i aniołowie ustępują pierwszeństwa.

— Ja wypełniam mój obowiązek; — pani swoim poświęceniem się narażasz życie, które jest najdroższym skarbem rodziców i tych osób, które mają szczęście znać panią. Gdy od dzisiaj codziennie chorych tego miejsca odwiedzać będę, dalsze narażanie się pani na niebezpieczeństwo byłoby grzechem. A jeżeli najszlachetniejszemu sercu pani moje zapewnienie żadnej nie stawia tamy w poświęcaniu się osobistém, pozwól pani, że tę uczynię uwagę, iż, mniej świadoma środków ostrożności, możesz pani zarazę przenieść na tamtą stronę jeziora i tylko liczbę ofiar powiększyć.

— Napróżnoby walczyła z doświadczeniem i nauką pana, a kiedy mam przyrzeczenie, że pan o moich chorych nie zapomnisz, spokojną będę o ich życie. Obecnie racz pan przyjąć

moje podziękowanie i z głębi mojego serca wyrazi najwyższego szacunku.

Lekarz, widoczném miotany uczuciem, zbliżył się i na ręce hrabianki złożył drżącymi usty namiętny pocałunek — zachwiał się — i upadł bez zmysłów na ziemię.

III.

W kilka dni po tym cholerycznym wypadku hrabia S*** powrócił z miasteczka R*** i zapewnił swoją żonę i córkę, że młody lekarz niemal do zupełnego powrócił zdrowia, że już c'orych u siebie przyjmuje i że, pozostawiając na swoim miejscu zastępcę, zamierza jutro do Warszawy na kilka miesięcy wyjechać.

— Rzecz szczególniejsza — mówiła następnie hrabina — ten młody lekarz w tak krótkim czasie swojego w naszych okolicach pobytu tyle zdziałał dobrego, tyle tajonych czynów najwyższej szlachetności wypełnił, że, gdyby, się był znajdował w pobliżu naszym, gdyś z rąk *nieznajomego* te 40 tysięcy zbawienia otrzymał, — dając Fruzi wiarę, że przy całowaniu ręki Maryni oczy jego zbyt długo zatrzymały się na jej żelaznym pierścionku, — powzięłabym myśl, czyli to on nie jest tajonym zbawcą naszym; boć i Marya zapewnia, że na widok tego lekarza jej serce doznało wzruszenia, któremu dotąd granicy położyć nie może....

— Jam dawniej już na ten sam wpadał domysł — odpowiedział hrabia — ale żadnej a żadnej nie ulega wątpliwości, że on w tym samym dniu był jeszcze w Berlinie, a więc o 80 mil powietrzem przypłynąć nie mógł na mój ratunek. Zresztą rodzaj tłumaczenia się pana radzcy X***; pojawienie się jego syna w domu naszym; litera F., którą na batystowej chustce pierścionej kupującej damy złotnik spamiętał, zgadzająca się z początkową literą imienia córki pana radzcy; ówczesna jej bytność w Warszawie, nakoniec ta główna okoliczność, że radzca X*** wkrótce po naszym odrodzeniu majątkowém, będąc bardzo bogatym, prosił mnie o pożyczkę 40,000 tysięcy złp. bez oznaczenia terminu uiszczenia się, — to wszystko jest jasnym dowodem, że jego słowa wczoraj przy pożegnaniu w tém miejscu wyrzeczone: „*z kolei polecam waszej przyjaźni syna mojego,*“ napomykały, iż on był moim zbawcą, a ja mam być *z kolei* przyjaznym widokom jego syna Zdziśława, który od kilku miesięcy stara się najwyraźniej pozyskać serce naszej Maryni. I przyznam się, że byłoby mi przyjemniej być dłużnym wdzięczność panu radzcy — aniżeli... przechrzcie.

Marya. Ukochany tatko! dusza jest całą wartością człowieka; a dusza tego lekarza, jak nam nie z domysłów ale z pewnością wiadomo, ileż wylała źródło dobrodziejstw dla cierpiącej

ludzkości — dla dotkliwego nieszczęścia. . . . dla nędzy bliźnich! O najdrożsi rodzice! — ja nie wiem, ja nie pojmuję, dla czego w tak wielkie względem nas dobrodziejstwo pana radcy pomimo wszystkich, niemal dotykalnych dowodów, uwierzyć nie mogę, i na jakiej drodze serce moje najsilniejszym bije uczuciem dla tego przechrzty lekarza. . . .

Hrabina. Mylisz się, Maryo! twoje serce nie może znać najsilniejszego uczucia dla przechrzty. . . .

Marya. Ten, który dobrowolném przyjęciem chrztu składa uznanie zasad religii chrześcijańskiej, a czynami dobrodziejstw dla ludzkości, czynami poświęcenia się uznanie to potwierdza, — nie zasługujeż-li taki nowy chrześcianin na nasze bezwarunkowe, najsilniejsze, najszczerwsze uczucie brata lub siostry w Chrystucie?

Dalszą w tym przedmiocie rozmowę przerwało przybycie młodego Zdzisława X***, który z rannej wycieczki myśliwskiej powrócił.

Hrabia. A cóż, panie Zdzisławie, czyliż dzisiaj nie lepiej posłużyło ci szczęście? . . .

Zdzisław. Przez dwie godziny chodziłem nad brzegami jeziora, ale prócz jednego bekaśa nie widziałem nic więcej.

Marya. A o Regówce nie zapomniałeś pan dzisiaj? . . .

Zdzisław. Byłem na tamtym brzegu i asekurowali mnie ludzie, że nikt nie zachorował;

nadto powiedział mi tamtejszy ekonom, którego do czołna przywołać kazałem, że dawniejszy lekarz był dzisiaj w Regówce z swoim zastępcą, — i podobno zwiedzili wszystkie chaty. Gorliwymi są żydzi, — nie wątpliwe świadectwo, że pan Hrabia dobrze ich płaci.

Marya. *Honorarium* nie jest zapłatą poświęcenia się; lekarz pieniędzmi nagrodzonym być nie może.

Hrabia. W naszej córce znajdziesz pan silną na tę drodze opozycją.

Zdzisław. *Je serais très malheureux*, gdybym tym wyrazom rozciąglejsze dawał znaczenie, i dla przejednania najniebezpieczniejszej opozycji cofam zdanie moje i zgadzam się z panią, że w sztuce lekarskiej naukę tylko cenić należy.

Marya. Jak widzę, ciągle muszę być na stronie panu przeciwnej, — bo i w sztuce lekarskiej sumienia od nauki rozdzielać nie godzi się.

Zdzisław. Czyliż to mojem jest przeznaczeniem, aby pani była zawsze zwycięzcą a ja zwyciężonym? . . — i blady, wymiękły, manierny Zdzisławek uśmiechnął się, spojrział w zwierciadło a potem, całując śnieżną rączkę hrabianki, dodał z przymileniem: — o tę jedną odpowiedź będę natrętnym.

Hrabina. Czyliż ojciec pański wstąpił wczoraj

raj do Ziółkowic? — bo wspominał, że pani Florentyna ciągle jeszcze jest słabą.

Zdzisław. Papa wstąpił; ale siostra moja *zupełnie już dobrze*. . . i nawet spodziewam się, że siostra moja dzisiaj złoży państwu hrabio-
stwu swoje uszanowanie.

Hrabina. Bardzo nam będzie przyjemno powitać u nas naszą dawną — dobrą znajomą.

Stało się, jak pan Zdzisław obiecał: pod wieczór przyjechała pani Florentyna ozdobną karetą z mężem olbrzymiej postaci *Piesiem*, (Piotrem), bogatym dziedzicem dóbr Ziółkowice, z pyziatym, siedmio-letnim synkiem Edziem, z ośmiomiesięczną córeczką Madzią, z mamką Jakubową, z boną panną Szprech, z galonowanym lokajem Melchiorem i z wąsiatym stangretem Wawrzyńcem; — na bryczce zaś siedziała stara garderobna Nozdrzewska, przez ciocię marszałkową darowana piastunka, blada, chuda, biedna, Wołynianka Osipka, i fornał Mateusz *Kapusta*; a oprócz tych ludzi było zwierząt: koni karecianych pięć, klaczy fernalskich 3 z dwoma żrebiętami, koń wierzchowy dla pana Zdzisława 1, charty dla pana Zdzisława 3, małeńki wyżełek angielski jaśnie pani, i od roku nieumyty pudel Azor, bez którego obecności Edzio straszliwie zwykł krzyczyć. Przy tłumokach, tłumoczkach, pudłach i pudełeczkach

liczba mi zginęła, bom się zapatrzył na dwa wielkie konie drewniane, bryczkę po temu i bicz pięknie malowany — zabawki Edziowe, na wierzchu karety w paradzie stojące, czerwonym szpagatem do szprigli, do tylnych waliz i do kozła starannie przywiązane. Ze środka karety wyniesiono także dla Edzia i karabin i pałasz i bębenek przedziurawiony i malowaną grzechotkę i kilka kogutków piszczących, ku którym każde dziecko uczułoby niepochamowaną żądzę, gdyby było tak starannie pielęgnowane jak Edzio.

Już ukończonemi zostały najserdeczniejsze przywitania, i pani Florentyna objawiła kochanej hrabinie, że na cały tydzień z Piesiem i z dziećmi przyjechała, gdy Edzio nielitościwie wrzeszczyć począł, dopominając się o pudelko z huzarami; a gdy mu w lot huzarów dostarczono i panna Marya dla uspokojenia rozdąsanego chłopczyka dwa plutony tychże huzarów na małym ustawiła stoliczku, grzeczniejszy już Edzio pobiegł do mamy, ubrudzonym paluszkami wskazał na hrabiankę Maryą i głośno zapytał:

— *Czy to ona się ożeni z wujaszkiem Dzisiem???....*

— Jak piorunem rażone, całe towarzystwo zamilkło; a chłopiec sądząc, że mu należy wszystkę słyszana wiadomość wyłuszczyć, dodał bezzwłocznie:

A wujaszek Dzizio dostanie zaraz gotówkę te pieniądze wszystkie z Berlina, bo dziadzia sam

incyzę pisać będzie, i Dzisiaj zapłaci długi i będzie takim panem, jak mój papka....

Panna Marya już się do przyległego usuwała pokoju, gdy pani Florentyna, chwytając Edzia za rękę, targnęła nim tak nieostrożnie, że chłopiec upadł na ziemię i rozbeczał się przeraźliwym dyszkanterem.

— *Ce petit drole ne fait que dire des sottises* które mu się samemu w głowie wylęgła; — mówiła pani Florentyna, córka pana radzcy, zbawcy hrabiego.

— *Ale wy-lę-gną* — odczuwał się na kobercu tarzający się Edzio — *a przecies mama do wujaszka mówiła....*

— *Mon chère* — z sinionemi usty zawołała pani Florentyna na męża Piesia, (który się z zadowoleniem uśmiechał do Edzia) — wynieś tego chłopca do panny Szprech; — to imaginacyą przechodzi, jak on jest niegrzeczny i komponujący sobie rozmaite głupstwa.

Posłuszny rozkazowi żony, pan Pies schylił się po Edzia, ujął swojego infanta pod pachy i bez litości wrzeszczącego, papę po nosie drapiącego i nóżkami wierzgającego, przy głośném naszczekiwaniu pudła Azora, wyniósł na drugą stronę pałacu, gdzie mamka z dziećciem, panna Szprech z panną Nozdrzewską i Osipką w dwóch obszernych komnatach mnogie rozwijały tabory.

Ponieważ mi zarzucają, że się tylko w ka-

rykatury bawić zwykłem, więc pobytu państwa z Ziółkowic w domu hrabiosstwa S*** opisywać nie będę. To tylko ku związkowi mojej powiatki objawić obowiązany jestem, że państwo z Ziółkowic nie zamierzonych dni ośm, ale dzień jeden u hrabiosstwa zabawili i że pani Florentyna nie oświadczyła brata swojego o rękę hrabianki Maryi — i ograniczyła się przy pożegnaniu na uściskach kochanej Maryni, na zapewnieniach najserdeczniejszej przyjaźni, na powtarzanych prośbach, aby pani hrabina z mężem i z Marynią Ziółkowice odwiedzić raczyli.

IV.

W tydzień po odjeździe państwa ze Ziółkowic i pana Zdzisława przyjechało na imieniny mamy, na ś. Zofię, dwóch synów hrabstwa, Witołd i Kazimierz, uczniowie uniwersytetu berlińskiego, i z nimi trzeci student filozofii z Monachium, Edward hrabia Miaznicki, syn magnata na Ukrainie, młodzieniec bardzo przystojny, bardzo dobrze przyjmujący *edukacyą*, i podług zapewnian Witołda człowiek wielkich idei religijnych. — Uszczęśliwieni rodzice niespodziewanym przyjazdem Witołda i Kazimierza, byli zarazem całém sercem radzi i ich przyjacielowi, a Marya szczerzy uczuła pociąg dla pana Edgara, którego jęj bracia kochali i wysoko cenili.

Od przyjazdu trzech chłopców w pałacu Zalesia weselsze zakwitło życie; dni stały się krótszemi, często nawet brakowało i czasu na spełnienie ułożonych rozrywek, wycieczek i przejażdżek; poranki i wieczory o wiele nie wystarczały na lube pogadanki, żywe rozprawy, utarczki i umysłowe kłótnie przy najzupełniejszej serc zgodzie.

Uroczystość imienin hrabiny obchodzoną była niemal z książęcą wspaniałością; odbyło się w kościele nabożeństwo; ubogim rozdawano jałmużny; sąsiedzi z całej okolicy, wyższe duchowieństwo i znakomitsi urzędnicy składali powinszowania; był obiad wystawny na 120 osób; były tańce, koncerty, obrazy, fajerwerk na wysepkach jeziora spalony; — zgoła, na co tylko miejscowa możność zdobyć się mogła, wszystko przywiązany mąż, kochające dzieci i bliżsi przyjaciele obmyślili i spełnili. Radzca N*** na okazanie czci dla hrabiny, bezwzględnie, że pułkownik był poborcą pod jego zwierzchnictwem, wystąpił w wielkim mundurze; pani Florentyna ubraną była w suknię z chińskiej materyi, za którą pan Piotr złp. 5000 w Berlinie zapłacił; pan Zdzisław zaś nie ograniczył się na paryzkim fraku, ufryzowanej głowie i wie-deńskiej kamizelce za 40 talarów, (która była obficie złotem zahaftowaną), ale przywiozł w podarku dla samej hrabiny dwa nadzwyczaj oswojone łabędzie, a dla panny Maryi cztery kwitnące drzewa dwubarwniej kamelii, — podziwia-

ną wielkości i najpiękniejszego gatunku, a, jak się przypadkiem przed Witoldem wymówił, 1200 złp. kosztujące. Co więcej: pan Zdzisław podczas fajerwerku dyrygował plutonowym ogniem kilkunastu dworskiej służby i sześciu gajowych z dwururnych strzelb w chwili, gdy cyfra solenizantki światłem błękitnym oblaną została. Najzłośliwszy nieprzyjaciel nie mógł panu Zdzisławowi zaprzeczyć, że w grzeczności wszystkich przewyższył. Pomimo tego bystrzej przenikliwości panie tę sprawiedliwą uczyniły uwagę, że hrabianka Marya bardzo często rozmawiała z młodym hrabią Edgarem, i że pan Stefan Żalicki, były porucznik ułanów, dziarski 32letni mężczyzna z czarnym jak kruk wąsem, *bardzo do rzeczy* i wcale nie ubogi, także o nie mały ambaras serce hrabianki przypawił, zwłaszcza w mazurze, gdy każdym poruszeniem duszę żołnierską odsłaniał; bo poczciwe serce Maryi, córki byłego pułkownika, dla wojskowych obójt-nym być nie mogło.

Nie obwijając w bawełnę, aby ciekawości pięknych czytelniczek nie drażnić, — po tym wielkim balu Marya sercem dumań i marzeń polubiła Edgara, który przed nią rozwinął sieć fantastycznych obrazów z nowej szkoły ascetycznego kuglarstwa, który jej ukazywał na niebie dwie kolumny duchów, słup ognisty zniszczenia itd. itd.; — sercem swojskiem, rodzinnem polubiła Stefana, do którego życia

z przeszłości i w przyszłości wiązały się najdroższe wspomnienia i nadzieje; — dla Zdzisława nie pozostała żadna cząstka jęj serca, a zdawkowa grzeczność za kamelie i za labędzie była tak zinną, że ją i swojemi orderami olśniony papa przeniknął i poznał.

Nazajutrz w przedobiedniej godzinie pan radzca, pani Florentyna i pan Zdzisław walną czynili naradę, jak dalej postąpić mają. Pan Piotr, jako zbyt ograniczony, wraz z Edziem, jako zbyt niebezpiecznym świadkiem, oddaleni zostali; — pozostała przypadkiem wołyńska sierotka Osipka, która przy kołysce maleńkiej pannenki, córeczki pani Florentyny, niepostrzeżona klęczała.

— *Pan radzca X****. Widocznie, że ta dumna córka poborcy *negliżuje cię*, Zdzisławie, i do hrabiego Edgara przymila się a Żalickiego na odwodzie trzyma; — mądra to szczygliczka!...

— *Pani Florentyna*. Młoda, niedoświadczona dziewczyna; wszystko można odrobić, tylko o tém dokładnie wiedzieć trzeba, ile oni rzeczywiście posiadają majątku.

Zdzisław. O tém papa wie najlepiej.

Radzca. Zalesie warto brat bratu milion sześć kroć, a długi żadnego nie mają. U berlińskiego bankiera sumy na lat sześć zaczekać przyrzekł, poręczenie wypłaty zapewnił dom Magnusa, a więc gotowizny można liczyć na pewne 700,000, — suma nieochybna 2,300,000.

Na każde przeto z dzieci wypadnie... Zdzisław daj mi ołówka. Trzy w dwudziestu trzech, siedm, siedm razy trzy, dwadzieścia jeden, zostaje dwa; spuszczam zero, trzy w dwudziestu, sześć, trzy razy sześć, ośmnaście, ośm od dziesięciu dwa; spuszczam zero, — sześć, sześć, sześć, sześć: Marya będzie miała posagu prócz tego, co rodzice jeszcze dorobią — złp. 766,666 gr. 20.

Zdzisław. A ile oni mogą jeszcze dorobić?

Radzca. Hrabia był poborcą, umie się dobrze rachować.

Zdzisław. Więc grymaśna ale piękna hrabianka pułkownikówna będzie miała z najmniej wątpliwą pewnością (*pisze ołówkiem*) 766,666 złtp. gr. 20 prócz tego, co papa poborca dorobi. Jednem słowem: panna milionowa; a jabym jeszcze skorzystał, mając przy działach do czynienia z rozrzuconymi hrabiezami, Witołdem i Kazimierzem.

Radzca. Naturalnie, gdyby stary powędrował *ad patres*.

Florentyna. On od owęj kradzieży w kasie ciągle taki żółty, pokaszluje, — jabym za trzy lata jego życia nie ręczyła.

— *Zdzisław*. Pułkownikowa jeszcze prędjéj umrze.

Radzca. Koniec końców, że trzeba wziąć się energicznie; pół-środków nie lubię. — Oto tak zrobimy. Zdzisławie! ty ztąd ani na krok

jeden nie ruszysz się; jak usłyszysz, że kto obcy do pokoju się zbliża, chódź wielkimi krokami wzdłuż i wszerz, udawaj człowieka w rozpacz. Pistolety niechaj leżą na stole.

Zdzisław. Wiem! Wiem! Wiem!

Radzca. Tylko proszę mnie słuchać; ty zaś, Florciu, pójdziesz do salonów i będziesz mi udawała bardzo zasmuconą. Jak się goście rozjadą, pójdziesz niby zajrzeć do dziecka, nagle powrócisz blada, trzęsąca się, poskoczysz ku mnie z załamanymi rękami i głośno zawołasz: „on się zabije!“ Reszta to już moje dzieło!

Florcia i Zdzisław. Wybornie, papo! wybornie!...

Radzca. Ja wtenczas powiem hrabiemu, że z zarumienieniem widzę się zmuszony wyjawić mu, że to ja dałem mu owe 40,000 złp. i będę go błagał o wzajemną pomoc w mojem nieszczęściu, o ocalenie życia mojego syna! ... A co?! chybi?...

Zdzisław. Papo, nie chybi, *jak honor kołham*, tak nie chybi. Interes skończony!...

Florcia. A jak się wynajdzie ten prawdziwy nieznajomy, który hrabiemu pożyczył 40,000!?

Radzca. To tam jakiś świętoszek, on się już nie zgłosi. A zresztą, jeżeli się zgłosi po ślubie, naśmieją się z hrabiego, — przecież rozwodu żądać nie będzie. Tylko, że wtenczas wypadałoby mu zwrócić 40,000, które to pożyczyłem od niego.

Zdzisław. To będzie miała więcęj posagu (*pisze ołówkiem*): trzy w czterech, jeden, trzy w dziesięciu trzy, trzy — trzy, trzy, groszy 10, czyli złp. trzynaście tysięcy, trzysta trzydzieści i trzy, — gr. 10.

Radzca. W tém więc cała sztuka, aby ślub nastąpił za *indultem*, bez zapowiedzi, szybko, jak najprędzej. Do czego twoja ciągła rozpacz o niepewność przyczynić się winna. Już ja poprowadzę, zreferuję, a hrabia podpisze.

Godne dzieci ucałowały ręce godnego papy. Zdzisław wyjął z machoniowej szkatułki dwa *kuchenrejtery*, pocałował je, uśmiechnął się, potem natychmiast włosy w tył przerzucił, twarz unieruchomił i począł wszerz i wzdłuż po pokoju maszerować.

Radzca. Lepiej niepodobna! *bravo!* Zdzisławie!

Florcia. Tylko oczy więcęj wytrzeszczaj!

I pan radzca wyszedł z córonią na drugą stronę pałacu, do salonów, do gości, do hrabstwa.

V.

Są autorowie, którzy potrafią jak na sznurku słówka w słówko, z najdrobniejszego w najdrobniejszy czyn rozpoczętą prowadzić powieść, i każdą trześć na 2, 3, 4, a czasem i na 6 tomów rozcedzić i rozwałkować; a powszechność

po przeczytaniu, natłokiem myśli nie zmordowana, z miłym uczuciem wyrzecze: „ładnie opisał,“ poczem i drukarz i papiernik i intro-ligator i rękopisami handlujący autor i księgarze w pięćdziesiątym procencie najwyraźniej zwiększony zysk mają. Taki rodzaj literackiego nawodniania myślowej dziedziny jest bardzo wielu ludziom pożyteczny; ale cóż, kiedy na moje nieszczęście nie jestem utalentowanym powieściopisarzem, jeno pisarkiem ramotek, które krótko, kuso, w oderwanych częściach, w odłamkach, rzucam na papier i spieszę do końca jak żyd na szabas, — chociaż dalibóg żydem nie jestem.

Spyta się zapewne nie jeden, jaki ma związek początek tego rozdziału z treścią powieści? ... Oto taki, że pomijam szczegółowe opisywanie brudnej sceny nikczemnego oszukaństwa i w treści to tylko opowiem, że plan pana radcy, dobrze ułożony, tegoż samego dnia jeszcze wybornie wykonany został; a przed zachodem słońca hrabia z gwałtownym rozczuleniem całował ręce swojego wybawcy; hrabina w objęciach Florei rzewne łzy wylewała; Witold i Kazimierz uprzedzali się w wyrazach głębokiej wdzięczności. A Marya?...

Marya całą duszą przeszła na własność Zdzisława, syna tego szlachetnego męża, który jej ojca i całą rodzinę od hańby i zguby ocalił.

Edgar uznał za słuszne, dla efektu, tego

dnia jeszcze na Ukrainę odjechać. Stefan nie był świadkiem szczęścia Zdzisława.

Aż mi lżej, żem się z tego rozdziału wywinął.

VI.

Poranek 15 czerwca pogodnym niebem ziemię osklepił, a słońce już od dwóch godzin gorącemi całunkami pieściło się z kwiecistą barwą wiosny, gdy Marya po odbytej spowiedzi przedślubnej z parafialnego wracała kościółka; towarzyszyła jej matka z cichą w sereu modlitwą. Wchodząc w bramę dziedzińca, spostrzegły przed pałacem paro-konną bryczkę pocztową. Sądząc, że zapewne który z młodych przyjaciół Zdzisława na ślub przyjechał, hrabina pospieszyła na przyjęcie nowego gościa. Marya udała się do oficyny, aby panią Florentynę obudzić i ciociom i stryjenkom i kuzynkom (o! bo się to wszystko na ślub bogatej hrabianki najchętniej zjechało) *dzień dobry* powiedzieć.

Zaledwo się kochane panie grzecznie poczęły, wezwano Maryą do jej rodziców.

Dziwne, niepojęte, niewysłowne, najsilniejsze uczucie oblało serce Maryi, gdy w pokoju rodziców zastała młodego lekarza,*** którego przed 8 tygodniami w Regówce przy odwiedzaniu cholerycznych poznała.

Hrabia. Pan konsyliarz, wracając z Warszawy,

raczył do nas wstąpić i pragnie złożyć ci życzenia dzisiaj mającego nastąpić twojego zamęzcia.

Młody lekarz stał nieruchomy, niemy, blady, a lekkie drzenie zdawało się po jego twarzy przebiegać.

Marya zaledwo kilka wyrazów podziękowania za pamięć wymówić była zdolną. Po chwili coraz widoczniejszej walki wewnętrznej młody lekarz zbliżył się do hrabianki, ujął ją za prawą rękę i silnym głosem zapytał.

— W imię twojego, pani, szczęścia na całe życie proszę o najszczerszą odpowiedź: czyliż do oddania swęj ręki synowi pana radzcy inne prócz wdzięczności skłania panią uczucie?..

— Wdzięczność i przywiązanie — z pomieszaniam odrzekła Marya.

Na twarz lekarza mocny wystąpił rumieniec.

— Bądź pani szczęśliwą i racz zawierzyć, że tylko znane mi anielskie cnoty pani, a ztąd życzenie szczere, głębokie, ośmieliło mnie do tak śmiałego kroku dowiadywania się o uczuciu pani w dniu jej zaślubin...

Zwracając się do rodziców: — Przebaczenie, państwo, to jest kaprys mojego uwielbienia dla waszłej córki, którą widziałem narażającą się przy niesieniu ulgi i pociechy dla nieszczęśliwych, dla nędzy. Oddalając się z tych stron na zawsze, proszę o życzliwą pamięć, o spomnienie...

Wchodzący do pokoju Zdzisław przywitał młodego lekarza lekkomyślném zapytaniem.

— Czy pan i w szabas chorych odwiedzasz?...

— Nie jestem już żydem, a gdybym był nim jeszcze, szabas nie przeszkadzałby mi obowiązków mojego powołania wypełniać.

Hrabia. Panie Zdzisławie! pan konsyliarz jest przyjacielem naszego domu.

Marya. O i bardzo, bardzo szlachetnym.

Oczy młodego lekarza utkwily w postać Maryi, — zamyslił się a potem, nagle wyrывая się z przykrego położenia, uściśnął ręce rodziców i córki, oddalił się spieszenie i za chwilę z zasłoniemni oczyma wyjechał z Zalesia.

Zdzisław zrobił kilka zapytań o dawności znajomienia się hrabiostwa z tym młodym lekarzem; hrabia powtórzył najżyczliwsze o nim świadectwo; Marya ze ściśnioném sercem udała się do swojego pokoju.

Nagle rozległ się płacz i hałas po całym pałacu. Wołyńska sierota, piastunka Osipka, wbiegła do pokoiów i z zakrwawioną twarzą rzuciła się do nóg hrabiego.

— Niech mnie jasnie wielmożny pan uratuje od służby u mojej pani! *At* ja jasnie wielmożnemu panu wszystko opowiem, jak ojciec mojej pani namówił pana Zdzisława, żeby on udał, że chce się zastrzelić; jak oni wszyscy rachowali, ile państwo mają bogactwa, rychło państwo pou-

niера, jak moja pani boi się, żeby ten człowiek nie przyjechał, za którego się ojciec mój pani udaje, bo on wcale nie dał jasnie wielmożnemu panu żadnych pieniędzy.

Niespodzianym ciosem tego zeznania uderzony Zdzisław, stracił wszelką przytomność i, u przebieglejszej siostry szukając zbawienia, uciekł z pałacu.

Na wrzask i hałas Osipki przybiegły hrabina i Marya — i zaledwo usłyszały z ust hrabiego zeznanie biednej dziewczyny, gdy Marya spojrzała na swoją rękę i z trupa bladłością, wieszając się u szyi swóego ojca, namiętnym zawołała głosem.

— Ojczel! on mi odebrał pierścioneł, on był zbawcą twoim! zbawcą naszej rodziny! Matko! moje serce nie omyliło mnie.

Radzca, Zbigniew i Kazimierz weszli na tę scenę, nie znając ani jej początku ani jej treści.

Hrabia. Panie radzco! oto jest twoja oskarżycielka, która z oczu moich utkaną przez ciebie zdzięła zasłonę. Jam z twoich rąk 40,000 nie odebrał. Mój prawdziwy zbawca, całém sercem mojem jestem tego pewny, przed chwilą dopiero mój dom opuścił.

Radzca. (*jękając się*). To wcale stosunków naszej przy... przyjaźni nie powinno — nie powinno... nie może zmienić. Żart mój puść, kochany pułkowniku, w niepamięć; zwyczajnie chciałem synowi mojemu dopomódz. A te

40,000 złp., któreś mi pożyczyl, oddam Maryi, mojej synowej...

Hrabia. Jeszcze synowej!?... Nawet ta przy moich nogach skrwawiona poddanka wołyńska byłaby nieszczęśliwą, gdyby swoją rękę twojemu synowi oddała

Radzca. Pan hrabia zapominasz się.. ja... ja zdaję się na honorowy sąd twoich własnych synów...

Witold. Moim sądem jest, żeś zasłużył na piętnowanie policzkiem.

Kazimierz. Kto za popełnioną podłość zapragnął tej nagrody, która się należy enocie tajonej, z pod sądów honorowych winien być wyjęty, a wyrok mojego brata jest tylko surową sprawiedliwością.

Radzca. Więc zrywamy... dobrze!

Bezczelnik wymknął się bez kapelusza, a cała rodzina hrabiego spólnymi siłami zemdlając Osipkę na łóżko Maryi zaniósł. Biedna dziewczyna za niewinną z pyzaty Edziem sprzeczke została przez złośną panią swoje nożyczkami okropnie w twarz szarpnięta, — zapewne w chwilowém uniesieniu pięknej pani.

— W godzinę później pan radzca, państwo Piotrostwo, pan Zdzisław, z karetami, z koczami, z bryczkami — dwadzieścia siedm koni z licznym poczem sług swoich płci obojęt, wyjąwszy Osipkę, wytoczyli się za bramę dziedzińca prosto do Ziółkowie; Witold i Kazimierz ślali są-

żniste w powietrzu za niemi znaki krzyża świętego, *per modum* — jak się biesów wyżegna. Niżej podpisany chirurg filozofii, temu całemu zdarzeniu obecny, wołałem za psu-bratami: „a do domu, buldoki! a do domu, brysie!... tylko ty, głupi Piesiu, nie potrzebnyś z niemi, — a do domu, jamniki!

* * *

Kiedy w r. 1836 z Londynu do Nowego Jorku płynąłem, młody polski lekarz*** przez kilka tygodni niemiłej podróży uzupełnił mi szczegóły powyższej powiastki, których jednakże powtórzyć mi nie wolno, bom je miał opowiedziane pod przyrzeczeniem, że tajemnicy nie odsłonię nikomu przed rokiem 1875.

Nie wieki to żadne; za 28 lat pospieszę moim kochanym czytelnikom wszystko po szczególe wypisać. Dzisiaj o tém tylko zapewniam, że pułkownik, hrabia Stanisław S*** bezskutecznie za młodym lekarzem*** pocztowemi końmi do Warszawy pogonił i że Marya w rok później umarła.

Jeden z upartych zwolenników Rademachera zapewniał mnie, że umarła na *morbus chelidonii*, a może nawet na *morbus aquae quassiae*; ale to bajki. Hrabianka po prostu umarła na

podwyższoną czynność serca i arteryi. Szkoda! była to dziewczyna wyższego pojęcia, najsłabszego uczucia, — wolna przesądów i uprzedzeń, wieku XIX. niegodnych. Śnać w niebie było natenczas potrzeba jednego więcej anioła.

KUBUŚ SIĘ PRZECIERA.

POKRZYWKA

przez

Au. WI.

KUBUŚ SIĘ PRZECIERA.

I.

Było to z południa 30 września roku 1815 po ukrzyżowaniu Chrystusa a 1848 podług kalendarza rzymsko katolickiego; — działo się w Warszawie nad rzeką Wisłą, w domu pod Nrem 476 lit. d. przy ulicy Nowo Senatorskiej, na drugim piętrze, w pokoju zaszczyconym nazwą Redakcyi Dzwonu literackiego. Paląc sygaro, czytałem gazetę niemiecką, gdy uszu moich doszły z przybocznej komnaty kobiece głosy i równocześnie ujrzałem w progu mojego uchronia ślicznie ustrojoną mamę z 18-letnią córeczką i z dwudziestoletnim synalem.

— Pan August mnie poznaje?...

— A gdybym i nie poznał, toby serce odgadło; — ależ poznaję, poznaję najszanowniejszą panię dobrodziejkę — nawet poznaję i pannę Teklunię, która tak prześlicznie mamę swą przypomina z tych lat, kiedyśmy to z panią Anastazją oberka w Szamotułach tańczyli.

— Zawsze dobry i grzeczny pan August. A gdzie Paulinka?

— Moja żona jest na wsi o 9 mil od Warszawy, ale dzisiaj spodziewam się jej powrotu.

— Prezentuję panu Augustowi mojego syna, Kubusia.

— Bardzo mi przyjemnie tę tyle dawną odnowić znajomość, bo że ja to byłem świadkiem św. chrztu maciucinkiego Kubcia, który obecnie o całą głowę mnie przerósł.

Kubus się sztywno uklonił.

— I ja go też tutaj do pana Augusta przyprowadziłam, aby go polecić waszej opiece, waszemu sercu.

— Wdzięczny pani jestem za łaskawą o nas pamięć.

— Przywiozłam go do Warszawy i zamierzylam zostawić go tutaj na dwa lata.

— Gdzież Kubcio szkoły ukończył?...

— W Płocku chodził do gimnazjum, ale w IV klasie zachorował, więc go wzięłam na wieś, a potem przyjął guwernera, który jego edukacją ukończył.

— Obecnie wstępuje do bióra?

— O nie! nie! będzie jeszcze brał lekcye muzyki i tańca, i chcę, żeby się chłopiec trochę przetarł na wielkim świecie stolicy. —

U kogoż go pani umieścisz?...

— Chciałam mu nająć prywatne pomieszk

nie, ale on tu znalazł swoich szkolnych przyjaciół, synów pana Raniszewskiego, i z nimi ma mieszkać w hotelu Rzymskim.

— Czy młodzi hrabiowie Raniszewscy także się tutaj przez dwa lata przecierać będą?...

Mama. Oni są już bardzo dobrze przetarci i bawią tylko dla rozrywki.

Kubus. Przed miesiącem powrócili z zagranicy.

Tektunia. Kubcio nie mógł nateraz dostać paszportu, bo i on miał jechać za granicę.

— Co się zwlecze, to nie uciecze.

Mama. Zapewne, że go będzie potrzeba potem posłać chociaż na jeden rok do Paryża.

Kubus. Powiedziałem mamie, że trzy lata zabawię w Paryżu.

— A na cóż ci się, kochany Kubciu, dwa lata w Warszawie przecierać, jeżeli w Paryżu trzy lata bawić zamierzasz; toćże w Paryżu możesz się nie tylko przetrzeć, ale i przenieć.

Mama. Młodemu potrzeba świat poznać.

— Zapewne, o ile młody zdolnym jest poznawać świat na drodze duchowego sądu.

Mama. Ja się spodziewam, że mój Kubus tylko po dobrą drogę postępować będzie...

— Czémżeż panie pozwolą sobie służyć?... Pani niegdyś lody lubiła, a tu w Warszawie mamy sławne lody u Lessla.

— Przesłicznie dziękujemy, kochany panie Auguste, ale dzisiaj tylko na chwilę wstąpi-

liśmy do państwa, bo trzeba nam jeszcze być u wujenki i — za to jutro, jak Paulinka powróci, nagrodzimy sobie dłuższą u państwa bytnością.

— Do którego hotelu zajęchały panie?

— Naprzeciw mennicy.

— Jutro rano złożę paniom moje uszanowanie i zapewne już doniosę pani o powrocie zony mojej.

— Ciekawam, czy się też Paulinka nie zmieniła?

— *Przetarła* się nieco świeżość liców, ale w duszy i w sercu zawsze ta sama.

— Panie Augustcie, tak często powtarzasz moje wyrażenie, że się boję, abyś o mnie nie napisał Ramotki?...

— Kiedy to Kubuś ma się przecierać a nie pani?

Chmurno się na mnie spojrział pan Kubuś, a mama kilka mi znów powiedziała grzeszności; i parafiańskim zwyczajem sprowadziłem mamę i córeczkę aż do drzwiczek karety, do której i Kubuś z ufryzowaną głową, w lakierowanych bóciakach wsunął się zgrabnie.

— Piękną ty pójdziesz drogą, młodziu! — pomyślałem za odjeżdżającymi na Nowy Świat, — i powróciłem dokończyć ciekawej gazety niemieckiej. — W ośm godzin później przybyło do mnie kilka osób, prosząc, abym zmienił pomieszkowanie — żona co dopiero powróciła ze wsi —

było nam nad wszelki wyraz przykro rozłączać się tak nagle, — ale trudno odmówić, kiedy prosili, — i nazajutrz nie miałem już sposobności pospieszyć z uszanowaniem do hotelu Krakowskiego, do dawniej znajomej, do Tekluni i do Kubusia, a byłem ciekawy jeszcze bliżej rozpoznać pierwsze kroki rozpoczynającego przecierać się młodzieniaszka.

II.

Dwadzieścia i sześć miesięcy to wiek cały, kiedy pozostawieni jesteśmy samemu sobie, bez rodziny, bez przyjaciół, bez znajomych, bez zewnętrznych wrażeń, a co najdotkliwszém — bez żadnej pracy, bez żadnego zatrudnienia, — z jedną i ciągle z jedną myślą! — Nieco później obszernie o tém — teraz znów o Kubusiu.

Było to piątego grudnia roku 1817 po ukrzyżowaniu Chrystusa a 1850 podług kalendarza rzymsko katolickiego, a działo się w Warszawie nad rzeką Wisłą w domu pod Nrem 476 lit. d. przy ulicy Nowo Senatorskiej, na drugim piętrze, w pokoju Exredakcyi Dzwonu literackiego. Pałąc sygaro, czytałem Kuryera warszawskiego, gdy uszu moich z przedpokoju doszedł śmiały głos męzki i równocześnie jak bomba wpadł do mojego pokoju kolega z szkół, kolega z wojska, kolega z oraczki, kolega z literatury i kolega myślą, sercem i duszą.

Jak my się poczęli ściskać i z dubeltówki całować, tak ni końca, ni miary, aż mi policzki nabrzmiały a oczy zawilgły i w piersi tchu zabrakło.

— A kiedyś przyjechał? a cóże? a jakże? a czemu? a dla czego?

Któż nie zna tego napływu pytań po dwuletniem przeszło niewidzeniu się szczerych przyjaciół! — Zwolna od naszych osobistości chrześcijańskim zwyczajem przeszliśmy do bliźnich i znajomych naszych.

— Powiedz mi, cóż porabiają Paczynscy?

— Zdrowi — jegomość codziennie gra w wista, jejmość coraz to nowe francuzkie romanse czytuje.

— A Kajetan?

— Zdrów i zawsze pracuje w swoim pocziwyn zawodzie.

— Ale ale — powiedz mi, cóż się stało z Kubusiem, który się miał przecierać w Warszawie?

— Przecierających się Kubusiów mamy obecnie kilkunastu.

— Kilkunastu, to bardzo mało, chyba się mylisz; ja się pytam o Kubusia Malsztyńskiego?

— Kubus Malsztyński! żyje i już przeszedł wszystkie koleje swoich poprzedników, a nawet nowe odsłonił przykłady dla swoich następców. Smutna powiastka, ale ci ją opowiem z autentyczną dokładnością, abyś ją opisał i wydrukował.

Po odjeździe matki usamowolniony Kubcio przeprowadził się do hotelu Rzymskiego i zajął trzy pokoje na pierwszym piętrze; pomimo że miał sukienki bardzo przyzwoite, kazał sobie zrobić u najmodniejszego krawca, a więc najdroższego, sześć garniturów wizytowych, sześć garniturów balowych, sześć garniturów neglizowych i za te 18 garniturów zapłacił 9000 złotych polskich; perski zaś szlafrok z chińskim obuwem i turecką, złotem dzianą czapeczką — troszeczkę tylko przechodzone — kupił za bezcen od potrzebującego gotówki Alfonsa, za ... 120 dukatów. Koszul białych batystowych kupił 2 tuziny, sztuka po złpol. 150, kolorowych także 2 tuziny, sztuka po 12 rub. sr. Za alnawiwę złoto brązowego koloru, podszytą aksamitem szafirowym, zapłacił złpol. 800, za płaszcz podbity elkami 3,500 złpol., za kapelusze, lakierowane obuwia, fulary, zegarek, lornetki, i sześćdziesiąt drobiazgów na stolik toaletowy, zapłacił złpol. 3,700; — za 3 tuziny rękawiczek, 2 dywany i sześć pudełek cygar w najlepszym gatunku zapłacił 1000 złpol. Za przesłiczny pugilaresik z perłowej macicy i za bilety wizytowe zapłacił 400 złpol., za liberyą stangreta i lokaja zapłacił 1200 złpol., koczyk aksamitem wybity i dwa kare wałachy kupił na *credit*, dając weksel na 1500 r. sr., czyli przed upływem dni 14 na pierwsze — jak nazwał —

uporządkowanie się wydał gotówką 26,520 złp. i pierwszy weksel na 1500 r. sr. podpisał.

Ale ale! byłbym jeszcze zapomniiał; przy tém pierwszym uporządkowaniu się kupił także bilet przedpłatny na poezye za złpol. 8 i kupił Rozmowy francuzkie pani Coquon za złpol. 12.

Tak uporządkowany, comme de raison — z głową ufryzowaną — 15go października pierwsze rozpoczął wizyty.

Tydzień cały od 12tej z południa do 7mej wieczorem jeździł z wizytami i jego kocyk mogłeś widzieć na każdej ulicy 12 razy codziennie; a jeździł ostro, pełnym kłusem, potrącił więc i obalił kilku pieszych ludzi, skarambulował się z kilku dorózkami, i już go Warszawa poznawać poczęła pod nazwiskiem *blondynek w aksamitnym kocyku*. Niebawem dowiedzieli się lichwiarze, że pan Malsztyński za dojściem do pełnoletności, to jest po upływie pięciu miesięcy, obejmie z ojcowskiego spadku dwie wioski bez długu wartości 350,000 złpol., że jego matka swego majątku posagowego posiada około 400,000 złpol., i że nadto stryj jego bezdzietni pozostawił mu dobra wartości 180,000 złpol., ale dożywociem swój żony obciążone, — sprawiedliwie więc obliczyli panicza na 730,000 złpol.

Co za ponętny widok dla lichwiarzy i oszustów!

Ocenili oni ten widok z wzorową do-

kładnością, a mianowicie téż lichwiarz Dwunowski, który, uprzedzając swoich rywali, bez pośredników, bez kluczek i haczyków, 1 grudnia 1848 roku wprost panicza w hotelu odwiedził i ofiarował mu się na usługi w każdej potrzebie. Kubuś serdecznie uścisnął dłoń przyjaciela i, mając już tylko małeńkie resztki pozostawionych mu przez matkę 30,000 złpol., do czynu nielewniwy, tegoż samego dnia pożyczył u Dwunowskiego 6000 r. sr., pisząc weksel na 8000 rub. z prawnym procentem $\frac{5}{100}$, płatny za trzy miesiące.

Widząc Kubcio, że w Warszawie o pieniądze nie trudno, zamierzył użyć ich w dzień św. Barbary, 4 grudnia, lotnie, siarczysto, huczno — i, wkupując się niejako do koleżeństwa, dał balik w niebieskim ogródku dla sześciu znajomej młodzieży i dla tyluż dam, znanych z uprzejmości i poświęcenia się. Podczas zabawy przybyło jeszcze kilku młodzieży, jeszcze kilka dam, — po północy jeszcze kilka osób, — tak, że w końcu wesołe grono liczyło raczonych i raczących się dwudziestu pięciu. Illuminacya, wieczerza, wino, podarunki dla bogiń, toast z trzewiczka prima donny, który to trzewiczek po ukończeniu kolei napełnionym został dukatami, na dodatek 2000 przegranych pecyków w djabelka, — a z 6000 rubli od Dwunowskiego pozostało tylko — 120 złpol. dla miejscowej służby, która *jaśnie pana*, silnie pijanego, o siód-

méj rano do aksamitnego odnosiła koczyka. Nazajutrz o 4tój z południa Dwunoski wyliczył 8000 r. sr. anglizowaném złotem, i odebrał weksel na 12000 rubli z procentem po $\frac{5}{100}$ płatny za 2 miesiące. Temi ośmiu tysiącami rubli, co na nasze złotówki czyni 53,333 złpol. 20 grpol., bronił się Kubicio aż do 5 lutego, — pomimo że dla Eweliny (prima donny z baliku) najął i cudnie umebłował całe pierwsze piętro na Krakowskiém Przedmieściu i kupił jój białą szal za 6000 złp., — do owego terminu wypłaty wekslu na 12,000 r. sr. z procentem prawnym po $\frac{5}{100}$. Dwunoski stawiał się już o ósméj rano; — ale przyznać należy, że pan Dwunoski okazał się człowiekiem cywilizacyi XIX stulecia; bo nie tylko że nie nalegał o wypłatę, ale upił się winem szampańskiem z swoim dłużnikiem, uściskał go, ucałował i bez rewersu dał Kubiowi 200 dukatów złotem, upominając po przyjacielsku, aby Kubicio był oszczędniejszym, i biorąc od niego słowo honoru, że od nikogo pieniędzy nie będzie pożyczał.

Tymczasem zbliżył się 20 marca, dzień pełnoletności Kubcia. Przez cały dzień Dwunoski hojnie podejmował swojego dłużnika: bawił, poił, pochlebiał, ściskał, całował, i nazajutrz dopiero przystąpił do ogólnego obrachunku. Należało się:

12000 rubli z wekslu drugiego,
600 rubli bez rewersu,
1000 rubli prawne procenta i wynagrodzenie za uchybienie terminu,
1000 rubli za parę gniadych koni,
4000 rubli gotówką,
3400 rubli procentu do wełnianego
jałmarku t.j. do 24 czerwca 1849.

Razem na 30000 rubli obliczono przed rejentem, bo Dwunoski dalszego kredytu odmówił, tę arcy-szlachetną niosąc bankrutowi pociechę: „Słuchaj, Kubciu! ty jesteś smutny! za czém?... za tymi chłopami w kozuchach, za wioskami, w których błoto pod kolana? Pfe! wstydź się — nie bądź dzieckiem. Zresztą chociaż straciłeś majątek, ale masz we mnie przyjaciela: kupię ci dzisiaj u Heurteux-go obiad i dam ci bilet na parter, śliczna sztuka! Ancia z czarnemi oczyma będzie dzisiaj solo tańczyć.“ Kubicio, wdzięczny za ofiarowaną przyjaźń, za obiad i za bilet parterowy, uściśnął rękę *przyjaciela*, i poszepnął mu na ucho; „pożycz mi jeszcze rubla — na tytuń!“ Dwunoski wyjął z kieszeni $\frac{1}{2}$ rubla i po raz ostatni Kubusia pożyczką uszczęśliwił.

Gdybyśmy był wzorowym powieściopisarzem a nie piszczykiem Ramot i Pokrzyw, podsunąłbyś do ust opowiadającego kilka ustępów romanso-

wych z życia Kubusia, a mianowicie téż opisałbym jego przemysł po utracie majątku, bo słusznie przemysłem nazywać mogę zaręczyny Kubusia z numerową hotelu..., która rozmaita drogą uzbierała sobie 7000 złp. Kto wie, ażali te 7000 złp., na pewnikową grę użyte, nie postawią znowu Kubsia na stopie odpowiedniej jego — młodości i naucz!....

O DOBRÉM WYCHOWANIU.

O DOBRÉM WYCHOWANIU.

W źródłosłowie wyrazu szukaj jego prawdziwego znaczenia.

Badając wyrazy *dobre wychowanie* (chów — wychów), mimowolnie przypomniałem sobie dobrze wychowane konie, owce, woły, krowy, jedném słowem zwierzęta a i dzieci ludzkie w ich pierwszej młodości — wyłącznie pod względem fizycznym. Pełnoletniego zaś młodzińca, mężczyznę dojrzałego nazywać dobrze wychowanym, poczytuję za ułbiżenie jego duchowej godności. A przecież ta nazwa w kraju naszym niemal bezwyjątkowo wielką jest pochwałą u ludzi wyższej warsztwy naszego społeczeństwa, i zawiera w sobie nietylko piękne przymioty obyczajności, ale i naukowość i umysłowość chwalonego.

Mylna to nazwa, o! bardzo mylna, a wypływa z niskiego żądania głównie gładkich oby-

czajów tylko, pomijając nazwę umysłowość, duchowość człowieka. U Niemców jest inaczej: *ein wohl erzogener Knabe* (chłopiec dobrze wychowany) znaczy młodzieniaszka, mającego dobre obyczaje towarzyskie, to jest: że się ze starszymi nie sprzecza, że dla kobiet jest z uszanowaniem, że w obec czcigodnych ludzi nie ziewa, że przyzwoite nosi sukienki i t. d. i t. d. *Ein gebildeter Mann, ein gescheidter Mann* odnosi się wyłącznie do znamienitego stopnia i naukowej i umysłowej dojrzałości, i ztąd też przymiotnik *wychowany* przeznaczają wyłącznie dla *chłopca* (*Knabe*), a *naukowo i umysłowo wykształcony* dla *męża* (*Mann*).

W Niemczech społeczeństwo czyli obywatelskie towarzystwo posiada trzy główne dzielnice: tak nazwaną klasę wyższą, średnią i niższą. Myśmy niedawno mieli tylko dwie klasy, wyższą i niższą, bo średnia dopiero w początku dziewiętnastego stulecia z kolebki wyrastać poczęła. W Niemczech klasa średnia jest rządzącą, — u nas po dziś dzień przodkuje klasa wyższa. A że właśnie w naszej klasie wyższej przedewszystkiemi starają się o dobre *wychowanie* młodzieży a rzeczywiste wykształcenie naukowe, umysłowe, zwykle pozostawiają dla ludzi chlebowych, więc też klasa wyższa przodkująca, ograniczając się tylko na *dobrém wychowaniu*, niedołęzną jest w przodkowaniu, bo niską jest na drodze nauki, a bez nauki obecnie już się

stało niepodobnem pożytecznie przodkować, i oto źródło naszych klęsk ostatnich i najnowszych a bodaj i nie przyszłych.

W Polsce do przodkowania bezwarunkową potrzebą dotąd było imię wielkiego rodu. W Niemczech i w Anglii jedynie i wyłącznie umysłowość zasłużone odbiera pierwszeństwo; nie wymieniam Francyi, bo mi tego zabrania ostatni przykład z wyborów 1848 r., gdzie dla historyczności imienia rozum pogwałconym został.

Z tych to w najściślejszej a niestety koniecznej treści zawartych zdań i uwag moich taki dla kraju naszego sens moralny przedstawiam. Nasza klasa wyższa za najświętszy poczytać winna obowiązek, aby ję członkowie przedewszystkiemi byli *gebildete Männer*, rzeczywiście naukowo ukształconymi ludźmi; *dobrze zaś wychowanie* aby się z pierwszego do trzeciego rzędu, to jest za naukę i za *szczerze pocziwe serce* usunąć raczyło.

To, com tutaj o *dobrém wychowaniu* napisał, jest małą częsteczką dorywczych uwag moich; jest to niedbały a najogólniejszy zarys do bardzo dla nas ważnej rozprawy. Z tego przekonania wychodząc, wzywam mężów umysłowo odemnie zdolniejszych a do zondowania zaprawnych, aby ten przedmiot, jako rzeczywistego dobra ogółu obecnie i na przyszłość bezpośrednio dotyczący, głęboko, jasno i obszernie opracowali; bo za prawdę, za prawdę powiadam wam, do-

póki u nas *dobre wychowanie**) przodkować będzie, zbawienia *naszej* duszy spodziewać się nie możemy. Dixi.

*) Jeden z najznakomitszych obywateli naszego kraju, w mojej obecności, bronił uparczywie zdania następującego: „Można być źle wychowanym, umiając po francuzku, ale nie można być *dobrze wychowanym*, nie umiając po francuzku.” Że zaś cała Polska posiada co najwięcej — tysiąc obywateli, umiających płynnie u ówić po francuzku, więc mamy tylko jeden tysiąc obywateli *dobrze wychowanych*. Diable mało na 20 milionów ludności!

Księgi francuzkie czytając, najdostateczniej rozumiem, o co rzecz idzie, ale płynnie parlować nie umiem; zostając więc w wątpliwości co do mojego wychowania, — oddając się na sąd polubowny — zyskałbym może stopień *miernego wychowania*; gdyby się więc komu ze s. ółczesnych lub z potomnych przywidziało kreslić mój życiorys, winienby napisać: „*Au. Wi., autor Ramot i Ramotek, chirurg filozofii, krzyża naturalnego kawaler, był miernego wychowania.*” Aby takiego epitetu uniknąć, dzisiaj jeszcze, chociaż mi już 44 lat minęło, bezzwłocznie kupię *Rozmowy* pani *Coguen* i przyjmę sobie rodowitego Francuza za lokaja, aby się dobrze we francuzkiej *konwersacyi* wyćwiczyć, bo chcę koniecznie posiadać ów nieodzowny warunek do *dobrego wychowania*, a ztąd krom doczesnych korzyści i po śmierci piękniejszy życiorys uzyskam.

O DOROBKOWICZACH.

O DOROBKOWICZACH.

Dorobkowiczami nazywamy ludzi, którzy z biédnego położenia przez pracę lub różnorodne zabiegi przyszli do stanu zamożności. O tych to ludziach arystokracja mówi z najjawniejszym lekceważeniem, z urąganiem i pogardą. Z arystokracją powtarza różne przeciw dorobkowiczom pamflety i klasa średnia, a z klasą średnią owczym pędem i klasa niższa językami swemi dorobkowiczów nicuje. Winni temu nierzadko i sami dorobkowicze przez niezgrabne a śmieszne małpowanie arystokracji; lecz zdarza się też dosyć często, że dorobkowiec zachowuje się w zapracowaném szczęściu swoim jak najprzywocić, nie ciśnie się do arystokracji, używa swój zamożności skromnie, i dla kraju i ludzkości pożytecznie; pomimo tego nie uniknie urągania, lekceważenia, obmowy lub nawet mściwej nienawiści.

Ogólna przyczyna wstrętu, którym arystokracja dorobkowicza obarcza, spoczywa w tej myśli: „Przez swój majątek do nas się wciśnie,

uczyni to bez opowiedzy, bez zezwolenia naszego; tém koleżeństwem posmoli kastę naszą, a jego dzieci może nawet zabiorą honorowe lub zyskowne miejsce dzieciom naszym; — że téż to nie ina prawa, ograniczającego wzrost dorobkowiczów.“ — Klasa średnia ujada przeciw dorobkowiczom przez zazdrość; klasa niższa przez głupotę. To są ogólne, odrębnie moje spostrzeżenia.

Dla czego zaś ludzie poświęcający się piśmiennictwu, roszcujący sobie prawo do dyplomu na świeczników społeczeństwa ludzkiego tak u nas często ciskają wyrazy szyderstwa i obelgi przeciw dorobkowiczom? radbym się objaśnić. Jest-że to poziomość pojęć, albo brak zastanowienia się, brak badania, brak rozumu?.... Któraż rodzina wylazła z arki Noego z dostojenstwami, z herbami, bogactwami?.... Gdzież ten kodeks, w którym jest oznaczony przeciąg czasu dostateczny na starcie mniemaną plamy dorobkowiczów?.... Gdzież jest w religii lub filozofii pogarda dla dorobkowiczów?....

Mojém zdaniem należy dorobkowiczów dzielić na dwie klasy: na klasę, która przez oszustwo lub zdzierstwo zyskała majątek, i na klasę, która przez sprawiedliwą pracę, przez uczciwy przemysł przyszła do zamożności; pierwszą klasą pogardzajmy jako oszustami a nie jako dorobkowiczami; drugą klasę szanujmy i na wzór dzieciom naszym wystawiajmy. Do-

robkowicz ze sprawiedliwej pracy, z uczciwego przemysłu, to czcigodny, pożyteczny obywatel kraju. Spadkobierca zaś bogactwa, który trwoni krajowy majątek po hotelach, teatrach i salonach zagranicznych, który krwawy pot pocziwego ludu stawia na karty gier hazardowych, lub rozrzuca nierządnicom, nabywaniem zbytowych towarów z francuzkich, niemieckich lub angielskich rękodzielni ubogi nasz kraj uboży: to truteń pomiędzy pszczołami, to rak, toczący materyalną a więc i polityczną pomyślność swego narodu, to wrzód społeczeństwa, bez względu czy jest lub nie jest merynosem, elektem, karmazynem, vollblutem, dziedzicem zbytowego, marnotrawnego życia.

Poczeiwi dorobkowicze! Chirurg filozofii publiczną oddaje wam cześć; — na gadaninę bezrozumnej tłuszczy nie zważajcie, pomnając, że większa część rodu człeczego na to tylko gębie jeść daje, aby gadała. A wy, koledzy-literaci! ocknijcie się z nierozważnego a i w najnowszych czasach ciągle powtarzanego błędu bezwarunkowej napaści na dorobkowiczów, przez którą to nieogłędną napaść mimowiednie zaprzeczacie prawdziwości czystych zasad waszych w jedném a témże samém dziele objawianych. Pomnijcie! że i wy jesteście dorobkowiczami sławy i publicznego szacunku! dorobkowiczami w sumienném spełnianiu pięknego a najzaszczytniejszego powołania, dorobkowiczami cnoty i poświęcania się!

PRZEDŚLUBNE PRZYGODY

JULIANA BYCZYKOWSKIEGO,

młodzieńca pełnego nadziei bogatego ożenku.

PRZEDŚLUBNE PRZYGODY JULIANA BYCZYKOWSKIEGO,

młodzieńca pełnego nadziei bogatego ożenku.

*Komedia w Ramotce uwieczona, dla powszechnego
użytku co do słowa wiernie spisana*

przez Au. Wł. Ch. fil. k. k. n.

Bardzo szczupłą jest u nas liczba takich obywateli wiejskich, którzy naukowo znamieniem ukształceniem swoich dzieci na powszechną wdzięczność zasługują. — Majątek i specjalna nauka żyją u nas w otwartej i największej nieprzyjaźni. Po za szkołami gimnazyalnemi, które opuszczają zwykle bez ostatniego egzaminu, (bo po cóż dla majątnego chłopca egzamen?) dla tak nazwanych synów obywatelskich lotna, — mówię wyraźnie lotna — podróż do krajów niemieckich, do Włoch i do Paryża jest uzupełnieniem naukowym, a jeżeli który prócz zwiedzenia teatrów, prócz powierzchownego oglądania osobliwości, był jeszcze przez rok jeden zapisany na prelekye jakiego filozofa, rodzic, krewieństwo i całe sąsiedztwo, — dobrze, że nie kraj cały — uważa

takiego młodzieńca za istotę najzupełniej ukończonych nauk, i taka téż istota za powrotem do kraju dmie wszystkim pod nos w sposób najnieznośniejszy, a dla salonów staje się ozdobą i bożyszczem kobiet; — dla kraju jest niemal zawsze bezużyteczną, a przy chęci wyniesienia się nader szkodliwą *kreaturą*.

Właściciele dóbr ziemskich mniejszego pomiaru inaczej znowu dzieci swoje kierują. Jeżeli synal nie jest przeznaczonym na urzędnika, w takim razie z małemi wyjątkami odbiera się co najwyżej z klasy 6ej, zawozi się na wieś i posyła się na wszystkie tańczące zabawy z napomnieniem, aby sobie bogatą — koniecznie bogatą — ustrzelił panienkę, gdyż o ubogiej ani ojciec ani matka słyszyć nie chcą.*) Tego rzędu młodzież gdybyś chciał zobaczyć w świętnych zebraniach, bądź na jarmarku w Łęcznie, w Łowiczu, w Skaryszewie, we Włodawie, w Jędrzejowie i w Ciechanowcu. Panie dobrodzieju! to las dębiastych, wąsiastych, rumianych chłopaków szlacheckich; aż się serce śmieje na widok zdrowia i fizycznej dzielności! Tylko przez miłosierdzie Boskie nie kompromituj jarmarcznego obywatelstwa niedorzecznem zapytaniem

*) () ile w dziedzinie moralności szpetną jest rzeczą ubiegać się za majątkiem przy zawieraniu najdroższych serca stósunków, osobną napisałem rozprawę i ogłoszę ją drukiem w osobnym zbiorze: „O sprośnościach serca ludzkiego.”

o stanie literatury krajowej, ani téż nie bądź głupim nad głupimi i nie żądaj od żadnego z nich objaśnienia w jakiegokolwiek nauce specjalnej, boby na ciebie wytrzeszczono oczy jak na półgłówka i dziwneby o tobie rozeszły się wieści. Oto kropnij węgrzyna jedną i drugą lampę, — umizgaj się do Niemek przy arfie skrzeczących, — pociągnij lanca, załóż bancek a będziesz chwat, będziesz swój pomiędzy swoimi. O tych jarmarkach, jeżeli Bóg nadal zdrowia użyczy, napisze się osobna Ramotka; — obecnie zamierzyłem opowiedzieć zalotne przygody pana Juliana Byczykowskiego i tak rzecz rozpoczynam.

Kleofas Byczykowski, dziedzic obszerniejszej ale najnędzniej zagospodarowanej wioski, miał pięciu synów; od lat kilku bezczynnie w domu chował i dumał, aby swoje męzkie potomstwo bogato ożenić.

Żaden z młodych Byczykowskich nie był kaleką, wszyscy zdrowo wychowani i do tego przystojni; lecz najwięcej obywatelskiej posiadał *prezencji* pan Julian, drugi z kolei, główna rodziców nadzieja i najmiłsza matki pociecha, gdyż nie tylko że był bardzo urodny, ale nadto on jeden z braci swoich mówił po francuzku i umiał wiersze robić, ztąd nazywano go w sąsiedztwie salonowym młodzieńcem.

Ponieważ pan Julian jest bohaterem mojej Ramotki, poczuwam się przeto do obow'ązku

względem płci pięknej skreślić obraz pana Juliana. Wzrost więcej niż średni ale nie tyczkowy, w staniku wcięty, w barkach szeroki, nie otyły ale bynajmniej nie chudy, włos czarny, brwi i rzęsa gęste, oko pełne fizycznego życia, zęby zdrowe, usta świeże, czoło wysokie, wąs śmiały, nos odznaczający się regularnością rysunku; — jedną tylko miał małą wadę, że mu uszy nieco za wiele odstawały od głowy, ale że nosił włosy długie, w loki starannie zawijane, więc też i nie bardzo było widać.

Wybiła godzina pierwsza z południa; dzień był pogodny i jasny a jednakże w pokoikach oficyny, którą pięciu Byczykowskich zamieszkiwało, panowała nadzwyczajna ciemność, przez dym fajeczny, jak zwykle, najstaranniej utrzymywana. Na łózkach leżeli na wpół ubrani Ignacy i Zdzisław, przed kominkiem siedział Marcin i Adolf, a przy oknie, w zamyśleniu patrzając na koszlawiące się wrony, stał Julian.

ZDZISŁAW.

Jutro będzie ponowa niezawodna; puścimy psy na rządowe lasy, a my staniemy od Zajadał, ręczę ci *słowem honoru*, że do sarn strzelać będziemy.

IGNACY.

Tylko żeby nam psów nie złapali.

ZDZISŁAW.

Złapią, to wydadzą; ja na jarmarku zapraszając podleśnego na ponczyk, wielką z nim przyjaźń zawarłem.

IGNACY.

To wszystko było-by dobrze, ale Grzmiłasa kuleje.

ZDZISŁAW.

On już niebardzo napada; zresztą obejdzie się i bez Grzmiłasa, przecież są jeszcze dwa stare i trzy młode.

IGNACY.

Ja ci daję *słowo honoru*, że Grzmiłasa najlepszy.

ZDZISŁAW.

Bo nie słyszałeś młodych; jak wczoraj zapuścilem w Zamojskiego knieję, *słowo honoru* grały jak na organkach.

IGNACY.

Diabli nadali tę delegacyą, żem wczoraj nie mógł polować.

MARCIN DO ADOLFA (przy kominku).

Wystaw sobie, przez trzy talie ani jednej karty nie mogliśmy mu trafić!

ADOLF.

To wam pewnie lisa ułożył.

MARCIN.

Ale gdzie tam; ja sam mieszałem mu karty, tylko już miał takie szalone szczęście.

ADOLF.

I ty zgrałeś się do grosza?

MARCIN.

Naturalnie że do grosza, przecież już w sztosą byłem przegrany.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie pana Kleofasa, ojca młodzieńców, wraz z żydem Eliaaszem Boruch, kupcem z pobliskiego miasteczka. — Pospieszili synowie do pocałowania ręki ukochanego rodzica, przy czém na Eliasza Borucha cierpkie rzucili spojrzenie.

KLEOFAS (Ojciec)

Pięć godzin snu używać, najzdrowiej każdemu, Tak wieku podeszłego, jako też młodemu, Sześć godzin ten, co kupczy, niech sobie spoczywa, Siedm godzin niech bogacz wygody używa, Ośm godzin niechaj śpi niedbały. Ospaluch, gnuśny, piecuch niechaj śpi dzień cały.

Widzę, że do ostatniej kategorii należeć chcecie; godzina pierwsza a wy się jeszcze wczasujecie; — przecież stare niesie przysłowie:

„Kto rano wstaje,
Temu Pan Bóg daje.“

JULIAN.

Kochany papo! ja już od godziny siódmej czytałem.

KLEOFAS.

Ty bo też zawsze tylko z temi książkami masz do czynienia. — Ale jest tu inna materya; pan Boruch przyjechał i podał mi wasze rewersa, pomiędzy którymi twoich najwięcej, bo na 4000 złp. wynoszą. Cóż, czyście powaryowali? Czy sądzicie, że ja studnią z pieniędzmi mam w domu, albo w kuźni złoto i srebro fabrykuję? Zapłaciłem na ś. Jan za was pięciu przeszło 7000 złp. Sprawilem dla twoich ludzi nową liberyą, jak już sam chciałeś; kupilem i koczyk i dywany i dałem ci 1200 złp. na garderobę od Żygardłowicza w Warszawie, a tu jeszcze przynoszą mi wasze rewersa! Chyba chcecie, abym z matką na starość po zebranych chodził chlebie. A waćpan także, panie Boruch, dla czego do trzysta piorunów pożyczasz, kiedy wyraźnie powiedziałem, że ani grosza nie zapłacę.

BORUCH.

Niech tylko jaśnie wielmożny pan żartów nie robi! Takich ślicznych mając paniców i za-

płacić do roku kilkanaście tysięcy, czy to wielga rzecz! Jaśnie wielmożnemu panu w całej okolicy zazdroszczą takich zięci, — a jak oni się wszyscy będą ożenić i każdy przywiezie do domu po kilka kroć sto tysięcy, czy także pan będzie narzekał?...

KLEOFAS (uśmiechając się).

Jeszcze to za górami są te krocie a teraz płac i płac, chyba przyjdzie wioskę sprzedać i na bruku gdzie osiąść; czy wtenczas da mi pan Boruch sto złp. na życie?

BORUCH.

Z przeproszeniem jaśnie pana, z pańskie dóbr mierzwe na podwórzu więcej warte jak moje cała chudoba.

KLEOFAS.

Tak się to zdaje panu Boruchowi, ale w krytycznych czasach opłacać podatki i oficyalistów, dom i pięciu chłopców utrzymać, to nie żadne żarty; a przecież są jeszcze dwie córki, — wprawdzie jedna bawi u ciotki, ale i dla niej nie obejdzie się bez jakiego sprawunka; — od młodszej zaś trzeba płacić na pensyi w Warszawie, a Pan Boruch wie, że w Warszawie to wszystko drogo kosztuje.

BORUCH.

Z łaski pana Boga pszenice też tego roku u jaśnie wielmożnego pana niezgorsze.

KLEOFAS.

Przebierze się i pszenicy; a toć że już pan Boruch 300 korcy zapłacił.

BORUCH.

Nie nie szkodzi, ja i resztę będę zapłacił.

KLEOFAS.

Jeżeli za gotówkę to i owszem.

BORUCH.

Ja dałem pańskim synom gotówkę.

KLEOFAS.

To asan od nich odbierz gotówkę i mnie gotówkę zapłać.

BORUCH.

Ny! niech młodzi panowie zapłacą.

Pan Kleofas, dalszych rozpraw unikając, natulił futrzanej czapeczki na głowę, z oficyny wyszedł, wsiadł na koń i pojechał na pobliską granicę Prus, zkąd mu 20 kuf okowity przyszwarcować miano.

BORUCH.

Ny! panicowie, co to będzie?...

MARCIN.

To będzie, że Boruch pożycz mi dzisiaj złotych dwieście.

BORUCH.

Gikste! żeby Boruch po lesie rozbijał, jeszczeby nie nastarczył dla panów Byczykowskich. (*Siada na kanapce i poprawia krymki na głowie.*) Ny! panie Julianie! gdzie się podziało słowo honoru?... już dawno święty Michał pszejechał; z łaski Boże już i wszyscy święci pszejechali, i święty Marcin na swojego koniu pszejechał... ny?... mnie trzeba dzisiejszego dnia koniecznie tego długu oddać, bo ja tego pieniędzy porzyczył od siostry mojego szwagra, która będzie na przyszły tydzień zrobić wesele swojej najmłodszej córki. — Pan Adolf się szmieje, to bardzo nieładnie do żydowskiej niewczyny umizgać się.

MARCIN.

Mój Boruchu, myśmy myśleli, że się nasz brat z Esterką ożeni, bo tak ładne oczy do siebie robili.

BORUCH.

Już teraz nie będą robić, bo ona idzie za mąż za syna naszego rabina do Pinczowa.

ZDZISŁAW.

To dla Adolfa będzie trochę za daleko odwiedzać panią rabinową.

BORUCH.

Ny! niech panowie takiego głupich żartów nie robią, — lepiej skończyć swoich ze mną interesów, bo ja sprawiedliwie bardzo pilno potrzebuję miec moich pieniądze i ani jednego dzień dłużej czekać nie mogę; ja pszecie nie z samemi panów Byczykowskich handluję.

MARCIN (*patrzając przez okno na dziedziniec*).

Ignasiu! idzie posłaniec z listem, to zapewne od Bolesia.

IGNACY.

Nie, to jest posłaniec od państwa Radkowskich, proszą nas na niedzielę.

MARCIN.

Załóż się, że od Bolesia.

IGNACY.

Załóż się, że to Radkowsky proszą nas na obiad.

Gdy Marcin z Ignacym robili zakład, Julian najgrzeczniej Borucha do przyległego poprosił pokoiku i bardzo długą miał z nim sam na sam rozmowę. Jaką zawarli ugodę, jaki ze sobą zrobili *dorachunek*, ile Boruch przypożyczył jeszcze, ile Julian dopisał na rewersie i na kiedy nowy termin ustanowiono, o tém czytelników na teraz powiadomić nie mogę; to tylko wiem, że Boruch w największej zgodzie pożegnał

się z braćmi Byczykowskimi i że pan Julian w godzinę po bytności Borucha czworokonnym koczkiem na kilka tygodni z domu wyjechał.

II.

W jednym z odległych od Warszawy powiatów żył na małej dzierżawie poczciwy szlachcic, Stanisław Paleciński, i miał córeczkę Celinę, jedyną jego na ziemi pociechę, śliczności dziewczątko. — To wszystko, co może powierzchowność kobiety piękną uczynić, połączyło się w ośmnastoletniej Celinie: cała wiotka i w miarę wysoka postać teńcza tym niewysłownym wyrazem, który serca nasze w nagły, czarujący sposób nęci i do nieodgadnionej i niezmienniej życzliwości i opieki nakłania; — płeć biała i przezrocza, przez którą modre żyłki szybko krążącej krwi widnemi były, i cudownie utoczona drobna rączka, od puchu delikatniejsza, do całunków stworzona, z podłużnemi paznokietkami, po których zdawało się, że malarz artysta naumyślnie różowo-białe porozrzucił plamki; — nóżka wązka i lekka; — barki śnieżne; — szyja łabędzia; najzdrowsze z słoniówiej kości ząbki; usteczka świeże, w których anielska słodycz wieczne obrała mieszkanie; — nosek grecki; — czoło jasne i pogodne, w bogatych warkoczach włos gładki i wilgotny. — Lecz

wszystko na raz niknęło przed jednem ócz spojrzaniem. Oczy Celiny były na wskrós przenikającą, cudowną, tej czarującą pięknosć, która jest po za orzeczeniem mowy naszej. A miała Celinka jeszcze jeden wdzięk nieporównany: głos bezpośrednio z nieba uroniony, głos anielskiej lubości, głos, co każdą zgłoszką krępował twoje serce, głos, który pragnąłbyś słyszyć przez wszystkie dni twojego żywota. A rozumek Celinki! aj! aj! nauczne, mądre, łagodne, przenikliwe, odgadujące, dowcipne, liściowe, jednem słowem: Cesia doskonałość!... i gdybyś przez całą wieczność twój mózg i twoją estetykę suszył i mordował, żadnej wady w Celince znaleźć nie mogłeś; Celinka była urzeczywistnieniem ideału, przez najpolotniejszy geniusz stworzonego. — A jednakże nikt się o rączkę Celinki nie starał, bo pan Stanisław żadnego z Celiną nie mógł dać posagu.

Pewnego razu przyjeżdża do pana Palecińskiego zacny ksiądz proboszcz i przywozi niemiecką gazetę, w której było zamieszczonem, że w Gdańsku umarł bezpotomnie Norbert Paleciński, zostawiając w gotowiźnie 40,000 czerwonych złotych i różne kosztowności. A że pan Stanisław miał rodzzonego braciszka, któremu było na imię Norbert i który właśnie trudnił się handlem drzewa do Gdańska a żył zaś w kawalerskim stanie, więc tedy pan Stanisław nie wątpił, że należy mu łzę nad śmiercią Nor-

berta uronić a następnie z rodowodem, przez właściwe władze zaświadczonym, do bałtyckiego grodu wyjechać. I tak się też stało: pan Stanisław popłakał nad śmiercią brata Norberta, wyjął potrzebne metryki urodzenia, wynalazł świadków, którzy zaprzysięgli, że Józef Barnaba Paleta Paleciński, młóć Palety trzynastój części dziedzic, dwóch tylko miał synów, Norberta i Stanisława; — uzyskał od pruskiego Konsula poświadczenie co do tożsamości sądowych podpisów, wyjechał taradajką, we dwa koniki zaprzęzoną, bawił w Gdańsku kilka tygodni, i jakoś przy końcu miesiąca października przywiózł przeszło 700,000 złp. w listach zastawnych z kuponami ubiegłej raty czerwcowej.

III.

Julian Byczykowski, w tajemnicy przed braćmi przez Borucha o bardzo bogatej pannie Palecińskiej zawiadomiony, wraz z Boruchem zjechał do miasteczka Kalwaryi i stanął w zajezdnym domu Lejby i tamże Byczykowski, Boruch i Lejba, wskutek kilkogodzinnej narady, zrobili dobrowolną, rozmyślną, w trzech exemplarzach spisana, treści następującej, ugodę.

Lejba obiecał, jako w tej okolicy znajomy, ułatwić przystęp Byczykowskiego w dom pana Palecińskiego, a następnie dobre wieści o wzorowym gospodarstwie i o miłości pana Byczy-

kowskiego do panny Celiny zawozić i utrzymywać; Boruch przyrzekł pożyczyć tyle pieniędzy, ile pan Byczykowski potrzebować będzie na konkurencyą; — pan Byczykowski zaś zobowiązał się *pod słowem honoru i uczciwości*, że w pierwszy tydzień po ślubie zwróci pożyczone u Borucha pieniądze wraz z procentem po 8 od sta na miesiąc, — nadto tytułem wdzięczności wypłaci Boruchowi i Lejbie po 500 dukatów w złocie. Przyjęto i podpisano dnia 20 listopada 1844 r.

Dzień był posępny, na dworze wietrzno i mroźno, śnieg chciał padać a nie mógł; Paleciński siedział przy biurku i odpisywał na listy sąsiadów, o pożyczkę pieniędzy proszących; Celina odebrane z Królewca towary na polski łożek przemierzała po raz drugi i ze sprowadzoną z miasta Suwałk szwaczką właśnie walną miała naradę, czy rękawki mają być marszczone czy gładkie, kiedy przed dworzec zjechał najbliższy sąsiad a dawny pana Stanisława broni towarzyszy, pan Gawęcki, wraz z tym samym księdzem proboszczem, co to pierwszy przywiózł był gazetę niemiecką, o śmierci śp. Norberta donoszącą.

Pan Stanisław na widok dobrych przyjaciół pisanie na czas późniejszy odłożył; Celinka,

na marszczone rękawki przystając, odprawiła pannę szwaczkę na drugą stronę dworca, i nastąpiło z obu stron szczere i radosne przywitanie.

GAWĘCKI.

A wiesz też, kochany sąsiedzie, co nas dzisiaj z księdzem proboszczem do twojego domu sprowadza?

PALECIŃSKI.

Dobre serce i stara przyjaźń.

GAWĘCKI.

Pod względem ogólnym rzecz wiadoma; ale zgadnij szczegół.

PALECIŃSKI.

Przecież do mojej Celinki nie przyjechałeś w zaloty?...

GAWĘCKI.

Nie, panie bracie, już nie dla mnie kwitną róże a jeszcze tak piękne, jak twoja Celinka; — dosyć dla mnie zaszczytu, że jest jej ojcem chrzestnym.

PROBOSZCZ.

Jednakże pan Stanisław zgadł cokolwiek, albowiem przyjechalśmy w interesie panny Celiny.

CELINA (mocno zarumieniona).

W moim interesie?...

GAWĘCKI.

Uprzedzasz, księżu proboszczu! oto przyjechalśmy ułożyć komedię, w której nasza Celinka ważną ma odgrywać rolę...

PALECIŃSKI.

Celinka ma grać komedię? na jakim-że to teatrze?...

PROBOSZCZ.

Panie dobrodzieju, świat cały jest teatrem; ale tym razem scena zawartą będzie w domu rodzicielskim pana Stanisława Palecińskiego w Jasnym Dębie.

PALECIŃSKI.

Nie rozumiem ani słowa. Celinko, każ no przynieść butelkę wina; może przy kieliszku będą panowie zrozumiałej mówili.

GAWĘCKI.

Poczekajmy na butelkę, bo niezawodna rzecz, że przy winie *relacya* jest wyraźniejszą.

Celinka, spełniwszy rozkaz ojca, niebawem powróciła do pokoju; przyniesiono butelkę wina; pan Gawęcki, odwilżywszy usta, tak rzecz rozpoczął.

— Wiadomo ci, kolego, że jestem w handlowych stósunkach z Lejbą Nestlem, co to ma dom zajezdny w Kalwaryi; owóz tedy tenże sam Lejba przyjechał do mnie dzisiaj rano i, uczynwszy ze mną obrachunek, zażądał wypłaty, dodając, że gdybym mu chciał być w pewnym interesie pomocnym, nie tylko będzie cierpliwym aż do Ś. Jana, ale nadto wystara mi się jeszcze na całoroczny kredyt o 300 owiec wysoko poprawnych, jak mu o tém na jarmarku w Łomży mówiłem. Pytam się, coby to był za interes, w którym mu mam być pomocnym, aż tu powiada mi żyd pod wielkim sekretem, że jego szwagier, jakiś Boruch z Międzyrzecza, wie o jakimś paniczu, Julianie Byczykowskim, i że on Lejba wraz z Boruchem pragną, aby ten pan Byczykowski (mający być bardzo piękny i bardzo bogaty) ożenił się z córką twoją Celiną. Otóż tedy odgadując od razu, że wieść o wielkim majątku, jaki po bracie odziedziczyłeś, stała się przyczyną zamiarów pana Byczykowskiego, umyśliłem taką odegrać komedyjkę. — Jutro przyjadę do was z tym kawalerem, przez żydów rekomendowanym; przyjmiesz go, panie Stanisławie, jak najgrzeczniej, ale mojego siostrzeńca Wacława, przebranego za pannę, przedstawimy mu jako twoją córkę, a Cesię będziemy nazywali sierotą, córką po byłym oficerze. Jeżeli kawaler będzie smałił cholewki do Wacia, ubawimy się i uśmiejemy serdecznie;

gdyby zaś zwrócił affekt swój do sieroty, wywiedziawszy się, coto za jeden ten pan Byczykowski, pomyślimy, co dalej uczynić.

Zdrażał się pan Stanisław z początku; ale gdy Celinka poczęła tatkę w rączki całować, zamiar pana Gawęckiego przyjęty został i ułożono wszystkie szczegóły ostrożności domowej, aby się ani gość ani żydzi o przemianie osób nie dowiedzieli lub nie domyślili.

Nazajutrz rano przybył pan Wacław, siostrzeniec Gawęckiego. Był to mocno ospowaty blondynek, szczupły, niski, ale pełen życia; muięj szczęśliwą zaś powierzchowność nagradzało wyższe, naukowe ukształcenie.

Do godziny drugiej z południa zeszło na przymierzaniu strojnniejszej sukni panny garderobny, którą to suknię potrzeba było w ramionach i w staniku rozszerzyć, w spódnicy przydłużyć; — na ubieraniu głowy w szynion i loki, z sąsiedztwa od pani Bryniewicz pożyczone; — na przypinaniu wstążek, strój głowy uzupełniających; — na posyłce do Suwałk po trzewik i mitenki, i dopiero o 4ej Wacio ukończył swoje przebranie. Pan Paleciński, uśmiechając się, powtarzał: Nie dziwię się młodym, ale że mnie kapitan do tej prawdziwej komedyi namówił, uwierzyć nie mogę i nie wiem, jak ja tamtemu jakiemuś panu Byczykowskiemu w oczy zajrzeć potrafię, — chyba to tego żartu zaniechać potrzeba.

— Tatko! tatko! — wołała z całego serca ucieszona Celinka, ze wszystkich córek na świecie będę najposłuszniesz: racz tylko, tatko, nie psuć nam tak wyborniej komedyi. Wszakże to pierwszy raz od śmierci mamy, że będziemy mieli w domu tyle wesołą zabawę.

Temi wyrazy Celinka wszystkie skrupuły ojca rozbroiła, jakoż ostatecznie na odegranie komedyi zezwolił.

„Jadą! jadą!“ zawołał Wacio przy oknie, i rzeczywiście niezadługo zajechali przededwór spodziewani goście, a w tęż chwilę pan Gawęcki wprowadził do pokoju bardzo przystojnego młodzieńca, znanego czytelnikom Juliana Byczykowskiego.

Przywitanie się sąsiadów; uprzejme zapytania, z których Byczykowskich pan Julian pochodzi, w której mieszka okolicy i t. p.; nawzajem oświadczenia pana Juliana, że wielce jest wdzięcznym nader miłej i szczęśliwej sposobności poznania tak godnych obywateli i t. d. i t. d. trwały chwil kilka; — a gdy pan Paleciński zwrócił mowę do pana Gawęckiego, pan Julian przysunął się do Wacia i z najstaranniejszym umileniem zapytał.

— W tak odległej od Warszawy stronie pani zapewne w literaturze i w muzyce wielką znajdujesz rozrywkę?

— W muzyce bardzo mało gustuję i nawet niechętnie słyszę, gdy śpiewa panna Hortensya,

którą mój ojciec wziął na opiekę, lub gdy gra na fortepianie, — lecz i ja czasem zabrząkam; a co się tyczy literatury, nie znajduję w dzisiejszych utworach nie takiego, co by mnie zająć zdołało, dla tego czytam wyłącznie klasyków greckich i łacińskich; nadto poświęcam się matematyce, a obecnie zajmuje mnie rachunek całkoróżniczkowy (*calculus integralis et differentialis*) i miło mi, że się z panem poznaję, gdyż w naszym sąsiedztwie nikt mnie objaśnić nie potrafił, czyli potęgą pierwiastków...

— Przepraszam, że w tym przedmiocie objaśnić pani nie mogę, albowiem nigdy nie poświęcałem się matematyce.

— To może mnie pan raczy objaśnić w pewnych wątpliwościach z nauk przyrodzonych, to jest, czy skład powietrza atmosferycznego jest wszędzie jednakowy?... i dla czego cieplej w nocy jest na dworze, gdy niebo jest pochmurne?...

— Z zarumienieniem wyznać muszę, że nie zajmowałem się naukami przyrodzonymi.

— To pan zapewne historyk?

— Tak, z historyi więcej.

— Raczej mnie pan objaśnić, jakie są główne szczepy narodów wschodnich, które obecnie tak wysoką na siebie zwróciły uwagę wszystkich polityków naszych?

— Historyi wschodnich narodów nie zgłębiałem badawczo; moja uwaga zwróconą zawsze

była na ludy ucywilizowane, na literaturę piękną, i właśnie piękna literatura jest tym warsztatem, na którym kształcę mój umysł i duszę hartuję.

— I któryż to oddział pięknej literatury obrałeś pan do hartowania swój duszy?...

— Jaki oddział?...

— Przyznasz pan bezwątpienia, że piękna literatura ma kilka oddziałów.

— O tak, ja obrałem oddział powieści i poezyi.

— Na powieściach, jakkolwiek są dzisiaj w bardzo rozległych granicach, nie sędzę jednakże, aby można duszę zahartować; a co do poezyi, zapytam jeszcze, czy pan zamiłowałeś podmiotową czy przedmiotową?...

— E... e... i... ja obrałem sobie rodzaj poezyi tkliwej, która do serca naszego najwięcej przemawia, która jest objawem uczuć naszych, a swoją już formą zachwyca i zniewala.

— Pan daleko ztąd mieszkasz?...

— Dwadzieścia mil przeszło...

— Często pan bywasz w Warszawie?...

— O! bardzo często.

— Pan jesteś zwolennikiem teatru?...

— O bardzo! bardzo!...

— Długo pan w naszych stronach zabawisz?...

— Zamierzałem już jutro te strony opu-

ścić, — wszakżeż od chwili szczęścia poznania pani pragnę jak najdłużej pozostać...

— Jak widzę, pan jesteś improwizatorem, — wyrzekł Wacio z uprzejmością i umilkł niby to z dziewiczego uczucia; po chwili zaś zapytał:

— Czyli nie raczyłbyś pan należeć z nami do odegrania komedyi?

— Komedyi?... i owszem... jakiej komedyi?...

— Oryginalnej, — pomysłu pana Gawęckiego.

— Pan Gawęcki autorem?

GAWĘCKI.

A cóż pan sądzisz, że tylko w Mazowieckiem wszyscy autorowie zamieszkali?

JULIAN.

Bynajmniej tak nie sędzę.

WACIO.

Więc pan przyrzekasz?...

JULIAN.

Poczytam się za szczęśliwego, jeśli mnie pani swoim rozkazem zaszczycić raczysz.

WACIO.

A więc dobrze, — panu oddamy rolę kochanka, a ja z Hortensyą będziemy grały rolę rywalek.

JULIAN.

Z wdzięcznością przyjmuję tę rolę (*po cichu*) z tą prośbą, że pani będziesz szczęśliwą rywalką.

WACIO.

Hortensya już się téj roli nauczyła, dla mnie przypada rola nieszczęśliwój kochanki.

JULIAN (*po cichu*).

Ale po za komedią od pani tylko zależy przyjąć rolę panny Hortensyi.

WACIO.

Po za komedią role nasze z większą obieramy roz wagą.

JULIAN.

Przebacz, pani, wyrazom prośby nagłego wrażenia, wrażenia, któremu nie zawsze umiemy panować, co jednakże zdarza się tam tylko, gdzie do popełnienia błędu tyle się nie zwykłych przyczyn połączy.

WACIO.

Pana tłumaczenie jest tak pochlebne, że niszczy wszelką urażę.

JULIAN.

Oby w najrychlejszój przyszłości i życliwość zbudzić było zdolne.

Wacio, udając przyjemne pomieszczenie, usiadł do fortepianu i zagrał *sztajera*,*) którego się przez trzy lata podczas swojego w Niemczech pobytu nasłuchiwał dowoli.

HORTENSYA do BYCZYKOWSKIEGO.

Jakżeż pan znajdujesz tę muzykę panny Celiny pod względem myśli i pod względem wykonania.

JULIAN.

Myśl, idea jest germańska, a więc mieści w sobie pierwiastek wyższości, tutaj w dokładnem wykonaniu wdzięcznie objawiony. Skupując w roku zeszłym do dóbr moich inwentarz na Żuławach, zdaje mi się, że też samą melodią słyszałem pomiędzy ludem Teutonów.

PAN GAWĘCKI.

Proszę pana, ile też pan dobrodziej płać cięś za dojne krowy? ...

JULIAN.

Ja drogo kupiłem, gdyż starałem się o sam wybór i za sto krów po ocieleniu dałem 36,000 złotych.

*) Jest to bardzo powolny walec na 3 tem'a, po wszystkich knajpach niemieckich przez n'szego r'ędu rzemieślników z największóm upodobaniem tańczony, i jak Szwajcar na obcej ziemi usycha za powietrzem swoich gór rodzinnych, tak Niemiec na chlebowój w'odrówce tęskni za *sztajerem*, który mu wszystkie chwile młodzieńczego szczęścia do tkliwój przywodzi pamięci.

PAN PALECIŃSKI.

Czy wszystkie były po ocieleniu?...

JULIAN.

Mniej więcej wszystkie.

GAWĘCKI.

To pan dobr. trzymasz znaczną ilość inwentarza.

JULIAN.

Obecnie mam 150 krów dojnych, drugie tyle młodziży i 3000 owiec, z których $\frac{2}{3}$ części są już krwi zupełnie czystej, nie licząc jagniąt, z których połowę w tym mokrym roku utraciłem.

PALECIŃSKI.

Jakież wysiew pan dobr. masz na swoim majątku?

JULIAN.

Żyta wysiewam tylko 300 korcy, pszenicy 100, ale natomiast jęczmienia i owsa przeszło 900.

PALECIŃSKI.

Jakąż więc pan dobrodziej prowadzisz rotacyą?...

JULIAN.

Ja podług Thaera urządziłem moje gospodarstwo, płodozmian w 12 polach.

PALECIŃSKI.

Ileż pan tedy pól obsiewasz na zimę?

JULIAN.

Rozmaicie — to bardzo względnie, — zawsze się tylko staram, aby było wysiane 300 korcy żyta i 100 pszenicy, tę bowiem ilość przyjąłem za zasadę gospodarstwa postępowego.

GAWĘCKI.

Więc ja dla tego, że tylko 160 korcy wysiewam, nie jestem postępowym gospodarzem?...

JULIAN.

Tego bynajmniej nie twierdzę, ale ja trzymam się systemu Thaera i znajduję go dla mnie najdogodniejszym. Panom znany jest system Thaera?...

PALECIŃSKI.

O tyle, o ile Block o nim wspomina.

JULIAN.

A! Block jest także wyborny!

GAWĘCKI.

Pan czytałeś Blocka?

JULIAN.

Nie... nie czytałem, ale mój kuzyn, hrabia Tataroski, bardzo mi Blocka zachwalał, gdyż, będąc w Anglii, poznał się z nim osobiście.

PALECINSKI.

Ależ Block jest Szlżazakiem i nigdy w Anglii nie powstał.

JULIAN.

A to zapewne inny; bo ten Block, o którym mi mówił mój kuzyn, hrabia Tataroski, jest właścicielem dóbr ziemskich w samej Anglii, i jego majątek stanowi jakoby przedmieście Londynu, i właśnie pod ten czas, gdy mój kuzyn, hrabia Tataroski, zwiedzał jego gospodarstwo, pan Block skarżył mu się, że Londyńczykowie przy swoich wycieczkach świątecznych ogromne w zbożu robią mu szkody, i gdyby nie to, że podczas każdego święta sprzedaje do 60,000 kwart słodkiego mleka, co mu znaczny dochód przynosi, dawnoby był swój majątek zamienił na dobra księcia Wellingtona, usunione o mil kilkanaście w głąb kraju, na stronie zachodnio-północnej.

WACIO.

Czy pan także Anglią zwiedzałeś?

JULIAN.

W przejeździe.

HORTENSJA.

Dokąd?

JULIAN.

Do Nowego-Yorku, w r. 1826.

WACIO.

To pan bardzo młodo podróżowałeś?

JULIAN.

W dziesiątym roku mojego życia.

PALECINSKI.

Chyba z rodzicami?

JULIAN.

Z rodzonym bratem mojej matki, z hrabią Małogórskim.

WACIO.

Szkoda, że pan nie odbyłeś tej podróży w wieku późniejszym, byłbyś pan więczej skorzystał.

JULIAN.

O pani! ja pamiętam najdrobniejsze szczegóły naszej podróży, — przed moim wzrokiem ciągle się płaczą zielone niziny Walii, modre bałwany morza, białe szczyty Nowego Yorku, posępne Waszyngtona wieżycy, złote Nowego Orleanu brzegi, odwiecznych lasów dęby, sosny i brzozy...

GAWĘCKI.

Więc w Ameryce jest także brzezina?

JULIAN.

Nie wiele, ale trafia się zwłaszcza na północny zachód; lecz brzozy amerykańskie są od naszych nieco odmienne, liść więcej okrągły, a kora nie jest białą ale blado różowego koloru, — zapach cudowny i kwitnie przez trzy *) miesiące.

WACIO.

Jakżeż pan znalazł obyczaje Amerykanów?

JULIAN.

O bardzo grzeczni ludzie i nadzwyczaj sumienni, bo powiem pani przykład. — W jednym z miasteczek nad rzeką świętego Wawrzyńca mój wujaszek zostawił w hotelu pugilares, w którym się znajdowało podróżnej kasy przeszło 4000 funtów szterlingów. O niczem nie wiedząc, jedziemy sobie truchteczkiem . . .

GAWĘCKI.

Przepraszam, że przerywam — panowie swoim własnym jeździli ekwipażem?

JULIAN.

O! zawsze własnym.

*) Jestto improwizowane przez pana Juliana kłamstwo, albowiem brzozy w Ameryce niczem się od naszych nie różnią.

GAWĘCKI.

Więc to po-polsku z pościelą, z obrokiem.

JULIAN.

Powiem państwu później jedno zdarzenie *à propos* tego tłomoka . . . kiedy więc jedziemy tuż nad samą rzeką i podziwiamy na drugiej stronie swawolne skoki młodych tygrysów, słuchający nasz mówi, że nas ktoś goni; — oglądamy się, patrzymy, istotnie Amerykanin pędzi na siwym człapaku, co koń mógł wyskoczyć, i kiwa ręką, abyśmy się zatrzymali. Kazał wujaszek przystanąć, ciekawy byłem, czego chce ten konny posłaniec, — aliści pocziwy chłopiec dopędza nas, spienionego konia wstrzymuje i mówi do mojego wujaszka.

„Czy pan dobrodziej nie zapomniał pugilaresu . . .“

Mój wujaszek maca się po kieszeni, zbladł i słowa nie mógł wyrzec, aż tu pocziwy Amerykanin wyjmuje wielki zielony pugilares i oddaje go wujaszкови. I cóż państwo powiecie — nie mogliśmy go w żaden sposób nakłonić, aby przyjął kilka dukatów za fatygę; — odrzekłszy: „Amerykanin cudzych pieniędzy nie pragnie!“ — grzecznie się skłonił, spiął konia ostrogami i zniknął z naszych oczu.

WACIO.

Nie wie też pan nazwiska tego pocziwego Amerykanina? . . .

JULIAN.

Nie, pani! jakoś zapomniałem się spytać.

GAWĘCKI.

A cóż to pan przyobiecał nam powiedzieć
à propos tłumoka!

JULIAN.

To była scena nader rozczulająca. Wjeżdżamy do Waszyngtonu, — stary, osiwały rewizor przy rogatece odzywa się do nas po polsku: „Panowie jesteście zapewne moi rodacy, miarkuję to po tłumoku za powozem.“ Wuj mój rzucił mu się na szyję i kilka chwil wszyscy nie mogliśmy się od płaczu utulić. Przez sześć tygodni naszego pobytu w Waszyngtonie codziennie mój wujaszek starego rewizora na obiad do siebie zapraszał, i wyrobił u prezydenta Stanów Zjednoczonych, że mu pensyą w dwójnasób podwyższono.

GAWĘCKI.

To poznaliście się z prezydentem Zjednoczonych Stanów?

JULIAN.

Mieliśmy do niego listy rekomendacyjne.

HORTENSYA.

Czy wolno dowiedzieć się od kogo?

JULIAN.

Księżę Czetwertyński, wuj mego wujaszka, który z prezydentem jednocześnie na uniwersytet w Oxfordzie uczęszczał, dał nam listy do Anglii i do Ameryki.

Długo jeszcze pan Byczykowski kłamał bez litości i już była godzina 10 wieczorem, gdy Gawęcki oświadczył, że czas do domu powracać. — Hortensya i Wacio, serdecznie ucieszeni śmieszną bezczelnością młodzieńca, prosili go, aby jutro przyjechał. Juliś w mniemaniu, że swoją postawą i swoim opowiadaniem silnie zrobił wrażenie na umyśle i sercu posażnej panny Palecińskiej, z najgorętszym zapalem szorstką rękę Wacia ucałował, pannie Hortensyi obojętnie się uklonił, panu Palecińskiemu powtórzył zapewnienie, że szczęśliwym się mnieni z zaszczytu poznania czci najgodniejszego obywatela i z Gawęckim, pewny najpomyślniejszej przyszłości, — do Sękówki odjechał.

IV.

Ogień z mokrej dębiny syczał i sapał na kominku w dworcu olszyńskim; Kleofas Byczykowski, przechadzając się po pokoju, często zażywał tabaki, najoczywistszy dowód, że wielkie myśli w głowie swojej porządkował; — jakoż przystanąwszy przed swoją żoną, westchnął i tak się wygłosił.

— Chcę z jéjmością pomówić o rzeczy, która nas obojga zarówno dotyczy, bo, wypływając z obowiązków rodzicielskich, jest naszą spólną powinnością.

PANI KLEOFASOWA.

I cóż to jegomość powiedzieć zamierza?

KLEOFAS.

Wiadomo jéjmości, że mamy pięciu synów i dwie córki.

KLEOFASOWA

Gdyby Justysia nie umarła, byłyby trzy córki...

KLEOFAS.

Tylko jéjmość nie przerywaj i zechciej słuchać cierpliwie. Otóż mając siedmioro dorosłych dzieci, nie postanowiliśmy do'ąd żadnego; kiedy się więc trafia dla Juliana tak bogate ożenienie i od nas zależy, aby przyszło do skutku, winniśmy zrobić poświęcenie, jakiego ten chłopiec od nas wymaga.

KLEOFASOWA.

Nie dałeś mi przeczytać tego listu, nie wiem więc dobrze, co pisał Juliś, a z twego opowiadania nie mogłam być rozumną, jak on to chce i czego chce istotnie.

Kleofas, wyjmując list z kieszeni i siadając

naprzeciw swéj żony, założył na nos okulary i rzekł z powagą.

— Właśnie mam jéjmości cały ten list przeczytać. (*Wpatrując się w napis koperty.*) Śliczny ma charakter ten chłopiec, jakby sztychowane.

KLEOFASOWA.

Bogu dzięki, że chociaż jeden tak pięknie uformował sobie rękę. Ale tylko czytaj, co on w tym liście napisał.

Kleofas wyjął list z koperty i odczytał, co następuje:

Sękówka dnia 17 grudnia 1844 r.

Najukochańsi i najdrożsi dawcy życia mego!

Z listu ostatniego dowiedzieliście się, że ciągle bawię w domu pana Gawęckiego i że codziennie bywam w Jasnym Dębie u panny Celiney. Nie ma żadnej wątpliwości, że panna po śmierci starego będzie miała przeszło 1,000,000 Złp. majątku; — ile przy ślubie dostanie, nie mogłem się jeszcze dowiedzieć z pewnością, bo nie wypada mi pokazywać się interesownym. Wczoraj znowu Gawęcki z wielkiem mojem przeżeniem ponowił propozycyą, abym się żenił z panną Hortensyą, zapewniając, że pan Paleciński da jéj w dzień ślubu 50,000 Złp. gotowizną. Wprawdzie ta panna Hortensya jest nad-

zwyczaj piękna i ukształcona, alem ja nie głupi, abym miał dla jój piękności i ukształcenia rzekać się miliona posagu Celiny. Mnie się zdaje, że Gawęcki kroi na to, aby Celinę wyswatać za jakiegoś swojego siostrzeńca, który jest w Królewcu na akademii, a którego się tutaj w tych dniach spodziewają; dla tego więc ciągle mnie namawia do Hortensyi.

Dnia 19 grudnia. Wczoraj spodziewano się przyjazdu tego pana Wacława, o którym wyżej spominałem; — czas nagił, potrzeba było coś stanowczego uczynić; oświadczyłem się więc Celinie najwyraźniej, że ją kocham, że bez niej żyć nie mogę. Z początku udawała śmiech i wierzyć nie chciała; ale gdym ukląkł przed nią i najstraszliwszą złożyłem przysięgę, że albo moja być musi albo sobie życie odbiorę...

KLEOFASOWA.

Przez Boga żywego!... żeby zaś chłopiec głupstwa nie zrobił...

KLEOFAS.

Co się téż jójmości marzy po głowie! Zwyczajnie chłopiec umiał sobie poradzić; słuchaj jeno serce, co się dalej stało; — (*czyta*) albo sobie życie odbiorę. Te wyrazy wymówiłem z najwyższym uczuciem i wtenczas dopiero anielskie oblicze Celiny boski okrył szkarłat i jój ręce zawisły na mojej szyi i pierwsze na moich ustach złożyła całunki.

O najukochańsi i najdrożsi dawcy życia mojego! ta chwila stała się dla mnie wyrocznią szczęścia na całe życie.

Dziwną była zazdrość Celiny, gdy żądała, ażebym jój przysiągł, że nigdy do Hortensyi uczuć mych nie zwrócę; następnie oświadczyła mi, że przychyła się do mojej prośby i pozwoli się wykraść, gdyby jój ojciec naszego związku potwierdzić nie chciał.

O godzinie 12ej z północy.

Prosiłem, błagałem na klęczkach — na próżno. Odpowiedział mi, że córka jego za młoda. A więc umówiliśmy się z Celiną, że w trzecie święto Bożego Narodzenia, zaraz z wieczora, mam na nią czekać z powozem nad drogą żwirową, dokąd z wierną służącą przybędzie.

Najdrożsi i najukochańsi dawcy życia mojego! wybiła więc godzina, w której możecie mi dać dowód waszego przywiązania. Naprzód proszę was, abyście raczyli ustąpić dla Celiny swoich pokoi; powtóre, aby kochany papa nakłonił księdza proboszcza naszej parafii, iżby w dzień Nowego Roku, za naszym do Olszyna przybyciem, natychmiast ślubnym nas połączył węzłem. Potrzecie, abyście nas przyjęli odpowiednio majątkowi Celiny, to jest proszę najukochańszego papy, aby prosił całe sąsiedztwo, żeby

świat nie mówił, że potajemnie żonę zaślubił. Wypada przedewszystkiēm prosić najusiłniēj hrabiego Z***, hrabiego Ł*** i panią prezesową Trybunału 1ēj instancyi; bo że jeneralstwo nie odmówiā, tego pewny jestem: on mnie lubi i u niēj zawsze wielkie miałem łaski. — Aby uprzyjemnić Celinie pierwszy wstęp do domu mojego, pragnę, aby była muzyka i tańce. Gdyby papa chciał szczęście moje uzupełnić, prosiłbym papy, aby na bramie dziedzińca była cyfra z gorających lamp J. C. Jacek stolarz niechby zrobił taką cyfrę i druty w niēj umocnił; lamp olejnych dostarczy organista z Brzmiącēj Góry, ja mu już dobrze zapłacę. Do najukochańszēj mamy mam zaś tę jedną prośbę, aby mama kazała ubrać 12 dziewczyn wiejskich, któreby przy bramie, gdy wjeżdżać będziemy, sypały kwiaty na drogę, a jeżeliby się mogły nauczyć śpiewać, żeby wiersze zaśpiewały, które dzisiaj jeszcze skomponuję i do tego listu załączę. Najukochańsza mam! tylko żeby się nasz kucharz nie upił! Czy nie lepiējby wziąć kucharza od państwa Bosaczyńskich, — ja mu już zapłacę, jeżeli wystąpi z piękną wieczerzą, — bo że najdroższa mama niczego żałować nie będzie, pewny jestem. Gdyby najukochańszemu papie szło o wydatek, ja daję *słowo honoru*, że papie wszystko zwrócę, boć przecież dostanę za żonę z pewnością milion złotych, i jeszcze papie mogę pożyczyć na spłacenie pani Robakowskiēj, Żo-

ładkiewicza, Fabisia, Mordki i Borucha, a przecież, mając milion złotych, byłbym najniegodziwszym synem, gdybym najukochańszemu dawcom życia mojego w pomoc przyjść nie miał; a dla braci pomyślę o dzierzawkach, dla sióstr o posagu i będziemy wszyscy szczęśliwi, tylko, najukochański dawcy życia mojego, nie odmawiajcie moich prośb powyższych co do świętnego przyjęcia mojęj Celiny.

Święta miłości rodziców! odzywam się do ciebie sercem świętēj miłości syna i nogi najukochańszych i najdroższych dawców życia prośbami mojami krępiję. Teraz, nie mając nic wiēcēj do wyrażenia, raz jeszcze polecam się rodzicielskiemu sercu najdroższych i najukochańszych rodziców i jestem z jak najgłębszym uszanowaniem

*najdroższych i najukochańszych rodziców
najczulēj kochającym, najprzywiązanym,
najposłuszniejszym i najwdzięczniejszym
synem i najniższym sługą*

Julian Rozmian Byczykowski.

Kleofas, ukończywszy czytanie, otarł czułością zwilżone powieki i wyrzekł: już on to umie do serca przemówić i nie dziwię się, że go tak bogata dziewczyna pokochała od razu. Cóż ty na to wszystko powiesz, Jadwisiu?

KLEOFASOWA.

Zkąd tu wziąć kwiatów, żeby mu dziewczyny drogę usłały?

KLEOFAS.

E! o to mniejsza; gdyby przyszło posłać do Warszawy, to być musi; a wszakżeż można dostać kwiatów i w oranżeryi pan hrabiego Z***, tém więcej, że go się na ślub będzie prosić. Mnie najwięcej o to idzie, że mu się mamy ustępować z naszego pomieszkania, a najgorzej się wprowadzi, to go będzie i ciężko ztamtąd rugować. Bo co on pisze o tym milionie złotych — wiem, że Paleciński odebrał wielki spadek po bracie, dowiedziałem się z pewnością, że ma tylko jedno dziecko, wierzę, że ten cały majątek Julian odbierze, ale kiedy? . . . to pytanie i sęk czasu teraźniejszego, — bo jak się stary kozioł uprze, i za życia nic nie da. Cóż ja pocznę z młodem państwem, które nie dosyć przyzwolicie utrzymać aż do śmierci ojca, ale tu jeszcze zechce im się jechać do Warszawy, mieszkać w najpierwszym hotelu, expensować po pańsku, a czyż ja wystarczę na to wszystko? Olszyn obdłużony po uszy, procentów od roku nie jestem w stanie opłacić, tamtych w oficynie jest jeszcze czterech dryblasów, rwą mnie ustawicznie i gdzie się obróć, wszędzie ich kwity, rewersa, kontrakty na moje imię zawarte, bo nawet Marcinek już i jakiś wexel podpisał. A tu przecież i o wyprawie dla Zosi pomyśleć należy; Racimorski na dobre konkuruje i nie podobna mu odmówić: chłopiec familiant, ma wioskę dziedziczną, — zresztą dziewczynie 20ty

rok minął i na kogóż z nią czekać? Jakby się zestarzała, dopiero mielibyśmy żyjący w domu lament.

KLEOFASOWA.

Zosia jeszcze nie ma dwudziestu lat.

KLEOFAS.

A czyście wszystkie powaryowały z tém ujmowaniem lat! Czyliż nie wiem, kiedy się córka moja urodziła? . . .

KLEOFASOWA.

Mniejsza o to, czy nie ma, czy ma lat 20; zgadzam się, że ją za Racimorskiego wydać potrzeba, ale teraz pilniejsza rada co do żądania Julisia.

KLEOFAS

Otóż ja się właśnie z myślami biję, czyby państwa młodego nie można w oficynie ulokować, a chłopcy przenieśliby się do gorzelni; tam jest porządna izba, a w oficynie dla Julia. nowstwa wylepiłoby się papierowém obiciem, kazałbym dać nowe okienice i drzwi nowe, które szelmy chłopaki, strzelając z pistoletów do celu, na wskroś podziurawili, — z pierwszego pokaju do sieni to istny przetak.

KLEOFASOWA.

Cóż dziwnego? nie zatrudnisz ich niczem,

to i ze swawoli nie wiedzieć co im już do głowy przychodzi.

KLEOFAS.

I czémżeż mam ich zatrudnić?.... jéjmość zawsze gada jakieś androny ni w pięć ni w dziewięć....

KLEOFASOWA.

Nie gniewaj się, mój Kleosiu, — lepiej oto uradźmy, czy się przeprowadzić do oficyny, czy nie przeprowadzić?...

KLEOFAS.

Trudno się nie przeprowadzić, bo nie podobna znów panny, mającej mieć milion złotych posagu, wprowadzać do oficynki.

KLEOFASOWA.

A jak Paleciński nie da tak prędko posagu, mając przyczynę gniewu, że córka pójdzie za mąż bez jego woli i że się oto wykraść da.

KLEOFAS.

Już ja tam zresztą potrafiłbym do szlachcica trafić; — uprosi się księdza infulata, użyje się przyjaciół, sąsiadów; przecież tylko tego jednego dziecka jest ojcem, nie podobna, aby miał serce z kamienia.

KLEOFASOWA.

Toć już im trzeba ustąpić.

KLEOFAS.

I ja tak sędzę i to zaraz jutro należy zaczynać, ażeby te pokoje oczyścić, odświeżyć, wywoskować, firanki dać nowe; znajdzie się i reperacya w garderobie, bo się tam ściana do ogrodu wywała, a ten cieśla drapichróst miał jeszcze na jesień wyprykować; — mówiłem i Pępkowskiemu, — że się téż to na tych ludzi w niczem spuścić nie można.

KLEOFASOWA.

A jakże z przyjęciem?

KLEOFAS.

Pojadę jutro do Borucha, wezmę przynajmniej 5000 Złp. i trzeba wystąpić, jak się należy.

KLEOFASOWA.

Ja mam za masło i za wieprzki 23 dukaty, — możesz wziąć na sprawunki, — nie podobna dziecku żałować...

KLEOFAS.

Zwłaszcza że to nasz pierwszy syn żeni się, — jakoś będzie i dla drugich *pewien honor* na przyszłość, gdy pierwszą synową z przyzwoitością i z wystawą przyjmujemy.

Do późna w noc rozmawiali szczęśliwi rodzice o najdrobniejszych szczegółach świetnego pani Julianowej przyjęcia, i nie wątpię, że starzy

Byczykowscy wspaniale wystąpią; — zapraszam więc szanownych czytelników do Olszyna na dzień Nowego Roku, a ja tymczasem świeżą nałożę luleczkę i do Sękówki pojadę, gdyż mnie trapi jakieś nie miłe przeczucie, że młodzieniec ze zbytku szczęścia rozchoruje się i zaproszonym gościom niesłychany zawód uczyni.

V.

O ile od ostatniego listu Juliana nadzwyczajna panowała w Olszynie radość, o tyle w Sękówce u Gawęckiego i w Jasnym Dębie u pana Stanisława posępne zwiększały się chmury, albowiem nadchodził czas ukończenia komedyi. Wprawdzie pomiędzy chmurami raz jeden cudowny promień zajaśniał, ale czy umiano z chwili korzystać, dowiemy się zaraz poniżej.

Julian, znudzwszy Palecińskiego beczelnością kłamstw i zalotów do Wacia, od chwili oświadczyć miał wprost dalsze odwiedziny zabronionemi; — lecz upewniony przysięgą Wacia, że w trzecie święto Bożego Narodzenia *najniezawodniej* w umówioném stawi się miejscu, młodzieniec *drwił sobie z chimery starego* i już od tygodnia siedział w Kalwarii u Lejby Nejtla, gdzie na *leb na szyję* za nową od Borucha pożyczkę paradną bo pasową szyli liberyą, — gdzie przyprowadzono z Królewca bardzo piękną karetę — i właśnie pan Byczykowski wypra-

wiał sztafetę do Münhajmera w Warszawie po ogromnej wielkości guziki herbowe, gdy przybył z Jasnego Dęba posłaniec z następującym listem od Wacia.

Panie Julianie!

Im więcej zbliża się czas zakończenia komedyi, w której pan rolę kochanka przyjąłeś, tém więcej jestem niespokojną o skutki mojej lekkomyślności; — drzę cała na myśl tajemnego wyjazdu z domu najlepszego ojca, chwиеję się coraz więcej w nadziei szczęśliwej przyszłości, gdyż ciągle dręczy mnie to przekonanie, że pan, przenosząc mnie nad tyle piękną, tyle uroczą, tyle zachwycającą, tyle łagodną i ukształconą Hortensyą, chyba interes pieniężny, mój ogromny posag miałeś na celu, — dla tego raz jeszcze błagam pana o szczerość. Pomnij, panie Julianie! że najpierwszym warunkiem szczęśliwego małżeństwa winna być najszczerza wzajemność obustronnych uczuć, gdyż pogwałcone serce nie ubłaganą na całe życie wywiera zemstę, zatruwa wszystkie dni i godziny naszego istnienia i zwykle bogactwa, zaparciem naszej godności nabyte, stają się obmierzłemi i są ustawicznym przypomnieniem dokonanej podłości.

Panie Julianie! ty się podobałeś pięknej Hortensyi; ja z pewnością u ojca mojego wyjednam, że z nią w dzień ślubu odbierzesz już nie pięćdziesiąt ale sto tysięcy złotych na zy-

skowne w naszym sąsiedztwie kupno téj saméj wsi, którą tak często ojcu mojemu chwaliłeś; — mój ojciec, twierdząc to z niemylną pewnością, nie odmówi prośbie mojej; — wszakżeż podczas gromu dział, pod uroczystym niebios sklepieniem przysiągł konającemu pułkownikowi, że się przez całe życie starać będzie, aby dola sieroty była szczęśliwą...

Julianie! córka poległego żołnierza, aniół Hortensya śle ci przezemnie wyraz miłości... dla Celiny wdzięczność wasza wystarczy.... Nadto muszę ci wyznać szczerze, że ojciec mój usilnie pragnie, abym rękę moję oddała Wacławowi, siostrzeńcowi pana Gawęckiego, z którym mnie łączy przyjaźń od lat dziecińczych, — i ten związek będzie dla mnie właściwszy. Wacław znakomitą i rozległą posiada naukę, byłabym umysłowo od niego niższą — od ciebie, panie Julianie, przebac mojej szczeroci, — byłabym o wiele wyższą; — niestósowność, która po za granicę pierwszej miłości stwarza brak tyle w małżeństwie potrzebnego szacunku dla męża... a częstokroć rodzi wstręt i pogardę.

Panie Julianie! powtarzam, córka poległego za kraj żołnierza, aniół Hortensya śle ci przezemnie wyraz miłości... nie wątpię, że w młodzińczym sercu prawe uczucia pierwszeństwo nad chciwością bogactw odniosą i że pan

z szczerą dla mnie przyjaźnią i tylko co rychlęj w dom nasz przybędziesz.

*Z rzetelnym szacunkiem zawsze
dla pana życzliwa*

Celina.

Jasny Dąb 22 grudnia 1844r.

Po przeczytaniu tego listu Julisiowi lzy się kręciły w oczach, serce jego drżało przyspieszonym biegiem, bo Juliś kochał Hortensyą*); niebiańskie wdzięki Hortensyi otoczyły w téj chwili wszystek zmysł młodzieńca; widział ją w całym blasku piękności, słyszał ją w całym uroku anielskiego głosu, i już rój strzałami zbrojnych chłopczyków trzepotał radości skrzydełkiem i z figlarnym uśmiechem cięciwę zwyciężkiego łuku naciągał, i już w górnym niebios błękiecie bóstwo hymenu ku świętej pochodni spojrzenie zadowolenia rzuciło, i już aniół dyżurny miał chrzestne imię Byczykowskiego z chrzestnym imieniem Palecińskiego w księdze przeznaczeń diamentowém piórem połączyć i zapisać, — kiedy w tym tak stanowczym momencie najniezawodniej diabeł a nie kto inny Borucha do izby wprowadził.

*) Żebyście tylko nie rozgłaszali, powiedziałbym wam, mili czytelnicy, że i rzeczywista panna Celina rzeczywiście się kochała w Julianie; i nie można się dziwić, bo Byczykowski, jak to wiecie, prześlicznym był chłopakiem, — a znów nie można żądać, aby w dziewczęciu woda nie krew płynęła.

Czy państwo dobrodzieństwo uwierzyć zechcecie, że pomimo tego, iż Julian Byczykowski do rzędu srodze głupiej kawaleryi należał, — żał mi się chłopca zrobiło, gdym spostrzegł wchodzącego Borucha.

Na widok Borucha zarumienił się Julian; przez jego myśl lotem gromu straszliwa przeleciała burza, ścisnęło się serce i słowa jednego nie był w stanie wymówić.

BORUCH.

Przyjechałem z powinszowaniem Jaśnie wielmożnego pana Julisiowi, mężowi od panny Palecińskiej szczęśliwego końca i przywoze podziękowanie od rodziców za takie wielką radość, jaką pan Juliś zrobić będzie rodzicom, a i wielgie ukontentowanie dla Borucha, co to do wszystkiego był najgłówniejsza przyczyna i namowa... A co? nie powiedział ja, że Boruch ode wszystkich przyjaciół pana Julisia Byczykowskiego jest najlepszy.

— Kiedy Boruch przyjechał?...

— W te minucie, jak tylko otrzymałem zawczora list pańskie, zaraz wsiadłem na furmańskie brykie od warszawskich żydów, co jadą do Kowna, i oto jestem w Kalwaryi. — Tylko mnie coś uderza, że pan Juliś jakoby był smutny,... czyby się termin od panny Palecińskiej odmienił?... ny!... niech Pan Bóg zabroni tego, boby to była wielga zmieszania; pan ojciec już wszelkich gości na Nowy Rok

zaprosił, z Warszawy muzyka zamówione, tego iluminacye z kwiatami i odśpiewania ziewuchy przygotowane.

— Żadnej odmiany! na Nowy Rok przyjadę z żoną, albo sobie w łeb wypalę...

Na te ostatnie wyrazy Boruch, któremu Juliś był winien, nie licząc procentów, 17,000 Złp., zbłądł jak na żółto ukrochmalona chustka perkalowa, — i ledwo potrafił wybełkotać:

„Co — co to jest... wus ist dos?...“

— Widzisz, Boruchu! właśnie przed kwadranssem odebrałem list od panny Palecińskiej, w którym bynajmniej nie cofa danego słowa, ale mnie tylko namawia, abym się żenił z jej bardzo piękną przyjaciółką, z panną Hortensyą, która bawi w domu jej ojca, i przyrzeka mi...

BORUCH.

Żeby tę przyjaciółkę wszystkie pioruny razem zatrasły z jej pięknością, niech ją diabli porwą do piekła, żeby sobie tam poszukała kawalera; — a panu Byczykowskiego do wciurnostych diabłów co jest po pięknej panny?... panu Byczykowskiemu trzeba pieniędzy, kupa pieniędzy... czy ona tego Paleciński zwaryowała?...

JULIAN.

Nie, mój Boruchu! to z jej strony udowadnia tylko bardzo szlachetną duszę.

BORUCH.

Niech ona pierwszemu lepszemu psu takie dusze oddaje.

JULIAN.

Tak gadasz, jak rozumiesz; trzeba ci wiedzieć, że ona z swojego własnego majątku chce dać sto tysięcy na posag dla tej panny.

BORUCH.

Jakiego swojego własnego majątku?.... tego majątek należy teraz do pana Palecińskiego, a potem będzie należał do pana Juliana Bczykowskiego, jej mężą od ślubu, a nie do niej pannieńskiego stanu. To także jakiegoś pańskich muchów ma w nosie, sto tysięcy chceć dawać jakieś obcej ziewczynię?... — Czy pan już zrobił odpisanie na tego głupi list?

JULIAN.

Jeszcze nie odpisałem, ale zaraz odpiszę.

BORUCH.

I cóż pan będzie odpisać?....

JULIAN.

Że jej nie zwalniam z danego słowa i że nie chcę za żonę jej pięknej przyjaciółki i że na nią czekać będę wieczorem w trzecie święto Bożego Narodzenia w miejscu umówioném.

BORUCH.

To jest na tego Palecińskie?...

JULIAN.

Tak jest, na pannę Celinę Palecińską.

Boruch odetchnął, lecz musiało go coś w żołądku zabołec, bo jeszcze chwilę potem przyciskał obiedwiema rękami środek swojego tłustego brzucha, a Julian zaczął przy zapolo-

nój świecy lak topić i fajeczkę rozniecił — kwoli przeczyszczenia powietrza.

JULIAN.

Idźżeż teraz, mój Boruchu, do Lejby, bo ja muszę zaraz odpisać pannie Palecińskiej i nie chcę, abyś mi swoją obecnością przeszkadzał; jak skończę, to cię zawołam. A przywiozłeś też tyle pieniędzy, o ile pisałem?

BORUCH.

Niech się pan Juliś o pieniądze nie turbuje; ja nie przywiózł pieniędzy, ale jeśli koniecznie pokaże się potrzeba, to ja się będę z Neytlem wystarać*); tylko niech pan Juliś napisze taki sam czuły list do swojej panny, jak pan napisał do pana ojca, donosząc, że ona już dała słowo. Jak pan ojciec przyjechał po pieniądze na te do ślubu sprawunki, bo to on mi przywiózł tego listu i dwa razy czytał mnie i mojej żonie i zięciom, było bardzo ładnie napisane.

JULIAN.

Ja dzisiaj jeszcze ładniej napiszę, tylko muszę mieć kilka godzin czasu.

*) Zelgał Boruch, bo przywiózł ze sobą pieniądze i szło mu tylko o to, ażeby mógł większy procent wyludzić a osobno ządać faktornego.

BORUCH.

Ny, ny, niech pan pisze; ja każe Lejbie, żeby przymknął okienice i żeby tendy nikt nie przechodził, a tymczasem ja pomówię z tego posłańcem i będę go poczęstować wódką.

JULIAN.

Tylko się zaś Boruch nie wygada, że w Olszynie moi rodzice mieszkają, bo ja tam w Jasnym Dębie powiedziałem, że to moje własne dobra.

BORUCH.

Przecie ja nie głupi, — pisz pan z Bogiem, tylko z czułością, delikatnie i tak, żeby ona ani jednego dnia nie zmykła, bo wszyscy goście będą w Olszynie czekali i na ten dzień wielgi się zrobi ekspens.

JULIAN.

Ale, ale Boruchu! czy wiesz z pewnością, że papa każe iluminować? . . .

BORUCH.

Z wszelką pewnością wiem, bo ja na moje własne oczy widział, jak stolarz Jacek brał miarę na tego bramę od ziezińca, gdzie się dwie państwa litery mają świecić z lampami, do których ja przywiozł knoty trzysta i sześć garcy oleju.

JULIAN.

To będzie mało sześć garncy.

BORUCH.

Bo jójmość ma także dać tłustości ze spiżarni do jakichsiś dygańców, co będą wisieć na topolach przez całą wieś. Już się niech pan nie boi, takiego parady, jak będzie w Olszynie, to jeszcze nikt na świecie nie widział; całe kuźnia będzie także z dygańcami obstawione i na samym wierzchołku od kuźni będzie jedne donicę z tłustością także się palić, a przy mostku od granicy to pan Zdzisław z braćmi mają konno wystrzelić, jak wielmożny pan przyjedzie ze swoją żoną do granicy, i już oni potem od tego karety nie odstąpią aż do samego przededwór. Mnie pan Zdzisław każdą rzecz opowiedział.

JULIAN.

Wszystko więc będzie dobrze; — teraz tylko, mój Boruchu, nie przeszkadzaj mi i przyjdź dopiero za dobrą godzinę a ja ci także opowiem, jak ja umyśliłem do Olszyna przyjechać.

BORUCH.

Er hot Recht — ny! ny! ja już będę iszc.

Boruch wyszedł a Julian usiadł za stolikiem, wziął pióro do ręki, wierzchni koniec tegoż pióra włożył w usta, ścisnął zębami i nie-

ruchomo siedział przez cały kwadrans; potem wstał, przeszedł się trzy razy przez izbę, znowu usiadł, przyłożył do papieru w atramencie umoczone pióro, wielki palec od lewej ręki na pół paznokcia w ustach zanurzył i drugi kwadrans dumał nad treścią listu pisać się mającego; wreszcie o trzy kwadransy na ósmą tak pisać począł:

„Celino! aniele życia lub śmierci!... ubóstwiona istoto! ideale mojego szczęścia na ziemi!... moja ty, moja Celino!“

„Litery, anielską rączką twoją stawiane, litery, które zrosiłaś promieniem twojego Boskiego spojrzenia, odebrałem przed chwilą. Celino! ty mnie tylko doświadczać chciałaś, ty nie jesteś zdolną poić się krwią moją. — Nie, nie, Celino! nie byłoby Boga na błękitnych nieba obszarach, nie byłoby Boga na ziemi, która co wiosnę milionami kwiatów jaśnieje, — nie byłoby władzy nad szatanem piekieł, który w ciemnościach kuje rodu ludzkiego nieszczęścia, — gdyby treść twojego listu była wiernym odbiciem twojego uczucia. Celino! to tylko było twoim marzeniem, ty tylko twojego Juliana chciałaś przerazić najokropniejszą na świecie groźbą, aby tém silniej ocenić umiał szczęście posiadania twojego serca. Celino! życia mojego życie! to był tylko żart twojej ku mnie miłości... I czémżeż są słabe wdzięki Hortensyi przed twoim anielskim obliczem, —

czémżeż jest jej słabe uczucie przy twoim sercu, w którym harmonia całego świata dźwięczy lutnią zbawienia, — czémżeż jest jej słaby umysł przy potędze twojej nieskończonej wiedzy, — czémżeż jest jej nieudolna dusza przy twojej duszy, która całą ludzkość ogarnia i za granicę pojęć człowieka przechodzi. — Celino! w liście swoim wspominasz o twojej umysłowej wyższości nademną; przyznaję Ci najzupełniejszą słusność tego zarzutu, ależ czyli miłość moja ku Tobie, miłość niedościgłej potęgi nie nagrodzi twojemu sercu ujemnej strony mojego jestestwa?... Celino! jeżeli jednakże dane mi przez Ciebie słowo ma być dla Ciebie źródłem przykrego w przyszłości uczucia, uwalniam Cię od tego słowa i tylko pragnę, abym się w twojej pamięci wielkością moją dla Ciebie miłości uwiecznił, bo przysięgam na święte popioły moich naddziadów Byczykowskich, na herb naszej rodziny, na honor nieskazitelnej duszy mojej, na wszystkie siedm ran Chrystusa, Pana naszego, że jak w dniu 27 grudnia przed północą nie przyjedziesz w umówione miejsce, aby los przyszedł ze mną podzielić, ja przez pośrednictwo prochu z dwururnej strzelby czaszkę głowy mojej na drobne kawałki roztrzaskam, aby Cię przekonać, że ja, Celino, kochał nad życie moje, nad zbawienie duszy mojej. Czekam jutro twojej odpowiedzi a tymczasem o tém Cię tylko zapewnić mogę, że w godzinę mojego

skonu usta moje słowa Ludgardy powtórza:
„Okrutna, żyj szczęśliwą.“

Moja ty moja Celino!

Twój do śmierci

Julian Rozmian Byczykowski.

Pisałem w Kalwaryi dnia 19 grudnia 1844 r.

P. S. Gdym list ten ukończył, odebrałem z domu wiadomość, że najświetniejsze dla Ciebie przyjęcie jest przez rodziców moich rozporządzone. — Wczoraj przysłano mi nadzwyczaj piękną karetę i pasową dla ludzi liberyą, — nieszczęśni! nie domyślają się, że w chwili, kiedy oczekiwać będą na tkliwe uściski synowej, kir śmierci syna serce rodzicielskie wieczną okryje żałobą. Raz jeszcze powtarzam: *„Okrutna, żyj szczęśliwą!“*

VI.

Ponieważ bieg czasu z odwiecznych niepojętego Boga rozkazów od stworzenia świata ani się jednego razu ani na jedną nie zatrzymał chwilę, cóż więc naturalniejszego jak to, że i do Olszyna Rok nowy czyli dzień 1. stycznia 1845 r. zaraz nazajutrz po 31. grudnia na całe 24 godzin zawitał.

Czy to w skutku wzburzenia krwi, z niezwykłych od kilku tygodni zatrudnień wynikłego, czy też z radosnej niespokojności umysłu, albo - li też z téj przyczyny, że wiatr przez niezaklejone jeszcze dziury we drzwiach pierwszego pokoju oficynki z wiatrem od komina jakąś świstającą prowadził rozmowę, czy też z innych mnie wcale niewiadomych przyczyn, dosyć, że Kleofas Byczykowski, zaraz po północy snu pozbawiony, słyszał godzinę 1, 2 i 3, i gdy kwadrans na ściennym zegarze uderzył, wstał, ubrał się i poszedł do dworu, gdzie wprowadzony z Warszawy tapicer ostatnie do firanek przypinał kokardy a froter czwarty już zaczął pokój woskować. Obejrawszy wszystko we dworze i zachęciwszy frotera do pospiechu, pan Kleofas udał się następnie do kuchni. Tutaj aż trzech kucharzy w białych szlafmycach, w brudne zakasanych fartuchy, zajmowało się właśnie wysadzaniem z pieca pasztetów i lukrowaniem ciast piramidalnych, chwiejących się na 12 fajansowych półmiskach, kolorowym papierem wyklejonych. — Dalej zwiedził pan Kleofas izbę folwarczną, gdzie stary ogrodnik z dziewczkami wiązał z gałązek jodłowych, sosnowych i świerkowych i z tak nazwanéj borówki zielony łańcuch, 400 łokci długości mający, na zrobienie w około dziedzińca strojnój opaski.

— A cóż, Grzegorzu! wystarczy 400 łokci na cały dziedziniec? .. zapytał ogrodnika Kleofas.

— Wystarczy, jeszcze się zostanie na girlandę do siennych drzwi we dworze, — odrzekł pracowity Grzegórz.

— A wszakżeż drzwi sienne mają być przystrojone kwiatami, przywiezionymi z oranżeryi pana hrabiego?

— Proszę wielmożnego pana, te kwiaty pójdą wszystkie do sypialnego pokoju i ustawia się na ceglach tak samo, jak podczas lata przed oknami jęjmości, — od dołu większe doniczki, na samym zaś wierzchołku będą dwie najmniejsze doniczki z kwitnącemi różami, piękną wstążeczką ze sobą związane.

— Mój kochany Grzegorzu, dostaniesz od pana Juliana kilka talarów za ten przewyborny concept. Otóż mi stara głowa a myśl jara, lepiej nie można było wymyślić. Tylko się spieszcie z tym łańcuchem, żeby już przed południem był porozwieszany.

— Wielmożny panie, na południe będzie wszystko gotowe.

Tymczasem dzień się rozwidnił, ogólny rozhovor wszczął się na całym dziedzińcu i bez żadnego względu na uroczystość kościoła katolickiego — huk, stuk, gwar robotników, rozkazy Kleofasa i czterech młodych Byczykowskich krążyły we wszystkich zakątkach Olszyna. Stolarz Jacek, ustawiwszy na wierzchołku bramy ogromnej wielkości litery drewniane:

J. C.

przybijał druty i zawieszał lampy; — 25 fur włościańskich i 4 fornalki i dwie pary osłów rozwoziło piasek rzeczny na drogę i ścieżki; — w browarze pod dyrekcją Zdzisława 12 dziewczyn w ostatniej próbie odśpiewywało hymnu przyjęcia; — Grzegórz ogrodnik rozwieszał już ukończony zielony łańcuch; — pastucha i dwóch karbowych ustawiało kagańce; — ekonom Pępkowski z nadwornym cieślą na moście przed bramą, dwie sadzawki rozgraniczającym, nowe układał bale; — trzech żydków z najbliższego miasteczka malowało poręcze i słupy, — a i kowal miał zatrudnienia pod dostatkiem. Dopiero o godzinie 4 z południa roboty publiczne ukończone zostały a zaczęło się równocześnie ubieranie państwa i służby dworskiej. O godzinie 6 ostatnie z kuchni wysłano żelazka do zwijania włosów pana Zdzisława a o pół do siódmej wszyscy czterej bracia wyfryzowani, wypomadowani, w granatowych frakach, w białych rypсовых pantalonach, z nowemi białemi rękawiczkami, z kapeluszami w ręku przybyli do oficyny, z kądem jegomość w galowym fraku i jęjmość w karmazynowej aksamitnej, Zosia w różowej krepowej sukience, już się do dworu prowadzili.

Niezadługo poczęli się zjeżdżać goście i w przeciągu niespełna dwóch godzin — cztery karety, 19 landar oszklonych, 3 landary z fartu-

chami skórzanemi, 28 koczów pół-krytych i jedna ogromna basztarda, matka wszystkich pojazdów z całej okolicy, i 7 kawalerskich najtyczanek — i kilkuset wieśniaków z Olszyna i sąsiednich włości i tłum liberyi, i mnóstwo żydów z pobliskiego miasteczka i dzieci co nie miara, i psy dworskie i psy wiejskie, i pawie, zpod szopy światłem lamp wystraszone, i zabłąkana ze wsi gromadka prosiąt, i osiodłane dla młodych Byczykowskich wierzchowce, — to wszystko przepełniło dziedziniec, i był gwar i hałas, syceciem i pstrykaniem kagańców zwiększony, — gdy przyjechał nakoniec także i oczekiwany ksiądz Infułat, pokrewny pani Byczykowskiej, który przyrzekł oblubieńców ślubnym połączyć węzłem.

W ostatnim liście zapewniał Julian, że na godzinę 9 przyjedzie z najdroższą swą oblubienicą najniezawodniej. Pół do 9ej na zegarze brązowym w pokojach bawialnych jęknęło, spojrzeli wszyscy na kieszonkowe zegarki, czterech braci Byczykowskich spojrzęło na ojca; — dał znak jawny, młodzieńcy pokłonili się księdzu Infułatowi i zgromadzonym gościom, wyszli do sieni, podano im prochem nabite pistolety, siedli na suto przybrane rumaki i puścili się klusem przez gorejący dziedziniec, przez wieś, 300 kagańcami owidnioną, na zachodni północ ku granicy do mostku, gdzie na pierwsze przyjęcie państwa młodych oczekiwać mieli.

Im więcej zbliżała się stanowcza rodziny Byczykowskich chwila szczęścia, tém powszechniejsze stawały się powinszowania i życzenia, rodzicom Juliana składane, które pan Kleofas przyjmował z wdzięcznością; najbliższemu zaś sąsiadowi, panu Cielątkowskiemu,*) dziwiącemu się, że pan Julian w tak krótkim czasie tak wielkiego dopiął celu, odpowiedział z pewną dumą: „to, co dla wielu byłoby niepodobieństwem, dla Byczykowskich jest rzeczą łatwą i najnaturalniejszą“ — gdy wtem rozległy się w ogrodzie dworskim powtarzane wystrzały, umówiony odgłos wystrzałów przy granicy Olszyna. — „Jadą! jadą!“ zawołali wszyscy. Oczy Kleofasa zaiskrzyły się najżywszém w jego życiu uczuciem, i zapominając, że się wpośród stu pięćdziesięciu spółobywateli znajduje, donośnym zawołał głosem: „Pęplowski! nad stawami race wypuszczać! gajowi niechaj z dubeltówek strzelają! na wszystkich słupach smołę zapalić!“ i tłumem ciekawych otoczony, wyszedł przededwór i wionął białą chustką w powietrze.

I rozpoczął się trzask, huk, łoskot, a płomienie tysiąca światel noc ciemną w dzień najjaśniejszy zmieniły...

*) To nie był pan Wojciech, którego żona otworzyła salony literackie (jak o tém w jednej z moich Ramotek napisałem) ale pan Hiacynt, który się ożenił z córką Brzękałskiego, sławnego dowodzeniami, że chłop polski nie jest wdzięczny panom swoim za odbierane łaski i dobrodziejstwa, — a więc że nie zasługuje na żadne względy jasnie wielmożnych i wielmożnych dziedziców.

Za chwilę słyszyć się dała trąbka pocztarska, ujrzano karetę, czterema jeźdźcami otoczoną.

Przy bramie dziedzińca ozwał się nieco piskliwy ale zawsze chorałny śpiew:

Pani! pani!
To my sami,
Lud Twój wita Cię!

Pani! pani!
To my sami,
Lud Twój korzy się!

Pani! pani!
Rządź nad nami!
Olszyn prosi Cię!...

Pani! pani!
Tutaj szczęście,
Tu zamezcie
Czeka Cię!...

Wreszcie po improwizowanym na tę uroczystość bruku zadudniła ogromna karetą, pocztylion na skřęcie dwa razy z bicia wypalił i przed samym dworem konie w biegu zatrzymał. Skoczyła młodzieź do otworzenia karety... Kleofas i Kleofasowa stali na ganku, wieńcem obywatelstwa otoczeni...

Otwierają drzwiczki karety, chwytają pod pachy, — wysiada:

Żyd Boruch!...

i nikt więcej, bo nikogo więcej nie było w karecie.

Najokropniejszą na całej ziemi, krótko trwałą ciszę przerwał nagle śmiech szalony, śmiech bez końca.

Lecz przez ten śmiech kilkuset osób prze dał się bolesny zawrżask matki:

„Gdzie jest mój Julian, syn mój ukochany!?...

i głos ojca:

„Żydzie! gdzieś syna naszego zostawił!?...”

i głos siostr i braci:

„Żydzie! gdzieś brata naszego zostawił!?...”

Boruch z rozczochnem pejsami, trzęsący się od strachu, tocząc wzrok nieśmiały po braciach Byczykowskich, których żelazne dłonie w silném trzymały go objęciu, odezwał się w końcu:

— Te panne Palecińskie to był chłopiec, pan Julis został zmartwione w Kalwaryi, a ja w mojego własne karety, co ją odebrałem panu Julyszowi, na koszt starszego pana przyjechałem z extrapocztą donieść, że z wesela nic nie będzie, tylko ja się spóźniłem o 2 goziny, bom wstąpił do mojego szwagra w Siedlcach.

W kilka tygodni później Kleofas Byczykowski zeznał przed rejentem w mieście Biały dług 25,000 Złp. na rzecz starozakonnego Borucha i podpisał dla tegoż Borucha kontrakt dzierżawy folwarku Zajadały na lat 6, z prawem gorzelni i propinacyi na całych dobrach Olszyna — (biednych chłopków do reszty rozpoi).

Julian, po odbytym pojedynku bez krwi rozlewu, gdy w parafii Jasnego Dęba wyszła pierwsza zapowiedź Wacława z Celiną, wyjechał w okolicę nad rzekę Wieprz — w zamiarze starania się o rękę pani Kurkowskiej, wdowy już nie młodej ale bardzo majątnej. Nie wątpię, że syn obywatelski dopnie swojego celu i że się bogato ożeni a tém samém wywiąże się z długu i zaprosi nas na huczne przenosiny. Przynajmniej do mnie mówił, że się nie obejdzie bez Gucia, to jest bez niżej podpisanego autora tej Ramotki, który całej rodziny Byczykowskich pragnie na zawsze pozostać najwierniejszym kronikarzem a dla miłych czytelniczek zawsze na rozkazy

powolnym sługą

Au. Wi.

Ch. fil. k. n. k.

JARMARK W ŁOWICZU.

Bardzo smutna Ramotka.

JARMARK W ŁOWICZU.

Bardzo smutna Ramotka.

Na równinach Mazowsza, 10 mil od Warszawy, 7 mil od miast fabrycznych Zgierza i Łodzi odległy, koleją żelazną z Warszawą połączony Łowicz nad rzeką Bzurą, jest miastem, mniej więcej 5000 ludności liczącem. Już w dwunastym stuleciu bułe papieskie o Łowiczu wspominają. Historyą Łowicza skreślił w osobnym dziele czcigodny Gawarecki. Ale nie o Łowiczu pisać zamierzyłem, lecz o walnym jarmarku na Ś. Mateusz z roku 1840go.

— Już od początku miesiąca września gdzien się tylko obrócił, słyszałem zapytania: „*gdziem do Łowicza?*“ i z każdym dniem te zapytania były gęstsze i głośniejsze; ośmnastego zaś i dziewiętnastego września do tego stopnia napastowali mnie ludzie tym Łowiczem, że dla świętej spokojności odpowiedziałem kilku zna-

jomym: „*jadę — będę — zobaczymy się.*“ A że się rzekło, więc, chociaż nie miałem nic do sprzedania, ani też nie potrzebowałem niczego kupować, jednakże jechać postanowiłem. A więc dwudziestego września, w niedzielę, wzięwszy świadectwo od gospodarza domu, że przeciw mojemu wyjazdowi żadna z jego strony nie zachodzi przeszkoda, i uzyskawszy na tę podróż od właściwej władzy pozwolenie, — zrana o godzinie 9., otuliwszy się w algierkę, zaopatrzony w sygara i w drobniejszą monetę, siadłem do doróżki i do kolei żelaznej ruszyłem.

Na wszystkich ulicach widziałem ludzi jadących do kolei żelaznej, a im bardziej zbliżyliśmy się do celu, tém większy był tłum wymijających się doróżek — i gdy przed dworcem kolei zajeżdżał, ujrzelśmy kilkanaście setek ludzi z zawiniątkami pod pachą, z bułkami, z sigarami, z gruszkami, śliwkami, jabłkami w ustach, a każdy biegł klusem, ten do zważenia swego tłomoczku, ów po jadło, tamten kwoli ugaszenia pragnienia, a każdemu świeciły się oczy radością, że wyjeżdża, że dąży na jarmak łowicki. Gdziekolwiek tylko spostrzegłem ludzi zamysłonych: byli to rękodzielnicy i rzemieślnicy, którzy już kilka dni przedtem wystali; — wątpliwość, ażali im się zwróca koszt, ażali szczęśliwy targ zrobią, odznaczała ich oblicza od goniących za rozrywką, za zabawą. Z trudnością docisnąwszy się

do kasy sprzedaży biletów, kupilem za rubla siwą karteczkę do wagonu klasy 3 i udałem się do pokojów, natłoczonych oczekującymi na hasło odjazdu. Spisać i określić tysiąc ludzi najrozmaitszego kroju i gatunku jest niepodobieństwem, a jednakże ileż tam było osób, któreby na parawanach właściwą stanowiły ozdobę.

Przed wszystkimi innemi zwróciły na siebie moję uwagę dwie najsprzeczniesze pomiędzy sobą figury: tłusta, pękata, rumiana, nizka jejmość w grubo watowanym szlafroku i w salopie sukiennój, z torbami, z torebkami, z pudełkami i z pieskiem na łonie, zajądająca potężnego serdela i z maleńkiej flaszeczki pijąca krople życia czyli po prostu gorzałeczkę, — i obok siedzący w *jedwabnych pantalonach koloru karmazynowego* *) w długiej kamizelce z wełnianej materji *à la Walter-Scott*, z talarowemi przy niej guzikami, wrajtroku koloru piaskowego wysoki, wychudzony, blade z kręconemi na żelazku włosami, wyolejkowany, wypięznowany, w lakierowanych trzewieczkach, ze spicrutą w rękę, zajądający w cukrze smażone owoce — *dandy warszawski*.

Widok tych dwóch osób tak mnie serdecznie zabawił, że, wyjmując z kieszeni pugilares, postanowiłem maleńki zeszkiecować obra-

*) Że te pantaloniki były rzeczywiście jedwabne i koloru karmazynowego, osobnym moim podpisem zaświadczam.

zek, — gdy w téj chwili przeciągłym gwizdem parowa ozwała się piszczałka, drzwi otworzono na galeryą, wysypałem się z całym tłumem podróżnych. Wtoczyłem się do najbliższego wagonu — przeraźliwa świstaczka ozwała się po raz drugi, wozy pocałowały się z lekka, podróżni kiwnęli się na siedzeniach; maszynista otworzył klapę — i w ognieniu oka minęliśmy rzędy gapiących się na lokomotywę, ślących swoim krewnym i znajomym pożegnania; minęliśmy rogatki, ogrody; lotem strzały wybiegliśmy na przesliczną równinę pól mazowieckich — i podróż nasza odbywała się w całej sile znikomej a tyle potężnej pary.

Ochłonawszy z podziwu nad dobrodziejstwem tak cudownego wynalazku, obejrzałem się w wagonie, z kim jadę, kto obok mnie, kto przeciw, kto za mną siedzi. — Było kilku starzych, kilkunastu młodych, tłustych, chudych, łysych, czubatych, dużookich i małookich mężczyzn — nie szczególniejszego; — były dwie niewiasty, jedna 40 letnia, ogromna wzrostem, ogromna objętością; druga szczupła, wiotka, wysoka, w całej swojej budowie estetyczna, z tęsknym uśmiechem na twarzy, z cudownym spojrzeniem pogodnych oczu, z wyrazem myśli na gładkiem i białem czole.

Bardzo łatwym był wybór; rozpocząłem rozmowę z piękną panią. Minęliśmy Prasków, Grodzisk, prawilem, na co się zdobyć mogłem —

i pod urokiem przyjemnego sąsiedztwa stanęliśmy w Rudzie.

Jakiś olbrzymiego wzrostu pajazzo z janczarską muzyką na głowie, z dętym instrumentem w ustach, z bębniem na plecach, z pałeczkami, przy łokciach rąk przymocowanemi, bębnił, dzwonił, brzęczał i pisał bez litości przed bufetem, gdzie ścisk pijących i jedzących wyraźnie zaświadczał, że wagony zdrowych mają gości. — Tutaj to na uprzejme wezwanie moich znajomych przesiadłem się do wagonu II klasy i z wiejskim obywatelstwem krótkowiliłem aż do Łowicza.

Była godzina pierwsza z południa, gdy z zawiniątkiem pod pachą stanąłem na rynku. Bez przesady pół kopy naraz znajomych spostrzegłem wokoło: byli to i ziemscy obywatele i warszawscy panowie; kilku wzywa na obiad, kilku już na butelkę zaprasza; — jedni pytają się o zdrowie (bardzo lichy pytanie), inni ofiarują kwaterkę (trochę więcej sensu), a każdy wita ukłonem, uśmiechem, ręki uściskiem — a wszędzie gwar ludu, hałas i zgiełk.

Bębny i trąby, zwołujące do panoramy; harfy, skrzypce i flotrowersy z okien otwartych restauracyi kawiarni i cukierni chwilki rozmysłu nie pozwalają; pan Piotr pociągnął mnie za rękaw algierki, jakiś chłystek w liberyi odebrał moje zawiniątko, pan Paweł ujął mnie pod pachę, — wtoczyliśmy się na Isze piętro muro-

wanej kamienicy — na obiad. Za godzinę przyniesiono nam rosół z francuzkimi klóseczkami; w półtorej godziny później dali poledwiec z kartoflami; — nad wieczorem, po siódmej butelce szampana, po jedenastym śpiewie harfiarek, wbiegł zapocony, głupiuteński talerznik (garçon) i postawił przed nas wazę barszczu drobną zasypanego kaszką.

— Czyś ty zmysły postradał! — krzyknął pan Paweł — dawaj cztery porcje pieczeni, barszcz wylój sobie za kołnierz, — rozumiesz, bałwanie!

— Rozumiem, jasnie panie — jakież panowie każą pieczeni?

— Zająca...

— Wyszedł, jasnie panie.

— Czemuś, głupcze, drzwi otworem zostawił. Macie sarnę?...

— Była, jasnie panie, ale już ostatnią porcją wydałem.

— Coż tedy macie?...

— Jest tylko baranina.

— Patrzajcie! pyta się, jaką każemy dawać pieczeń, a ma tylko baraninę. Dawaj, jaka jest.

— Zaraz: barani comber, jasnie panie.

I pobiegł, z kąd przybiegł i za godzinę przyniósł 4 porcyjki baraniny.

Uważałem, że, o ile leniwymi byli w usługach mięsnej, o tyle na rozkaz „wina szampańskiego!“ piorunem butelki stawiali.

O godzinie 6tej wyszliśmy do cukierni na czarną kawę. Brzęk odstrojonych a ciągle szarpanych strun harfowych; ochrypla parodia śpiewu skrzeczących dziewczyn, błazeński hałas jakiś z przedpiekła pozbieraną młodzieży — co to najnieprzyzwoitszemi a głośnie umizgami do harfiarek dobry ton udowodnić pragnie; — trzask rzucanych o ziemię szmermeli, klótnie grających w kości i w ruletkę, dym tytuniowy, czarnemi tumanami wypełniający dwie ciasne izdebki, — czyli ogłuszenie, obrzydliwy zaduch i widok bezrozumnej tłuszczy zaprawdę jedną chwilą mogły starczyć za karę kilkunastu grzechów powszednich, a myśmy półtorej godziny w tej cukierni na czarną kawę czekali, bo pan Paweł uparł się, aby koniecznie pić czarną kawę.

O godzinie ósmiej cisnęliśmy się do kasy teatralnej; — popychany, szturchany, po nogach deptany, guieciony, bokami zdobywając sobie pierwszeństwo, dostałem 4 bilety na krzesła i wszrubowaliśmy się do stajni, gdzie za chwilę miała być grana opera:

Marya,
Córka Regimentu.

Usuniono na stronę z niebieskiego sukna w pozłotkę ozdobną kurtynę — opera rozpoczęła się krzykiem trzechset męzkich głów: „Niech panowie siadają!“ „Siadajcie, panowie!“ „Siedzieć!“ „Siedzieć!“; potem wszczęła się w środ-

ku widzów energiczna kłótnia, skutkiem której młody i kilku quasi-dandych, którzy, imponując łowickiej publiczności, wzbraniali się usieść, zostali podniesionemi do góry — i z rączki do rączki jarmarczna arystokracja na wolném ujrzała się powietrzu.

„Bravo“ krzyknawszy, spojrzałem na orkiestrę: składała się z fortepianu, z kilku skrzypiec i z potężnej basetli, — otóż mi *um* zaradzenia w potrzebie. Śpiewają tymczasem na scenie. Chóry, z czterech bardzo młodych dzieci wcząt złożone, zajęły uwagę pana Narcyśa — schwycił mnie za rękaw i poszeptał do ucha: „pójdźmy za kulisy.“ — Ha! pomyślałem, 20 lat jak nie byłem za kulisami, — idę więc z panem Narcysem.

— „Nie wolno“ — odzywa się bosy wyrostek, trzymający sznurek, którym drzwi do drewnianej ściany przyciągał.

— „Naści 10 groszy“ — odrzekłem; — chłopak zawołał pospiesznie „wolno“ — zaczęm z panem Narcysem weszliśmy za kulisy!...

— „Panie dyrektorze! jednego pałasza brakuje!“

— „Agatka! gdzie jest ta wstążka zielona?“

— „Panie Ignacy, wychodź.“

— „Róziu! tu, tu postaw.“

— „Niechaj murgrabina nie zapomni o swój żółtej szyi!“

— „Brwi potrzeba jeszcze uczernić!“

— „Przypomnij mi krzyż legii honorowej!“

— „Gdzie moje trzewiki?“

— „Panie dyrektorze! Telesfor lornetki nie przyniósł.“

— „Tego gapia po nic posłać nie można. Zmiłuj się, Kasperku! ruszaj do pana Łopatkowskiego i proś go na miłosierdzie Boskie, żeby nam lornetki pożyczył.“

— „Szafranowska! objaśnij asani świecę, bo się do rejment diabłów ta nowa kurtyna zapali.“

Zakulisowa scena przerwana została przez grzmotne oklaski i żądania „da capo! dacapo!“

— „Widzisz, że się znawcy zgromadzili“ — zacierając ręce, wymówił pan dyrektor, zażył tabaki i wszystkich nią w około poszestował, a potem dodał: „Już to nasza panna Studzińska nie zastudzi widzów swoich. Maszeruj! maszeruj, koteczko! tak, tak — bravo! — bravo!“

Równocześnie widzowie sypnęli długie, przeciągłe, szalone bravo — ale bo też panna Studzińska maszerowała jak prawdziwy grenadyr, — a toćże jęć madziudzi trzewiczek o łokieć przynajmniej w górę się unosi. Widzowie, ceniąc tę natężoną giestykulacyą, nie żalowali swych dłoni na coraz silniejsze *bravo!* — i było w całej stajni wesoło, aż serce *drgało* z radości... Śpiewy też odbywały się *jako tako*; fortepian w orkiestrze niezgorszą czynił przysługę, — i było kompletnie dobrze. — Akt pierwszy się ukończył, — kurtynę zasuniono szczęśliwie.

Akt drugi jeszcze z większym zapaleń przez światłą publiczność przyjętym został: panna Studzińska po trzykroć śpiewy swęj roli powtarzać była zniewoloną. Najzgodniejsze i najpowszechniejsze zadowolenie towarzyszyło wracającym do miasta widzom.

Ja, com był pierwszy raz w życiu mojem na jarmarku łowickim, sądziłem w prostocie ducha, że po teatrze nie wypada nic więcej, jak udać się na kwatęę i snem spokojnym skrzepić siły strudzone.

Dla tego zdziwiłem się niepomału, gdy, wchodząc na rynek, zobaczyłem niemal wszystkie domy rzęśisto oświecone, gdy usłyszałem nieustające parodye muzyki, brziniące ze wszystkich okien otworem stojących bębny i trąby, do *panoram* zwołujące, — gdy się ujrzał w natłoku ludzi *głośno*, wesoło gwarzących i *śpiewających* na wszystkie strony świata.

— Jak to, więc jarmark na dzisiaj się jeszcze nie skończył? — zapytałem pana Narcysa.

— Ej gadasz — odrzekł łowicki bywalec, a toć że teraz w najlepsze się rozpocznie.

— Cóż ludzie u licha po nocy sprzedawać będą?

— Pieniądze, zdrowie, rozum, małżeńskie sumienie, nieco sławy — oto tak jak na jarmarku wszystkiego pozbyć się możesz; — noc też do tego targu jest porą najwłaściwszą, bo jasny

dzień powstydzilby się za ludzi.

— Nie rozumiem cię.

— Idź z domu do domu, wszędzie popatrz się chociaż tylko przez chwilę a zrozumiesz ducha czasu, osądzisz, chirurgu, czy twój instrument jest u nas jeszcze potrzebnym.

.

Gdym o 2ej z północy wracał na kwatęę, jeszcze po wszystkich prywatnych szulerniach złoto garściami stawiano na karty, jeszcze po wszystkich szynkowniach — quasi kawiarniach — *kankana* tańczyli, — a to pod przywództwem dwóch niedawno z zagranicy przybyłych młodzieńców *de la haute volée*, o których mówiono mi za dnia, że są bardzo pięknie edukowani, że do dobrego tonu należą, że *wiele skorzystali*!

I dzień św. Mateusza rozpoczął się urąganiem najsmutniejszym wypadkom, wszystkięj biedzie tegorocznej, niedostatkowi powszedniego chleba dla ludu ciężkiej pracy, urąganiem wszelkiemu uczuciu prawości. Co zaś było najsmutniejszém, że do kału i brudu ochydlonych z lepszego ogółu wyjątków łączyła się i część tych ludzi, którzy domagają się czci i poszanowania, którzy szeroce rozprawiają o swoich prawach i pargaminowych przywilejach.

Poniedziałek.

O godzinie ósmęj udałem się na zwiedzenie miejscowych kościołów. Widziałem ślady

hojnej pobożności przodków naszych — widziałem dziśczesną obojętność; — wszędzie nieład i nieporządek: połamane drabiny, deski, krągi; różnego rodzaju rusztowne ozdoby zakrywa rozłupana szafa ze świecami bractwa; w ołtarzu marmurowym wbito sosnową żerdź do świec w czasie odpustu; na cmętarni przedkościelnym gruz, kamyki i doły, — a wszakżeż tylko trochę smaku i pracy, trochę głębszego uczucia, — a byłoby inaczej.

Na targowisku z okolic, szczycących się niby to wzorowem gospodarstwem, znalazłem mało czworonożnego bydła rogatego, bardzo mało owiec, niewiele koni rasy lepszej — natomiast koczów i landar nowych i starych, wystawionych na sprzedaż, były dwa szeregi tak długie, jak n. p. od Zygmunta do kościoła św. krzyża w Warszawie.

Jestto rażące, niepoślednie, materyalne złe, że w naszym kraju rolniczym tak nieliczny, tak niedołączny jest chów żywego inwentarza.

Na okólniku Zawadzkiego, gdzie główna jest ujeżdżalnia cugów i wierzchowców, z prawdziwą rozkoszą znalazłem kilkudziesiąt obywateli, których w nocnym karnawale nie widziałem wcale; — na ich też obliczu spoczywał inny wyraz, zupełnie inne malowało się uczucie. Byli to obywatele, którzy przybyli nie na gody sprośnej a najobrzydliwszej rozpusty i rozwiozłości, ale pragnący spieniężyć zbywający, na-

być potrzebny inwentarz, albo też porobić nieodzowne do domu sprawunki, — przytem zobaczyć się z krewnym, z przyjacielem, widzieć ruch handlowy, dowiedzieć się, jaka jest nadzieja cen wełny, zboża i innych produktów. Mogłeś tam posłyszeć rozprawy o oczynszowaniu włościan — za i przeciw, jak komu serca i rozumu stawało; zachwycilem i gawędki o nowych dziełach agronomicznych; — jakiś nawet jegomość chwalił *Żyda, wiecznego tulacza*; trzeci unosił się nad *Rodinem*, innemu zaś najpocziwszy *Jordan* z kieszeni wyglądał, i tego z *Jordanem* o małym nie uściskał; — gdy wtem wysuwa się do mnie jakiś mocno zarumieniony jegomość i, uchylwszy czapkę, z natężoną grzecznością dziwne mi zrobił zapytanie, „czy mam przyjemność z bratem pana dobrodzieja rozmawiać — czy też z panem dobrodziejem? ...“

— Z moim bratem, — odrzekłem poważnie. Zarumieniony jegomość jeszcze się grzeczniej uklonił, wymówił: „przepraszam“ — i śród powszechnego obecnych śmiechu w inną oddalił się stronę.

Około południa odwiedziłem tuż przy mieście mieszkającego generała K.... Słodycz i nie wymuszona uprzejmość, z jaką mnie zacny starzec w swoim pięknym przyjał uchroniu, zapomnieć, kazały o odchodzących wagonach —

i mimowolnie przedłużyłem mój pobyt na jarmarku.

Przed wieczorem schwycił mnie dawny szkolny kolega a obecnie sławny bibuła. — Nie widzieliśmy się lat kilkanaście, — powód nader ważny, abyśmy weszli do handlu winnego. Butelki niebawem błysnęły na stole. Z każdą chwilą zjawiał się nowy członek przyjaźni, a każdy dobry znajomy, każdy z flakami i z kosciami pocziwy.

Za naszym przybyciem obszerne pokoje były już pełne, nieco później zostały przepełnione. Korki od szampana rotowym do sufitu szły ogniem, muzyka przygrywała walcującym; — uściski i całusy nie ustawały na chwilę, święto Bachusa w całym życiu zakwitło. Było tam weselej aniżeli wyrazić można; na wszystkich twarzach widziałeś radość pełną, *niezachmurzoną*, jawną, głośną radość szlachecką, — aż mi się oczy załzawiły, bo mi się zdawało, że w tych śmiałych postaciach, w tych szczerych spojrzeniach galeryą przodków moich oglądam; — jeno, że tę galeryą drogich sercu mojemu rysów w szynkowni oglądał, serce moje ból ścisnął gwałtowny, — duszę głęboki smutek ogarnął — nie mogłem znieść dłużej upokarzającego widoku.

W chwili, gdy Rajczak wydymał na trąbie *wiwat!* za złp. 50 dla jakiegoś obywatela z ...-skiego, — wśród powszechnego *wiwat!* wym-

knąłem się niepostrzeżony i pobiegłem do muzycznego artysty, aby go pocieszyć w kłopotcie po koncercie przezeń danym, na którym miał tylko pięciu słuchaczy.

Rzecz smutna; Rajczak za trąbienie *wiwatów* zgromadził 1943 złp., — znakomity skrzypek, artysta pierwszego rzędu, sprzedał tylko 17 biletów.

Jasny dowód, że *trąby* na łowickim jarmarku najważniejszą odgrywają rolę.

Wyjechałem z Łowicza z zapuchłemi od wrzasku uszami, z bólem głowy, z głębokim bólem serca, z tém przekonaniem, że nam potrzeba jeszcze surowszej nauki.

OSTATNIE CHWILE,

śmierć i pogrzeb

ś. p. *Spirydyona Tryllerskiego.*

OSTATNIE CHWILE

śmierć i pogrzeb

ś. p. *Spirydyona Tryllerskiego.*

— Czy pan śpi? ...

— Na cóż ci ta ciekawość; ledwożes mi stopy ze stawu nie wykręcił.

— Franciszek przyprowadził jakiegoś pana, który chce się z panem widzieć.

— Powiedz Franciszkowi, że niedorzeczność popelnił, przyprowadzając tego pana o 2ej z północy, i sobie powiedz, żeś głupi, budząc mnie ze snu smacznego; — a temu panu powiedz, że się ze mną widzieć nie może, bo ciemno.

— Proszę pana, to ja świecę zapalę, bo ten pan ma pilny interes.

— Zkądże weźmiesz świecy, kiedy ja resztę wypaliłem.

— Proszę pana, zrobię ognia na kominku.

— Pewnie schwyciłeś złotówkę i dla tego jesteś tak bardzo gorliwy. Zapal stoczek, a na drugi raz pamiętaj, aby świec nie brakowało.

Pawełek wysunął się po zapalki; ja tymczasem wstałem z łóżka i w nocnym tołubku wyszedłem do pierwszego pokoju, gdzie ów pan czekał na mnie z tym pilnym interesem.

Scena po ciemku.

— Któż to przyszedł do mnie? . . .

— To ja, wielmożny panie.

— Co za *ja*? po co?

— Mój pan prosi pana do siebie, bo już kona.

— Kiedy, gdzie, kto kona? . . .

— Mój pan.

— I jakżeż się twój pan nazywa?

Scena przy rozpalonym stoczku.

— To ja jestem, Andrzej, — od pana Tryllerskiego.

Widzę, żeś to ty o . . . — czy w istocie twój pan kona? . . .

— O proszę pana, już od godziny kona a skonać nie może, tylko koniecznie żąda z panem się widzieć. Niech wielmożny pan się spieszy, bo on nie skona.

— A to lepiej, że nie skona.

— Ale gdzie tam, on już zaraz o dwunastą zaczął konać.

— Może ze strachu zwołujesz mnie a twój konający pan zapewne może i nie żądał widzieć się zemną.

— Jak tego Boga kocham, tak żądał.

— No ruszajże naprzód, ja zaraz przyjdę za tobą.

— E! chyba, wielmożny panie, pójdziemy razem, bo mnie strach samemu powracać.

Podczas téj rozmowy ukończywszy ubranie, bezzwłocznie pobiegłem do konającego.

W rynku starego miasta na 2iem piętze narożnego domu mieszkał Spirydyon Tryllerski, od niedawna exbibliotekarz, niegdyś obywatel *dobrze urodzony*. Gdym drzwi do obszernej komnaty otworzył, świeca przy łóżku chorego dogorywała i tylko papier złożony nocnym jaśniał płomieniem i jaskrawe rzucał światło na śmiertelnie bladą twarz pana Spirydyona, który oczy kołem postawił, usta zsiniałe ściał, pierś ciężko pracował, a palcami szczypał koldrę, jakby mu było potrzeba waty uskubać.

Nachyliwszy się do ucha pana Spirydyona, poszeptałem mu przyjazno: „*podobno pragną-
łeś zemną pomówić? . . .*”

Chory milczał, tylko żar jego ciężkiego oddechu osiadł na ustach moich. Jeszcze dwa razy i coraz głośnieję powtórzyłem moje zapytanie, ale gdym żadnej nie odebrał odpowiedzi, na świstku bibuły następującą napisałem receptę:

Moschi veri granum unum
Sacchari albi grana quinque
M. f. p. D. t. d. N. X.

Au. Wi. ch. fil.

i z tą to receptą wysłałem Andrzeja do apteki. Niezadługo wrócił Andrzej z proszkami, z których, dla pewniejszego skutku, dwa czy wcale trzy zawiąłem w opłatek i konającemu w usta włożyłem, a ujawszy za dolną szczękę, poruszyłem nią kilka razy tak szczęśliwie, że chory połknął owe proszki. Poczem dałem mu jeszcze kieliszek starego wina francuzkiego. W kilka minut jego trupia twarz poczęła przybierać rumieńce, i oczy poczęły się poruszać i *puls* mocniej bić począł, — w końcu otworzył usta i z wyraźnym niedowierzaniem zapytał.

— Czy ja żyję jeszcze? ...

— A któż ci powiedział, żeś umarł.

— Tak mi się zdawało ... Czy to ty, Auguście? ...

— Ja, mój Spirydyonie. Andrzej przyszedł do mnie, oświadczając, że pragniesz ze mną pomówić.

— Dziękuję ci. To już późno być musi.

— Godzina trzecia wybiła.

— Doktor mówił do mego Andrzeja, że nie dożyję godziny 12ej.

— Jak się przekonywasz, konsyliarz pomylił się najwyraźniej.

— Tak, pomylił się, ale o kilka godzin tylko, gdyż ja czuję zbliżający się koniec. Mysł moja była już na sądzie Bożym — i tylko jakaś niewidoma siła przywołała mnie na chwilę do ziemi.

— To ja ci dałem trzy proszki, które cię orzeźwiły, a kto wie, czyli ci nie powrócą zdrowia na długie jeszcze lata.

— Nie, nie, — próżna nadzieja, chociaż wyznaję szczerze, że żał mi umierać bez pozostawienia po sobie użytecznych dla ludzkości pamiątek ... Zmarnowałem lat kilkadziesiąt ... wina to moich rodziców ... mojego wychowania. Przy schyłku dopiero zamierzałem pracować ... Bóg nie dozwolił tej jedynej ... tej upragnionej pociechy ...

— Nie rozczulaj się.

— O! gdyby nie ta kłótnia z panią hrabiną ... możebym nie był popadł w tak ciężką chorobę, — byłbym przy bibliotece pozostał, — byłbym pracował ... Ale niepodobna mi było rzec się uczucia prawdy! ... Kazała mi zdjąć rysunek z tej obory ... oni tam bydło umieścili na górze, osły na pierwszym piętrze ... a ludzi na dole.

Andrzej. Zawsze panisko o jakiejś oborze majaczy ...

Spirydyon. Odmówilem tej usługi, odra-

działem hrabiemu, twierdząc, że naśladować przebrzmiałych urojeń zwyczaj, urągać chrześcijańskiej wierze odrodzenia ludzkości... jest dzisiaj występkiem... Ale ta podrzędna chęć publicznego blasku, to *ja*, mordujące ludzkość całą... to *ja*, najzjadliwsza trucizna — gangrena społecznego ciała... dla tego, gdyby i w najdrobniejszych, w najniewinniejszych na pozór szczegółach, każdy odcień szatańskiego *ja* należy bez żadnego względu tępić i niszczyć, — gdyby przytem przyszło i część zdrowego ciała skaleczyć... Auguście! weź scyzoryk i wyrznij z mojego ciała to *ja*, które mnie czyniło *nicością* przez lat 40...

Andrzej. Ojciec nasz, któryś jest w Niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja...

Spirydyon. Jako w niebie tak i na ziemi. Rozumiesz ty, bałwanie, co to jest: „jako w niebie tak i na ziemi.“

— Panie Spirydyonie, nie unos się gniewem... któż widział w czasie słabości...

Chory uściśnął moje rękę, wznosił oczy do góry i cichemi usty szeptał coś do swjej duszy, — zimne krople wystąpiły na jego czoło i zażądał księdza, — i dwie łzy stoczyły się po jego licu.

Czyniąc zadosyć pobożnej woli chorego, natychmiast wysłałem Andrzeja po księdza, a tymczasem jałem mu wykladać znikomości swia-

towe, szczęśliwość przyszłego żywota; — powiedziałem mu o miłosierdziu Boskiem, podsycałem jego żal i skrucę za grzechy, jakie kiedykolwiek popełnił, — a gdym spostrzegł, że na wspomnienie grzechów niby frebra go trzęsła, więc znów zacząłem w ogólnikach mówić o znikomościach światowych i tak jakoś długo otych znikomościach mówiłem, aż oczekiwany ksiądz nadzszedł i godnie mnie wyręczył w religijnej powinności przygotowania duszy Spirydyona na daleką wędrówkę.

O godzinie 5ej sprowadziłem księdza ze świecą po wschodach, a gdym do pokoju wrócił, już chory ostatnie oddał tchnienie, a jego ręce na krzyż złożone, były zimne i na wieki wieków martwe.

Podumawszy chwilę nad niedocieczoną zagadką przyszłości zmarłego człowieka, zapaliłem sygaro i wezwałem Andrzeja, aby mi podał lak i pieczętkę do opieczętowania stariej sosnowej szafy i olszowej na trzech nóżkach komody, jedynych sprzętów, mogących zawierać jakakolwiek po śp. Tryllerskim puściznę. — Lecz Andrzej upewnił, że szkoda laku, bo ani w komodzie ani w szafie żadnych rzeczy nie było.

— A gdzież jest garderoba nieboszczyka?

— Zastawiło się na lekarstwa.

— Jakto, wszystkie rzeczy?...

— Wszystkie, proszę pana, nie masz ani jednego kawałka.

— A w czymżeż go pochowamy? . . .

— Proszę pana, jest szlafrok.

— Głupiec z ciebie; widziałeś też, żeby kogo chowali w szlafroku.

— E! proszę pana, to jeszcze nowy szlafrok; dadzą się świeże szkarpetki i te haftowane pantofle od panny Emilii. Zresztą w czymżeby go inném pochować, kiedy *het* wszystko żydzi wynieśli. To nie żart przez sześć tygodni ratować się samą garderobą, bo zegarek i ten pierścionelek od pieczętowania zastawiłem zaraz, jak pan odstał z biblioteki . . .

— Słuchajżeż, ja przysię tutaj moje rzeczy, ubierzesz w nie nieboszczyka, bo w szlafroku nie można go kłaść do trumny.

— Na nic się nie zdało; nieboszczyk głową wyższy od wielmożnego pana, a toćżeby w pańskich rzeczach wyglądał na trzy dziwy i na czwarty śmiech. Już mnie wielmożny pan usłuchaj; pochowamy go w szlafroku, bo też nieboszczyk najbardziej lubiał w szlafroku.

Na trzeci dzień było dżdżysto i posępno, błota na Starém Mieście po kostki. O godzinie 3ej z południa przed narożną kamienicę zatoczył się parokonny karawan. — Na drugiem piętrze zeszło się szczupłe grono przyjaciół, literatów i znajomych; — przybył ksiądz z parafii ś. Jana, odmówił modlitwy, święconą wodą pokropił; — po raz ostatni przypatrzyliśmy się regularnym rysom twarzy nieboszczyka; wre-

ście Andrzej głośno zapłakał, — włożono wieko i ostatnie uderzenie młotka głucho o puste obito się ściany.

Na cmentarzu nie było księdza, nie było mowy pochwalnej, — kilka garści piasku rzuconych ręką życzliwych osób, — otóż i koniec pielgrzymki Spiridyona Tryllerskiego, niegdyś zamożnego obywatela wiejskiego, przed śmiercią exhibitotekarza i pocziwój woli współpracownika Dzwonu literackiego.

Pozostało po nim tylko przyjazne spomnienie w sercach tych osób, które go bliżej poznały, i pozostał rękopis *tabelki bibliograficznej*, którą po uporządkowaniu w następnych poszytach drukiem ogłosić nie omieszkam, jako wypłatę długu wdzięczności zmarłemu i jako częściowe wywiązanie się*) względem moich czytelników.

Tymczasem oświadczam, że osieroconą katedrę bibliografii do następnych poszytów rychło opatrzę.

*) Zobacz poszyt pierwszy str. 97.

ZDARZENIE Z ROKU 182...

Z POCZĄTKU SMUTNA, PRZY KOŃCU WESOŁA
RAMOTKA.

ZDARZENIE Z ROKU 182...

Z początku smutna, przy końcu wesola Ramotka.

Są ludzie, którzy się *w czepku rodzą*, — wszystko, czego się dotkną, zamienia się dla nich w pomyślność; szczęście ani proszone ani marzone wali się do nich drzwiami i oknami, każdy zbieg okoliczności nową dla nich niesie korzyść; najprzyjemniejsze niespodzianki biegną ku nim na wyścigi; w życiu domowém wiecznego doznają zadowolenia; w podróży nigdy tym ulubieńcom losu ani koło nie pęknie, ani się oś nie złamie, ani koń nie zakuleje; — błoto przed nimi wysycha, deszczyk w samo prawie przytłumi nieznośne kurzu tumany; w lecie słońce im w oczy nie świeci, w zimie mróz przed ich wyjazdem wolniej; — wieczorem najpogodniejszy księżyc oświeca ich drogę; najśmielsze muchy, namiętnie naprzykrzone komary, nawet najenergiczniejsze pchły nie ukąszą ich nigdy.

Są znów inni ludzie, którym się nie nigdy nie wiedzie, których wszelkiego rodzaju nieszczęścia na wszystkich drogach ścigają; którzy nie przyjemne wypadki i przypadki za zwykłą, za powszednią uważają kolęję; którzy jednego nie uczynią kroku, żeby im jakie licho drogi nie zaszło. Do tych innych ludzi i ja mam honor należeć. Nie rzeknąc o nieszczęściach na wielką skalę, bo te mnie nigdy mijać nie zwykły, drażliwych nieprzyjemności mam zawsze najpełniejszą miarę a cierpkich wypadków i niemiłych przypadków — aj! aj! rok rocznie na kopy liczyć mogę.

Dla tego, gdy się w podróż wybieram, zawszem ciekawy, co tam nowego bies dla mnie zgotował.

Niekiedy z wiatru ukręci zaczepkę i, wyraźnie strojąc sobie żarty, stawia mnie w położenie nie tylko smutne, ale zarazem i komiczne; proszę posłuchać na przykład, co mi się przytrafiło w roku tysięcznym ośmsetnym dwudziestym piątym czy szóstym — z pewnością zaręczyć nie mogę, — ale o rok mniejsza, nie jestem chronologicznym dziejopisarzem.

Wjeżdżając do bardzo lichego miasteczka (w Galicyi), uwiedziony zbyt nędzną powierzchownością domów, lub też z roztargnienia pytam się jakiegoś w dłuższej zaszarganej kopocie waszecia: „jak się ta wieś nazywa?“ Waszec zamiast właściwej odpowiedzi schwycił lejce na-

ręcznego konia, przytrzymał i spytał: — Masz jegomość paszport? . . .

— Mam — śmiało odrzekłem.

— Proszę do pana burmistrza

Za późno spostrzegłem się w błędzie; rad nie rad wysiadłem z bryczki i w milczeniu udałem się za moim przewodnikiem.

Przed maleńkim domkiem, na którego ścianach jaskrawymi farbami winograd był namalowany, siedziała jęćmość, około 50 lat wieku licząca, cerując okropnej wielkości szkarpetkę; obok niej z pewnem uszanowaniem stał mało-miejski młodzieniec, czytając jakieś papiery.

— Proszę pani prezydentowej — ozwał się wiodący mnie waszec, — jestem dzisiaj na służbie i oto przyharezstowałem jakiegoś podejrzanego pana, który nie wiedział, że nasze miasto jest miastem, i mnie się spytał, „jak się ta wieś nazywa? . . .“

Pani, cerująca szkarpetkę, wstrzymała nader dla swojego mężulka pożyteczną pracę i, gniewnie spozierając na mnie, wyrzekła do służbę czyniącego waszecia.

— Zaprowadzisz tego podróżnego człowieka do więzienia miasta naszego. — Odwracając się zaś do młodzieńca: — A pan, panie pisarzu, spiszesz protokół zeznania Wojciecha Gieruszki i zdejmiesz rysopis z tego człowieka, który nie wiedział, jak się nasze miasto nazywa.

Napróżno okazywałem paszport, wszelkie

moje tłumaczenia były bezskutecznymi; — zgromadziło się kilku obywateli miasteczka, — pisarz na wielkim arkuszu szarego papieru opisał mnie jak węża; — schwycono mnie za kołnierz — otoczony jakby z ziemi wyrosłą zgrają chłopaków a co więcej żydów płci obojęd, — ot bo żydów w naszych miastach i miasteczkach przy żadnym zdarzeniu nie braknie, — powędrowałem do kozy.

Niewinność wlewa w serca nasze niewysłowny balsam pociechy, ale nie wszędzie i nie zawsze; ówczesna moja niewinność była przyczyną mojego najwyższego gniewu; — ledwom nie pękł ze złości, że mnie jakiś waszec w szarganej kapocie w pilnej podróży zatrzymał, a szkarpetkę cerująca białogłowa aresztować kazała.

— Gickste! jakie on ma małe oczy!... Giekste, ma jelonkowych rękawiczek na ręce. Fejner Poritz... szwargotały żydziaki, obiegające mnie w koło.

— A tobie, kądzu, co do moich oczów?... Chcesz, abym rękawiczki nosił na nodze? — nie zastępuj mi drogi, bo cię pięścią w munsztuk uderzę.

Żydziaki się rozpierchły; przestąpiłem próg budki drewnianej z żelazną u małego okienka kratą; Wojciech Gieruszka drzwi za mną zamknął na rygiel.

W moim życiu, bynajmniej szkolnej kozy

nie licząc, po kilka razy drzwi za mną zamykali, ostatni wyrok z roku 1832 był na lat dwanaście, — ale nigdy tyle cierpkiego nie doznałem uczucia, jak gdym przezedrzwi posłyszał mówiącego Gieruszkę:

„Niechno pan prezydent powróci, to mu się *pewnikiem jeszcze* i pod surducik dostanie: już ja mu na ruski miesiąc przysolę, żeby znał, co wieś a co miasto!“

A kto wie, pomyślałem z rozpaczą, czyli mi prawem kaduka pół kopy nie sypną?... potem skarż, procesuj się o gwałt, 77 wyroków nie zdejmie ci pierwszego namaszczenia. Otóż to są skutki niedostatecznej znajomości kraju swojego. Nie darino w mojej cenzurze szkolnej wyraźnie napisano:

„Postępy w jeografii małe.“

Drodzy, stokroć sercu mojemu drodzy szkolni młodzieniaszkowie! jeżeli wam ta Ramotka pod oczy podpadnie, — bacście, abyście się pilnie jeografii uczyli.

Komórka, do której mnie zamknął Gieruszka, była w najściślejszym znaczeniu matematycznym doskonałym sześcianiem: w szersz w zdłuż i na wysokość ani mniej ani więcej nad łokci miary reńskiej 3 i $\frac{3}{4}$. Ściany, podłoga i górna podbitka były z grubych dębowych bali. Prócz kilku garści mocno przegniłej słomy i dzbanka z wodą niczego więcej dostrzedz nie mogłem, — bo pajęczyny, obficie po wszyst-

kich kątach rozwieszonój, i łupin od ziemniaków, które moi poprzednicy w tém miejscu niedoli pozostawiali, do żadnych sprzętów ani do wygod liczyć nie mogłem. Usiąść na podejrzanój słomie wcale nie mając ochoty, króciuteńkie stawiałem krocзки i ciemne czyniłem sobie domysły, rychło li téż pan burmistrz z powiatowego miasta powróci? . . . Przypomniiał mi się Jędrzej z bryczką i z końmi; nasunęła się obawa, aby mi rzeczy nie skradziono; rozważałem skutki z wstrzymania nadzwyczaj ważnej i pilnej podróży; — przy czém wszystkiém zawsze mi się mimowolnie po głowie kręciła obrzydliwa groźba Wojciecha Gieruszki. Tymczasem zmierzchno się na dworze, ciemna noc zapadła, w miasteczku ucichł gwar żyjących ludzi, — tylko świstanie nocnego stróża głębokie niekiedy przerywało milczenie. Rezygnacyo! tyś tylko wielkich dusz udziałem: — o godzinie 12ej położyłem się na stęchłej i przegniłej słomie, — napiłem się wody i z czystém sumieniem, dzięki mojej pocziwój naturze, zasnąłem na twardo.

Wielu badaczy ludzkiego istnienia i wiedzy ducha naszego utrzymuje, że sny są mniej więcej spomnieniem (lub przeczuciem) czynności jawu naszego, — i tak się téż rzecz miała podczas téj mojej nocy więziennój. Śniłem, że niezliczone wojsko dzikich ludów opadło mnie do koła, że z najwścieklejszą zaciętością kłują

mnie na wszystkie boki, że piki, dziiryty i oszczepy więzną w ciele mojem . . . Po bardzo długiej a okropnej męczarni . . . budzę się — słabe światło już owidniło moje posłanie: komary, pchły, pluskwy, prusaki (rodzaj robactwa), karaluchy i t. d. czerniły się na mnie, jakbym był pokryty z czarnego sukna zasłoną, — ciało moje najdrażliwszy ból przejmował. Zrywam się jak szalony, aliści tu na szyderstwo mojego gniewu i wściekłości *czarna krówka* w nos mnie *pafnęła*, a przez zakratowane okienko patrzy się na mnie z ulicy wartujący żyd z halabardą w ręku. — Rzymianinie! Regulusie! wiele cierpiełeś, ale w tę chwilę moje cierpienie było stokroć wyższém . . . O! bo cierpieć dla głupstwa ludzkiego jest rzeczą najboleśniejszą.

Jeszcze nie ochłonął z najdotkliwszego uczucia, gdy drzwi otworzono i Wojciech Gieruszka, ciągle na służbie będący, popchnął ku mnie w łataném odzieniu siwo-brodego starca żebraka, — i znów potężnym kluczem rygiel zasunął. Pierwszy promień wschodzącego słońca jaskrawe rzucił światło na twarz niešťęśliwego, w sercu mojem powstało niczem nie tamowane dla niego spółczucie; — żał mi bowiem było niemal nad grobem stojącego starca, którego najsmutniejszy los do więzienia popycha. O bo niechaj siły męzkie walczą z najtwardszemi przygodami życia, ale niechaj najmniejszą dzieci i zgrzybiałe starce wolnemi

będą od jego żelaznych pocisków. — W rysach twarzy mojego towarzysza widoczném było, że jego dusza cierpiała, że jego boleść była myślową, boleść nie zwierzęca, ale boleść człowieka. Kiedy go do komórki wtrącono, nie spojrział na mnie, nie oglądał otaczających przedmiotów, ale oczy wznosił do góry i zdawało się, że całą duszą modli się do Boga. Długo nań w milczeniu patrzałem, lecz gdy się po jego licach, ciężką zoranych starością, dwie łzy stoczyły, ujmując go za rękę, życzliwym wymówiłem głosem:

— Starcze! ziemskie cierpienia przemina — zbytchnemu nie oddawaj się żalowi.

Przeciągłym wzrokiem popatrzył się starzec na mnie, a potem rzekł: „kto się nad cierpiącą starością lituje, niechaj będzie pewnym łaski przedwiecznego Boga.“

Te wyrazy, wymówione z jakąś uroczystą godnością, uprzedziły mnie, że ten starzec nie jest pospolitym żebrakiem; — ciekawość moja została zbudzoną, — wszczynając więc rozmowę, starałem się taki jój nadać kierunek, abym starca do opowiadań swojego życia nakłonił, co mi się téż pokrótce z łatwością udało.

— Jak miarkuję — mówił starzec — radziłyście usłyszeć historią życia mojego. Zapewne jesteście godni mojej szczerości i mojego zaufania. Ja wam opowiem treść, bo do wszystkich szczegółów pamięci nie starczy, — pasmo

dni z burzliwego życia lat ośmdziesięciu to morze zdarzeń i wypadków. Urodziłem się synem bardzo majątnych rodziców, było nas dzieci ośmiu, ja byłem najmłodszy. Ojciec mój piastował kilka obywatelskich urzędów; dom nasz był dniem i nocą otwarty, — gościnność moich rodziców była znaną nie tylko w województwie naszym, ale na całej Wielko-Polsce.

— Ludziom przyharsztowanym nie wolno o takich rzeczy prowadzić rozmowy, — ozwał się z poza okienka wartujący żydek, — w przeciwnego razie ja będę wszystkiego powiedział panu prezydentowi, jak on do domu powrócie.

— Żydku, stul jadaczkę i nie przeszkadzaj nam, lepiej-byś zmówił ranne modlitwy i pana Boga za Mesyaszem poprosił, bo go podobno Chińczyki przyaresztowali w drodze, a on wprost tutaj do was najpierw przyjechać chciał.

Uśmiechnął się starzec; żydek nie dowierzając zupełnie, ażali w tak ważnym przedmiocie przypadkiem czego się nie dowie, wsunął twarz pomiędzy kraty okienka i bardzo delikatnym głosem zapytał:

— Gdzie to pan tego słyszał, że Mesyasa przyharsztowali?...

— Jam tego nie słyszał, tylko czytałem w angielskich gazetach.

— Co to jest *angielskich gazetach*?...

— To są takie drukowane arkusze, z których się dowiedzieć można wszystkiego, co Me-

syasz robi, gdzie się obraca, gdzie nocuje i którą jedzie drogą...

— Co pan muwie?... to chyba tak nie jest prawdę?...

— Chcesz, wierz, nie chcesz, nie wierz; mnie to ani grzeje ani ziębi, bo ja nie żyd, on do mnie nie przyjedzie.

— Ny, a nasze starszyznę tego nie mają wiedzieć?...

— Najstarsi to wiedzą, ale wam z małych miasteczek nie powiadają, bobyście wszyscy odbiegli handlu i wszelkiej roboty i poszlibyście naprzeciwko Mesyasza; — a coraz byłoby was więcej — i potem byłoby was bardzo wiele milionów i byłby głód i jakbyście się wszyscy do kupy zeszli, to-by wam nikt nie potrafił dostarczyć ani ryby na szabas, ani czosnku, ani kugla...

Po tych wyrazach żydek zniknął z okienka; ale jeszcześmy się ze starcem śmiać nie przestali, gdy rudowłosy judaszek powrócił z osiwiałym żydem i na nowo pytać począł.

— Gdeby pan tego potrafił nam udowodnić, że pan tego, co mówił, jest prawdę, to my moglibyśmy zrobić dla pana wielgie przysługę i prezent darować...

— A jakżeż ja wam to mogę udowodnić, siedząc w kozie!

— Ny to frachy, jużby my zrobili, coby pan burmistrz pana wypuścił, — i bez burmi-

strza może być tego. Czy pan tylko ma takiego gazetów? Gdzie jest pisane, że Mesyasz przyharezstowany na swojego do nas podróży?

— Mam, ale tylko kawałek.

Zaszwargotał młody do starego, a potem, głębiej wsadziwszy nos przez kratę, mówił po cichu:

— Teraz już dzień, ale w nocy to my was będziemy puścili, jeżeli nam będziecie dać tego gazety.

— Nie dam, bom ja tylko pod sekretem pożyzył, ale mogę wam przeczytać.

Wyjmując z bocznej kieszeni wielkiego formatu *Journal des Debats*, przed trzema laty drukowany, który do zapalania fajek w podróż zabierałem, przed sam nos żydka pół-głosem improwizować począłem:

„Dnia 4 października o godzinie 2ej po północy, kiedy słońce oddaliło się od księżyca na 476,897 mil, a na ekliptyce rak w pannę się zamienił, Mesyasz stanął w chińskim miasteczku Ki-ko-koung i wysiadł do bardzo nauczonego Ben-Dawida Fajgel Charabaldes...

— Styl! — (stille!) — zawołał żyd stary.

Od strony pomieszkania pani prezydentowej szedł pisarz pana burmistrza, za nim postępował garbaty żydek niskiego wzrostu z trzyłokciową halabardą i Wojciech Gieruszka, który niósł wielki dzban wody i bochen razowego chleba. Otworzono drzwi, pan pisarz burmi-

strza wejrzał do komórki zapewne dla naocznego przeświadczenia się, czyli aresztowani nie uciekli; Wojciech Gieruszka dzbanki przemienił, dobył z kieszeni nóż składany, w żółtą kość oprawny, (kozików, cyganków obywateli nie używają po miastach) rozzerznął bochen chleba na dwoje, jedną połowę dziadkowi, drugą mnie doręczył; na moje zapytanie, czyli pan burmistrz nie powrócił, ani jednego nie odpowiedział słowa, drzwi zamknął, wartę zmieniono, i było ciicho i głucho. Jenó zdala dochodził uszu naszych głos kobiety: „maluś — maluś, niudy, niudy, — niudy, niudyszki!...“ — jakaś chrześcijańska niewiasta zwoływała nierogaciznę, którą na noc w żydowskie puściła ogrody.

Po chwili ozwał się dzwon kościelny. Starzec rozpoczął mówić pacierze, jam się przeżegnał i jałem razowy chleb zajadać. Wy, coście w zniewiesiałém życiu swoim ani w polu, ani w obozie, ani w więzieniu razowego nie kosztowali chleba, nie możecie wiedzieć, jak ten chleb ludu, jak ten brykacz żołnierski smakuje.... Może który z was z mody, przy herbatce, cieniuteńką omaśloną skibeczkę przekąsił i mową Franków wybąkał: „*c'est forte bon*“, ale żaden z was, piecuchy, nie wie, jakieto *bon* dla zgłodniałego żołądka, gdy się pół bochna źródlaną wodą popije i okruszyny pozbiera. Biedne toaletowe lalki! nie litujcie się nademną, czytając, żem chleb razowy w tak znacznej ob-

fitości zajadał, bo moje najdroższe marzenia wtenczas-by się dopiero ziściły, gdybym przez wszystek żywot mój chlebem razowym żywić się mógł w polu, w obozie, a w latach mojej starości — pośród ukochanego ludu wiejskiego. Wy to moje marzenie wszystkich życzeń moich nazwiecie sielanką, a zaprawdę jest to jedyne na ziemi pragnienie duszy mojej, serca mojego. Wy tego, lwiątko w glansowanych rękawiczkach, za stołami francuzkich restauratorów nawet myśłą swoją doścignąć nie możecie, — dla was pieszczona zmysłowość jest życiem całego życia, — biedne! malutkie żyjątka!...

Pawełek nałóż mi fajkę. — Ciąg dalszy nastąpi.

NAJWYRAŹNIEJSZA
RZECZYWISTOŚĆ

A PRZECIEŻ

NIERZECZYWISTOŚĆ.

Najwyraźniejsza rzeczywistość a przecież niereczywistość.

(Z najświeższych rękopisów ułamek.)

Żyją na bożym świecie tacy człeczkwie, dla których wielką jest przyjemnością (mianowicie podczas lata), wystawiwszy nos na słońce, spać godzin kilka bez względu, że przez noc całą spali bez przerwy, bez względu, że Bóg dzień do pracy przeznaczył, bez względu, że z godziną śmierci zasną po dzień sądu ostatecznego. Owi człeczkwie nazywają się podobno „*Bracia Śpiący*“, zaszczycają się opieką aż 7 patronów i mają bardzo poważne *statuta*; — ale o tém innym razem. Obecnie składając najuroczystsze zapewnienie, że bynajmniej do *Braci Śpiących* nie należę, za świeżej pamięci opowiem, co mi się dzisiaj wśród białego dnia przytrafiło.

Rano o godzinie 8 wybiegłem na miasto, — już było ciepła stopni 16; — odwiedziłem cztery księgarnie; byłem u Magenficha; zająłem do drukarni; za Żelazną bramą obejrzałem nowy papier z Jeziorny; w komitecie cenzury rządowej zyskałem podpisy niektórych rękopisów, — a gdy wróciłem do domu, było już południe. Nie wiem, czy skutkiem utrapień, czy też ze znudzenia fizycznego zasnąłem na twardo. Z początku ciemne, następnie coraz jaśniejsze obrazy rozpostarły się przed memi oczyma i szczególniejsze widma trapić mnie poczęły, jak gdyby na jawie utrapień podobieństwem nie było. Najprzód zdawało mi się, że jestem na bardzo obszernej płaszczyźnie urodzajnej ziemi, którą jednakże po większej części ubogi, w łachmany okryty lud zamieszkiwał, — gdzie nigdzie tylko spostrzegłem jakieś świecidełko, rażącą z łachmanami stanowiącą sprzeczność.

Potem jechałem niby do kościoła, i w lesie zastąpili mi zbójcy, żądając, abym im oddał jedyną z ojcowizny puściznę... bili mnie, mordowali i byłiby może zabili, ale wtem zapiał kogut — prosięta kwiczeć poczęły — ludzie jechali na jarmark, zbójcy uciekli a ja przywlokłem się do domu. Zastałem żonę płaczącą, skarżyła się, że ją serce bardzo boli; wtem przyszedł posłaniec z poczty i przyniósł mi list od Kou-Houng, komisarza chińskiego, z uprzej-

mą prośbą, abym peruki nie nosił, iżby mózgu zbyt nie zagrzewać.

Zaledwo żem chińskie pisanie przeczytał, wtoczył się z dwoma świadkami komornik i na rzecz Abrahama Lirbasa, w *imieniu prawa*, zabrał mi sześć arkuszy nie zapisanego papieru, — więcej nie znalazł.

Ledwo że komornik w *imieniu prawa* czynność swoją ukończył, otworzyły się drzwi na rozcież i poczęło się tłoczyć do mego pomieszkania mnóstwo żyjątek rodu człeczego płci obojg:

Wysocy, nizcy, tłuści, chudzi, czerwoni, żółci, bladzi, z długimi nosami, z krótkimi nosami, z czuprynami, z lokami, bez czupryn, w perukach, z łysinami, prości, ułomni, kulawi, zyzowaci, — zgoła zdawało się, że nikogo nie brakuje, a było ich z górą osób czterysta. Na widok tylu gości nie mogłem znaleźć wyrazów przywitania, gdy wtem jeden z nich, w granatowym odzieniu, z okularami na nosie, zapytał mnie:

— Czy tu jest redakcyja zbiorowego pisma *Dzwonu literackiego*?...

— Tak jest, — odrzekłem z pośpiechem.

— Czy pan jesteś redaktorem?...

— Spółredaktorem i głównym redaktorem.

Ledwo żem te słowa wymówił, jak panowie i panie krzykną i hukną, rozumiałem, że mnie w drobne rozszarpią kawałki. Byli to nie-

mal wszyscy prenumeratorowie Dzwonu literackiego, przybyli upominać się o zwrot pieniędzy, twierdząc, że *Dzwon literacki* nie odpowiedział ich oczekiwaniom, że zdradził powszechne zaufanie, że nie znam warunków pism zbiorowych, że drukuję artykuły ni *w pięć ni w dziewięć*; it.d. it.d. it.d.

Na tak bolesne zarzuty, wyrzeczone hurmem, języka w gębie zapomniałem, i ta to gęba, której przecież na to daje jeść, aby gadała, w najpotrzebniejszym razie umilkła jakby zakłeta. Lecz gdy się państwo nieco uciszyło, stanąwszy za mym redaktorskim stołem, odkrąknąwszy, w następujące do nich odezwałem się słowa:

*Przezacni plci obojęd prenumeratorowie
Dzwonu literackiego!*

Pobłażanie należy do najpiękniejszych cnót chrześcijańskich; pobłażanie ułomnościom naszym utwierdza wiarę w zacność człowieczeństwa; nakoniec ustala wzajemną miłość bliźniego.

Do potępienia człowieka potrzeba tylko nieco złości i nieco powszedniego rozumu, — do pobłażania potrzeba szlachetnego serca i na wielkiej wiedzy opartego sądu, — sądu, zdolnego rozróżnić tysiączne odcienia krzyżujących się okoliczności, przyczyn i skutków.

Ale zanim się do waszych szlachetniejszych uczuć pobłażania odwołam, dozwólcie, że

się zapytam, jakie to szczegółowe zarzuty ciążyą na *Dzwonie literackim*?...

— Dla czego Wać pan nie drukujesz poezyi?... zawrzała jakaś pani, mająca na rózowym kapelusiku wypisaną liczbę 37.

— Pani — odrzekłem z głębokim ukłosem — któżby z śmiertelników nie pragnął poezyi?... téj Boskiej poezyi, o której powiedziała Putifara żona, wielkorządzczy Egiptu, że jest orzeźwieniem ducha, odgłosem najdroższych serca popędów, elektryczną iskrą naszego działania. Poezją, pani! w *Dzwonie* umieszczać, jest mojem najgorętszém życzeniem, ale daję pani słowo wielbiącego cię kawalera, że zachodziły niezłomne przyczyny, dla których dotąd wyborowej poezyi drukować nie mogłem.

— Nr. 13 (Nizka, nieco zyzem patrząca blondynka.). Któż panu poradził drukować artykuł o skamieniałościach, — cóż pan sądzisz, że my mamy strusie żóładki?...

— *Ja*. Rozpoczynając nową budowę, uznałem za właściwe użyć kamieni do fundamentów; nadto pragnąłem okazać czytającej publiczności, że nauki ścisłe mają u nas zawsze pierwszeństwo przed utworami fantazyi lub osobistego widzenia.

— Nr. 385 (Rumiany z sumiastym wąsem, kardeszowaty jegomość). Jakież związok ma pańska Ramotka o Byczykowskich z naukami ści-

słemi?... Dla czegoż pan ciągle atakujesz szlachtę?...

— *Ja*. Panie dobrodzieju! jednolitość treści artykułów nie jest bynajmniej warunkiem pism zbiorowych; rozmaite zdolności czytelników wymagają rozmaitych przedmiotów, a główny redaktor winien tylko przestrzegać, aby wszystkiemu przewodniczyła myśl postępową, moralną, aby nawet cień myśli wstecznej nie przesunął się po kolumnie pisma, wychodzącego pod jego firmą. — W Ramotce o Byczykowskich nie jest, jak pan nazywasz, atakowanie szlachty, ale objawiona ironia dla tych, którzy są bezużytecznymi członkami społeczeństwa, a na bogatym ożenku całą swoją przyszłość budują. Autor malował Byczykowskiego, a że to był szlachcic, nie autora w tém winą. Wszakżeż nie zapieram się, że chętnie chwytam za czuprynę tych, którzy nie na różnicy moralnego ukształcenia i użytecznej działalności, ale na ślepym trafie urodzenia wartość swoją opierają. W zwierzętach przyznaję różnicę ras, w ludziach widzę jeden tylko pierwiastek — duchowość Boską, spólną dla całego rodu człeczego, — i miara czynów, z téj Boskiej duchowości pochodząca, jest miarą, podług której pojedynczego człowieka cenię, to jest poważam lub karzę. W człowieku człowieka tylko uznaję, dla pogańskich bożyszców nie mam kadzidla, — i jeżeli mi to panowie za winę poczytujecie,

należę do najwinniejszych; a to wyznanie czynię z prawdziwą chlubą i rozkoszą i dziękuję wam za sposobność złożenia świadectwa w życie ludzkości coraz więcej wcielającej się prawdy.

— Nr. 184 (Garbonos nieco ułomny, fabrykant świec). Co nam tam o indywidualne zasady waćpana, — my chcemy, abys nas, panie, bawił wesołemi ramotkami i kwita.

— *Ja*. Jeżeli panu idzie tylko o wesołą zabawę, przepraszam najmocniej, że obecnie nie jestem usposobiony do rozweselenia szanownych czytelników, a kontraktu téż na ciągle rozweselenie z nikim nie zawierałem. Przedsięwziętem wydawać pismo zbiorowe a nie Momusa.

— Nr. 399. (Wychudzona, z pargaminowém obliczem, mała ale diabelnie uczona figurka). A dla czegoż to pan redaktor nie umieścił dalszego ciągu rozbiórów dzieł Cieszkowskiego?

— *Ja*. Przezacny dobrodzieju! wielce szanowny autor artykułu o dziełach czciwego Cieszkowskiego chorował przez sześć tygodni i dopiero wczoraj zdążył ukończyć tę tak obszerną i potrzebującą głębokiego zastanowienia pracę. W najbliższych poszytach umieści się ciąg dalszy.

Następnie wiele się jeszcze kolejnych odzywało głosów z żadaniami najpociesniejszemi; jakiś tłusty jegomość skarżył się, że poszyty Dzwonu są zbyt chude; byłem więc zmuszony przeliczyć arkusze i okazać, że nie po 5,

jak przyrzekłem, ale po 6 i po 7 arkuszy w jednym poszycie szczelnie drukuję, — a zatem że cienkość papieru za zarzut służyć nie może. Znow jakas bielidlami i różem opatrzona jejmość objawiła skromne życzenie, abym coś pisał o modzie strojów i zapytała, czyby nie można umieszczać w Dzwonie rysunków mody. Naturalnie żem urożowaną damę odesłał do Dziennika mód. Trudno powtórzyć wszystkich żądań, które bez ładu i bez liczby objawiali panowie prenumeratorowie i panie prenumeratorki; — a toćże chcąc każdemu dogodzić, potrzebaby 200 arkuszy na każdy poszyt drukować. Ale najgłośniejsze krzyki wzniosły się przy dopominaniu się o powieść i o romans!...

Prawda, że w tych lekkich potrawach rozpowszechniają się niekiedy myśli bardzo pożyteczne, ale i to jest także prawdą, że zamiłowanie powieści wielu zdolnych młodzieńców odwiodło od nauk zasadniczych, od pracy fundamentalnej — bo dzisiaj dosyć jest spisać kilkanaście arkuszy zdań oderwanych, związać je brudną intrygą, przypisać użytym efektem, dać modny tytuł, — aby zyskać imię literata. Dawniej kwestye żywotne rozbiegano na katedrach, dzisiaj lada piszyk ogłasza w powieściach sąd płytki, lub co gorsza, zupełnie fałszywy. Drugostronnie — ponieważ niewysłownie cenię każdą naukę dla mas — przeto

piszę się za powieściami i dla tego dopominających się o powieści prenumeratorów Dzwonu zapewniłem, że starać się będę, aby mniej więcej w każdym poszycie była albo powieść ohydzajowa, albo historyczna, lub też romans przyzwoity. Czyli zaś te powieści będą miernościami czy pięknościami, uprzedzać nie mogłem, zapewniając jedynie, że, gdy jest co do wyboru, wybór uczynić potrafię. W końcu oświadczyłem panom prenumeratorom, że okoliczności... *tedy ten*... lecz że jest nadzieja świetniejszej w literaturze barwy, i że tylko należy mieć czytelnikom cierpliwość a Dzwon literacki głos swój o wiele poprawi i oczekiwaniu zacnych prenumeratorów w zupełności odpowie. — Poczem bez poniżenia, z godnością wezwałem obecnych, aby brakiem wytrwałości nie przyczynili się do upadku pisma, — przeciwnie aby *defektów* w egzemplarzach nie czynili a niebawem przedpłatę na drugi tom złożyć raczyli. Już przeciwnicy udobruchali się i poczęli sięgać do sakiewek, gdy w tak stanowczej chwili — ucułem mocne naciskanie ręki. Budzę się! — Pawełek donosi, że z drukarni przysłali po papier na szósty poszyt Dzwonu literackiego.

— Ach kochanku! gdybyś mnie nie zbudził, byłyby pieniądze i na papier i dla ciebie na zasługę. Lecz cóż począć?... ruszaj prędko i poproś do mnie pana Magenfisch; — chłopca z drukarni obstaluj na jutro.

**SPIS RZECZY,
w tomie piątym zawartych.**

58615

	Stron.
Tulipcia wychowanka panny Chourgotte	1
Trudno uwierzyć a jednakże i trudno nie wierzyć	39
Nadzwyczaj rzadka w kraju naszym osobliwość	47
Słów kilka o pannach bardzo dobrze ułożonych; o pannach, które nazywają osobami dystygwowanemi; o pannach frontowych; o pannach, które mają pięknie umeblo- waną główkę, i o pannach gospodarnych	53
Co znaczy, gdy młodzieniec jest dobrze, gdy jest bardzo dobrze i gdy jest skończony	59
Józef Ignacy Kraszewski w Warszawie	67
Kafarek. Z tysiąc zdarzeń jedno	101
Szlachetny nieznamy	125
Kubuś się przeciera	159
O dobrem wychowaniu	173
O dorobkowiczach	179
Przedślubne przygody Juliana Byczykowskiego, młodzieńca pełnego nadziei bogatego ożenku	185
Jarmark w Łowiczu	251
Ostatnie chwile, śmierć i pogrzeb ś. p. Spiridyona Tryller- skiego	269
Zdarzenie z roku 182..., z początku smutna, przy końcu wesoła Ramotka	281
Najwyraźniejsza rzeczywistość a przecież niereczywistość	297

